

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr II/362

1977



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

PPN : **RACHUNEK NASZYCH SŁABOŚCI**

M. CHĘCIŃSKI :

DOKTRYNA WOJENNO-POLITYCZNA ZSSR

G. HERLING-GRUDZIŃSKI :

"KONTYNENT" : BILANS I PERSPEKTYWY

KISIEL : **MOJE PROROCTWO**

ANKIETA : MŁODZIEŻ POLSKA NA ZACHODZIE

SPIS RZECZY

PPN:	<i>Rachunek naszych słabości</i>	3
—	<i>Ankieta: Młodzież polska na Zachodzie</i>	13
Tymon Terlecki:	<i>Polski dramat awangardowy</i>	20

ARCHIWUM POLITYCZNE

Michał Chęciński:	<i>Doktryna wojenno-polityczna ZSSR</i> ..	31
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	48

K R A J

Redakcja:	<i>O pomoc dla opozycji w Kraju</i>	55
Leon Markowski:	<i>Chory człowiek Europy</i>	57
Poradnik Społeczny PPN:	<i>Obywatel a Służba Bezpieczeństwa</i> ..	62

SĄSIEDZI

Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Kontynent: Bilans i perspektywy (Rozmowy z W. Maksymowym, W. Niekrasowym i N. Gorbaniewską)</i>	64
Bohdan Osadczuk:	<i>Stosunki polsko-ukraińskie tu i tam</i> ..	79
J. Korwin-Łopuszański:	<i>List w sprawie polsko-ukraińskiej</i> ..	82
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	85

WOŁANIE NA PUSZCZY

Kisiel:	<i>Moje proroctwo</i>	91
---------	-----------------------------	----

KSIĄŻKI

Włodzimierz Odojewski:	<i>Kilka uwag o książce Konwickiego</i> ..	96
Janina Katz Hewetson:	<i>Wielkie manowce</i>	102
Leszek Kołakowski:	<i>Pamięć i myśl</i>	115
M. Broński:	<i>Socrealizm</i>	118
—	<i>Nadesłane nowości wydawnicze</i>	122



—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	124
---	----------------------------------	-----



A. Chciuk, G. Herling-Grudziński, B. Korpowski, K. Krótki, B. Korpowski, K. Krótki, K. Krzeczunowicz, W. Maksymowicz, J. Nowak, J. Kulczycki, Z. Kiernowski:	<i>Listy do Redakcji</i>	131
--	--------------------------------	-----

DOKUMENTY

—	<i>List Prymasa Polski na XXXIII-ci Tydzień Miłosierdzia w dn. 2-8. 10. 77</i>	139
—	<i>Uchwała KOR'u z 29. 9. 1977</i>	144
—	<i>Oświadczenie Komisji Obywatelskiej w sprawie rocznej działalności KOR'u</i>	146
—	<i>Komunikat Nr 13 KOR'u z 31. 8. 77</i>	147
—	<i>Dwa oświadczenia Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela</i>	154
—	<i>Pierwszy numer „Robotnika”</i>	158
Redakcja:	<i>III-ci tom „Archipelagu GULag”</i>	160

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1977

INSTYTUT



LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Aleksander I. Bragiński, Pittsburgh, Pa. (USA), po raz szósty	F. 49,00
Tomira Buxell, Wellesley, Mass. (USA), po raz szósty	F. 142,30
Manfred Dąbrowski, Audincourt, Doubs	F. 52,00
Fiks Ryszard, Chicago, Ill. (USA), po raz dwunasty	F. 25,00
Jan Jaworowski, Bloomington, Ind. (USA), po raz dziesiąty	F. 61,00
Janina Kościakowska, Laloubère — zamiast kwiatów na grób Juliusza Mieroszewskiego w Dzień Zaduszny	F. 50,00
Ernest Kosmowski, Honfleur — zamiast kwiatów na trumnę przyjaciela, Stanisława Zadroznego, zmarłego w Londynie 1 września 1977 i dla uczczenia jego pamięci	F. 500,00
Józef Łoza, Edmonton, Alta (Kanada), po raz czwarty	F. 82,55
Anna Marty, Hull, Que. (Kanada)	F. 53,00
Józef Miętus, Yarrambat, Vic. (Australia) — po raz piąty — zamiast kwiatów na grób śp. Jana Korewy	F. 75,00
Józef Miętus, Yarrambat, Vic. (Australia) — po raz szósty — zamiast odpowiedzi p. Kałuskiemu na artykuł z dnia 16. 7. 77 w <i>Tygodniku Polskim</i> w Melbourne	F. 75,00
Dr Stanisław Nałęcz-Korzeniowski, River Forest, Ill. (USA) — po raz dwudziesty trzeci — zamiast kwiatów na grób śp. Juliusza Mieroszewskiego	F. 122,00
H. Rewoliński, Nucam, Tvl, (Afryka Południowa)	F. 9,00
Teresa Romer, St. Eustache, Que. (Kanada), po raz ósmy	F. 53,00
Nina Sereda, Montreal, Que. — po raz czterdziesty czwarty — zamiast kwiatów w Dzień Zaduszny na znane i nieznanne groby moich najbliższych, zmarłych i zamordowanych przez NKWD i Gestapo	F. 110,00
Składki na Fundusz Kultury zebrane przez Towarzystwo Przyjaciół „Kultury” w Lund (Szwecja) wśród czytelników Kultury i turystów z Polski	F. 500,00
Zebrane wśród przyjaciół, Paryż — po raz drugi	F. 400,00
Norbert Żaba, Sztokholm — dla uczczenia pamięci śp. płk. dypl. Witolda Szymaniaka, wielce zasłużonego działacza w Szwecji i patrioty	F. 50,00
Bezimiennie z Nigerii	F. 980,00

DZIĘKUJEMY!

WPLĄTY NA KOMITET SAMOOBRONY SPOŁECZNEJ „KOR”

Z. Kowalczyk, Lund (Szwecja)	F. 50,00
Janina Szarlak, Monachium	F. 44,82
Gwido Wonsch, Caracas (Wenezuela)	F. 500,00

Rachunek naszych słabości

Wielu z nas sądzi, że wystarczy, aby nam odjęto kuratelę moskiewską i aby czołgi radzieckie przestały znać naszej wschodniej i zachodniej granicy strzec „kierowniczej roli PZPR”, a fikcyjna władza rozleci się jak produkt szybkościowej tandety i naród podejmie bieg swych dziejów, niczym statek ściągnięty z mielizny. Jesteśmy wszak zdolni do wydobywania się z głębokich kryzysów; świadczą o tym świetne dzieje Sejmu Czteroletniego, który zdołał stworzyć podwaliny nowoczesnego państwa po stuleciu klęsk, anarchii i chaosu, świadczą efekty „pracy organicznej”, podjętej we wszystkich trzech zaborach po klęskach powstańczych, kiedy skutecznie przeciwstawiono się dążeniom zaborców do zepchnięcia podzielonego kraju w wieczysty niedorozwój i prowincjonalizm, świadczą także osiągnięcia gospodarcze i administracyjne Drugiej Rzeczypospolitej, kiedy to w ciągu niespełna dwudziestu lat, z trzech skrawków wydartych z trzech różnych imperiów, z ludności poddanej przez półtora wieku trzem różnym systemom wy-narodowienia, na źle wyznaczonym terytorium, wbrew kryzysowi gospodarczemu, w sąsiedztwie dwóch wrogich potęg totalnych, stworzono państwo, instytucje parlamentarne, jednolity naród, prężny przemysł, wojsko, i atmosferę, w której wychowało się pokolenie zdolne do oparcia się hitlerowskiej i radzieckiej okupacji. Trudno nie szukać analogii w przyszłości... Czy jednak optymizm taki nie jest dziś przesadny?

Jesteśmy przekonani, że Polsce należy się niepodległość polityczna, albowiem jest ona tworem historycznie i geograficznie uzasadnionym. Polacy mają pamięć wolności i wyobraźnię wolności. Jesteśmy przekonani, że tylko w warunkach wolnego wyboru swego ustroju i swych sojuszków naród polski będzie pełnowartościowym uczestnikiem ogólnego procesu dziejowego. Nie doma-

gamy się tego prawa dla siebie samych tylko, z przeświadczenia o naszym wyjątkowym losie. Domagamy się tego prawa dla Czechów i Słowaków, dla Węgrów, Rumunów, Bułgarów, dla Litwinów, Łotyszów, Estończyków, Ukraińców, Białorusinów, dla Gruzynów i Ormian, dla wszystkich narodów, które przemoc imperialna pozbawiła dobrodziejstw samoistności, o jakie dziś dopominają się wszystkie narody Afryki i Azji. Nie partykularny interes, nie szowinizm, nie romantyczna nostalgia, nie duma na historii ufundowana, lecz współczesny uniwersalizm stanowią podstawę naszych roszczeń. Wszelki marionetkowy rząd jest dziś obrazą dla całej ludzkości.

Polska będzie wolna. Nie dlatego, że się do tego szczególnie nadaje, ani dlatego, że Polacy pragną tego bardziej niż inne ujarzmione narody; Polska musi być wolna, bo w kierunku wyzwolenia człowieka poszczególnego, klas i narodów zmierza rozwój współczesnej cywilizacji.

Nie wiemy kiedy i jak się to stanie, czy doczekamy tego my, czy nasi synowie albo wnukowie; wiemy tylko, że będą to Polacy i chcielibyśmy wiedzieć jacy oni będą. Okoliczności zewnętrzne stworzy przyszła historia; dane wewnętrzne, ideowe, psychologiczne i moralne tworzą się już dziś.



Od ostatniej wielkiej próby historycznej, jaką dla Polaków była druga wojna światowa, upłynęło ponad trzydzieści lat dziejów zupełnie różnych od wszystkiego, co Polacy kiedykolwiek przeżyli. Zapewne, niektóre momenty, jak październik 1956 roku, czy grudzień 1970 roku na Wybrzeżu, przypomniły wielkie dni zrywów powstańczych i rewolucyjnych. Można było wtedy sprawdzić, czy żyją jeszcze dawne walory narodowe: odwaga, zdolność do improwizacji, wycucie chwili, solidarność — a także czy odzywają się dawne wady: szybkie rozprzęganie się związków zawartych w krytycznych okolicznościach, depresja następująca zaraz po euforii, nieumiejętność trwałego wykorzystania chwilowych sukcesów.

Ale to były bardzo rzadkie momenty. 33 lata życia PRL upłynęły nam w monotonii codziennych, drobnych udręek. Niektóre strony naszego życia „pod władzą ludową” kontrolowaną przez „niezawodnego sojusznika” przypominają nam czasy rozbiorowe. Mamy do czynienia z tym samym idiotyzmem cenzury, co nasi pradziadkowie; przywódcy naszego kraju pędzą po inwestytury tym samym szlakiem, co za czasów „miłościwie nam panujących” carów rosyjskich ozdobionych polskimi koronami. Wojska rosyjskie krążą po Polsce z równą swobodą, jak za Katarzyny

Wielkiej, a ambasadorzy Liebiegow, Abrasimow i Piłotowicz dzielnie kontynuują tradycje swych poprzedników: Stackelberga, Igelströma i Repnina.

A jednak to nie to samo. Mieszanina bałaganu i pedanterii, kombinacji, korupcji i terroru, dwugłos hałaśliwego patriotyzmu z serwilizmem wobec wielkiego sąsiada, to nowości ustroju, który swoją trwałość i stabilność zawdzięcza nie przemocy fizycznej, ani sprawności władz, lecz temu, że odwołując się do ujemnych cech charakteru ludzkiego, wspomagając je i podsycając, osłabia moralnie człowieka, a osłabionym władza bez przeszkód. Odwołuje się mianowicie do lenistwa, bezwładności, sobkostwa, cynizmu. Do każdego z osobna obywatela znajduje drogę przez jego wady. Mniej okrutny niż dawne systemy despotyczne, jest nieporównanie bardziej od nich demoralizujący. Powoduje szybsze zmiany psychiczne w każdym z osobna i w zbiorowości, zmiany, którym każdy z nas już uległ i nadal ulega, zmiany, na skutek których w owym dniu odległym, co nam przyniesie wyzwolenie, zmuszając do podjęcia decyzji, walki, obrony, pracy zbiorowej, myśli społecznej, do solidarności i ofiarności, nie będziemy już tym samym narodem wypróbowanym w trudnych momentach historycznych. Ani tym z 1939, ani tym z 1956, ani tym z dnia dzisiejszego. Mamy już nowe nawyki, nowe wady.

Przywykliśmy do myśli, że system polityczny i gospodarczy, w którym żyjemy, jest niezmienny. Gniewa nas, doprowadza czasem do rozpacz, ale zarazem stanowi rękojmię bezpieczeństwa zewnętrznego i wewnętrznego. Dokuczają nam wiecznymi kolejkami do sklepów i dorocznymi kryzysami masłanymi, mięsnymi, opałowymi czy energetycznymi; tłumi w nas zapał do samodzielnych przedsięwzięć — ale unika ogólnych depresji gospodarczych i związanych z nimi klęsk bezrobocia czy bankructw. Przez brak wolnej gry sił politycznych pozbawia nas swobody decydowania o naszym własnym losie — lecz zapewnia spokój, trochę martwy, ale i zaciszny. A przede wszystkim uwalnia nas od odpowiedzialności, każdemu wyznaczając jego pozycję.

Przywykliśmy bowiem do myśli, że rządzą nami i decydują o nas inni, „oni”; i to prawda. Jeszcze chyba nigdy w dziejach nie było systemu mającego jednocześnie władzę nad człowiekiem polityczną, ideologiczną i gospodarczą, określającego zakres jego praw i obowiązków, sposób jego myślenia oraz poziom jego potrzeb. Jest to przy tym system pozbawiony na wszystkich swoich szczeblach form odpowiedzialności „w dół”, tzn. przed podwładnymi, przed wyborcami, przed opinią. Każdy urzędnik, robotnik, sprzedawca sklepowy, pracownik naukowy, każdy działacz społeczny, każdy poseł na sejm czy radny, odpowiada tylko przed tymi, którym zawdzięcza swoją nominację. Ten system

stworzył kodeks postępowania, którego pierwszym i naczelnym prawem jest tajność. Nasze istnienie w hierarchii systemu zależy nie od uznania społecznego, lecz od dyskretnych porozumień z naszymi zwierzchnikami i protektorami. Znamy te hasła szeptane w gabinetach, w czasie upragnionych audiencji; „do waszej tylko wiadomości... między nami”. Każdy awans związany jest z nowym zaufaniem, każdy przywilej, czy ochłap władzy okupiony jest nowym zobowiązaniem do dyskrecji i przestrzegania reguł gry. Im wyżej postępujemy w hierarchii, w tym większym stopniu stajemy się współnikami całego systemu w utrzymywaniu w ignorancji mniej wtajemniczonej reszty.

Spokój jest podstawowym hasłem reżymu. Zastąpiło ono całkowicie dawną frazeologię rewolucyjną, która wymagała intensywnego „nawracania”. Na spokój nikogo nawracać nie trzeba, bo wszystkim jest wygodny. W społeczeństwie otwartym, które znajduje się w nieustannym ruchu, w którym ścierają się wciąż sprzeczne interesy, opinie, ambicje, spokój taki jest po prostu niemożliwy i przybyszowi stamtąd wydaje się koszmarem, ale kto go raz zaznał, jak my, pod rządami hierarchicznej biurokracji, przyzwyczajają się do niego i pragnie go, jak chory co raz zakosztował dobrodziejstw środka znieczulającego.

Czy znalazłszy się pewnego dnia „w wirze wypadków”, widząc podnoszącą się temperaturę życia publicznego, narażeni na przykre skutki napięć oraz fluktuacji rynku, nie zatęsknilibyśmy do „spokojnego rytmu naszych dni” pod władzą sprawnie regulującą pory jawy i snu? Czy święte hasła reżymu — „spokój, praca, jedność” — nie zapadły już tak głęboko w nasze dusze, iż gotowi jesteśmy dla nich znieść kłamstwo, płaszczyć się przed „górami”, i raczej wyrzec się własnych poglądów niż znieść dla nich ryzyka demokracji? A jak zareagowalibyśmy poczuwszy na sobie wścibskie oko opinii, która bywa niesprawiedliwa, brutalna i bezwzględna?

Odwykliśmy od jasnego myślenia, od otwartego dyskusowania naszych poglądów, a nawet od formułowania poglądów na własny, prywatny użytek. Odwykliśmy, bo nam tego w PRL nie potrzeba. Nasze życie umysłowe zostało zredukowane do paru przekonań, które uzgadniamy między sobą za pomocą półśłówek. Zgadza się mianowicie, że system jest zły i nie nadaje się do naprawienia, ale lepszy od ewentualnej okupacji radzieckiej, która musiałaby nastąpić, gdybyśmy posunęli się za daleko w dążeniach do niezależności. Może jest nawet lepszy od chaosu, jaki mógłby nastąpić w razie pozostawienia nam wolnej ręki w wyborze systemu i rządu. — A zresztą — dodajmy — jeżeli upadnie Rosja, wzmocnią się zaraz Niemcy, wtedy zaś zupełnie nie wiadomo jak wyglądałyby nasze granice i nasza niezależność.

Wobec aż tylu niewiadomych wolimy często pogodzić się ze stanem rzeczy, pozostawiając sobie na prywatne potrzeby duchowe trochę religii, albo trochę liberalizmu i, oczywiście, patriotyzm. Z każdej ideologii bierzemy tylko tyle, ile nam trzeba dla stworzenia sobie duchowych schronów przed drażniącą propagandą reżymu oraz moralnego alibi dla codziennego konformizmu. Nasza religijność i nasz patriotyzm prowadzą się do okolicznościowych sentymentów, nasz liberalizm do frazesów o wolności sumienia i słowa. Z kolei reżym bierze z tych samych idei również to, co mu się przydaje do utrzymania „jedności moralno-politycznej” narodu i manipuluje nimi zręcznie. Zwłaszcza patriotyzmem, który zredukował do odruchów szowinizmu i wrogości do „obcych”, pozbawiając go treści zasadniczej, jaką jest dążenie do zewnętrznych i wewnętrznych wolności.

Wiedziemy tedy zredukowane życie duchowe; karmimy się szczątkami idei. Na co dzień posłuszni reżymowi, od święta lub z rozpacy bywamy bigotami, albo nacjonalistami. Nie mogąc naszego gniewu skierować we właściwą stronę, koimy nasze powszednie upokorzenia pielęgnowaniem nienawiści do wszystkich wokół: do Rosjan i Niemców jako bezpośrednich sprawców naszego upadku; do Zachodu, że nas w porę nie wyzwoił, i że mu się lepiej żyje: do Czechów, Rumunów, Bułgarów za to, że są „zanadto” ulegli i bardziej od nas upodleni (niewolnik zwykle gardzi drugim niewolnikiem); w końcu do Żydów, ilekroć nam się przypomni, lub zostanie przypomniane, że odegrali znaczną rolę w zakładaniu podstaw reżymu. Sam reżym bierze czynny udział w podsycaniu tych nienawiści, które mu ułatwiają zadania. Podsycą wspomnienie niemieckich okrucieństw i matactw Zachodu, pozbawiając nas złudzeń, jako byśmy mieli gdziekolwiek sojuszników; podsycą antysemityzm, zrzucając na Żydów odpowiedzialność za błędy systemu i „wypaczenia” przeszłości; wbrew oficjalnym sloganom o przyjaźni z „bratnimi” narodami Czech, Węgier itd., umiejętnie przeszkadza rzeczywistemu zbliżeniu między krajami, które złączył wspólny los i których porozumienie stworzyłoby śmiertelne niebezpieczeństwo dla imperium. Podsycą nawet — niezmiernie dyskretnie i w specjalnych okazjach — nienawiść do Rosjan i innych narodów radzieckich, dając do zrozumienia (jak to robiła propaganda moczarska w latach sześćdziesiątych), że gdyby nie nacisk „stamtąd”, ze strony „starszego brata”, polscy komuniści rządiliby inaczej... Istotnie, może inaczej, ale równie źle, bo żadna partia nie może sobie uzurpować na zawsze wyłącznej reprezentacji narodu i rządzić bez alternatywy, bez kontroli i bez potwierdzenia swego mandatu w niesfałszowanych wyborach powszechnych.

Tak tedy stajemy się coraz bardziej prymitywni i coraz bar-

dziej obcy Europie i światu, a przez to coraz bardziej związani z reżymem. Wszystkiemu co w nas złe i słabe wychodzi naprzeciw. Spotykamy się z nim w pół drogi, tworząc wspólnie prywatno-oficjalną kaszkę z idej, słów, uczuć, którą zjadamy z jednej miski radując się w głębi duszy „spokojem” i „jednością” i unikając skrajności, jakie nieuchronnie ujawniają się w społeczeństwie otwartym. Komunistyczna propaganda umiejętnie owe skrajności i zaburzenia wykorzystuje, donosząc o terroryzmie na Zachodzie, o zawiązywaniu się partii i organizacji faszystowskich, trockistowskich, maoistowskich, których absurdatne często hasła i programy przerażają Polaka przekonanego po 30 latach trenowania „jedności”, że każda bzdura wydrukowana lub wypisana na murach, i prawnie dozwolona, ma moc obowiązującą. Zapewniając dziś, że jest za tolerancją wszelkich poglądów — wobec rzeczywistego ich ujawnienia Polak krzyknąłby „o, nie! Tolerujemy tylko poglądy r o z s ą d n e”. A czy wiadomo jakie brednie kryją się dziś w zakamarkach naszego społeczeństwa, zwłaszcza w aparacie partyjnym, w owym słynnym „aktywie”, którego ekscesy np. w 1968 roku zdumiały krajową i światową opinię? Czy wiadomo do jakich gwałtów jest zawsze gotów nasz dzielny aparat ścigania oraz wyspecjalizowane bojówki, których sprawność i pomysłowość w czerwcu 1976 roku przeszła wszelkie oczekiwania? Czy wiadomo co się kryje w naszym kraju od trzydziestu z górą lat śpiącym politycznie pod strażą partii, bezpieczeństwa i cenzury?

Otwarcie politycznemu towarzyszy rozluźnienie obyczajowe. Na łamy prasy, na ekrany kin i na ulice występują wtedy zbrodnia i seks. Nasza propaganda i z tego umie zrobić straszaka i przyzwyczajonym do zacości naszego życia Polakom pokazuje przerażające obrazki z duńskich, szwedzkich, czy holenderskich miast, powiadając: „oto macie demokrację”. Co tam się u nas dzieje w aresztach milicyjnych i w izbach wytrzeźwień, jak wygląda życie nocne Warszawy, jak wyglądają obyczaje naszej „góry”, o tym krążą tylko plotki. Jakie potworne spustoszenie sprawiają nasze narodowe narkotyki: „strażacka” z czerwoną kartką i wino „patykiem pisane”, tańsze wprawdzie od heroiny i LSD, w skutkach bezpośrednich mniej może katastrofalne, ale za to nieporównanie powszechniejsze w użyciu — o tym mówi się tylko z przymrużeniem oka jako o naszych domowych, słodkich plagach, które nie naruszają „spokojnego rytmu socjalistycznej pracy” i „jedności moralno-politycznej”.

Tę jedność naruszają tylko polityczni wicherzyciele, opozycjoniści i kontestatorzy wszelkiej maści. Oczywiście nie lubią ich władze i jak mogą szkalują przed opinią. Jakże jednak odnosi się do nich opinia? Pomimo całej sympatii dla haseł liberalnych

i patriotycznych, pomimo uznania dla odważnej postawy i ryzyka, pomimo mniej lub bardziej ukrywanego zadowolenia, że władze mają jakieś kłopoty, słyszy się głos, iż owe ruchy ściągną też kłopoty na spokojnych ludzi, których z różnych powodów nie stać na jawne okazywanie niechęci do reżymu; że prowokują władze do represji i zaostrzenia kursu politycznego, na czym cierpi cały ogół; że w ostateczności sprowadzić mogą interwencję radziecką. Dość tych listów, protestów, demonstracji — powiadają nawet sympatycy opozycji. Na co się to wszystko przyda? Nic się przez to nie zmieni, a na domiar złego — powiadają skrajni pesymiści — działania takie i tak przecież kontrolowane przez władze, dają im możliwość prowokowania i manipulowania... Ciekawe, że ten sposób myślenia zdarza się u ludzi najzacieklej nienawidzących reżymu, którzy z nienawiści właśnie tworzą mit jego wszechwiedzy i wszechwładzy, mit obezwładniający ogół i utrzymujący go w inercji, cynizmie i służalstwie.

W moralistycie politycznej przeszłości znajdujemy tyleż skarg na charakter narodu Polaków, co zachwyty nad ich zaletami. Wydaje się czasem, że ów „charakter narodu” jest tylko konstrukcją retoryczną, która zależnie od doraźnych potrzeb raz służy za dyscyplinę do chłostania, innym razem za trąbę bojową. Polacy, jak każde społeczeństwo, podlegają procesom, które tak dalece zmieniają ich zachowanie i umysłowość, że trudno utożsamiać Polaka z epoki szlacheckiej z Polakami epoki rozbiorów, w których historii uwyraźniły się szczególnie polskie cechy uważane za cnoty. Jeszcze trudniej Polaka dzisiejszego utożsamiać z Polakiem przyszłym, którego nie znamy. Charakter narodu tworzy się między innymi pod wpływem powtarzających się okoliczności, które wywołują podobne reakcje. W historii Polski powtarzają się dwa zbiegi okoliczności: w stosunkach wewnętrznych powtarza się proces koncentracji władzy w rękach mniejszości połączony z wyzowaniem reszty z jej politycznych praw; w stosunkach zewnętrznych powtarzają się sytuacje bez wyjścia, bez alternatywy. Stąd wytworzyła się w Polsce niezmiernie szeroka skala świadomości politycznej: od najniższego jej stopnia do najwyższego było i jest niezmiernie daleko, a na tym stopniu najniższym znajdowała się i znajduje nadal przytłaczająca większość. Podstawowa masa społeczeństwa polskiego daje się nader łatwo wyłączyć z aktywnego uczestnictwa w życiu publicznym. Polacy wobec władzy zachowują się jak biedak z urodzenia wobec cudzego bogactwa: zazdrości go, ale użyć by go nie umiał. Uważają ją za dopust boski i efekt zмовy. Nie odróżniają więc złej od dobrej pod kątem udziału, jaki mieli w jej powołaniu; w udział taki nie wierzą. Dobrą władzę od złej odróżniają dopiero po skutkach jej działania w życiu prywatnym. Powstają przeciw

niej spontanicznie, gdy im się dobierze do skóry. Przeciętny Polak uważa fatalny, niewolniczy układ sił między społeczeństwem a władzą za konieczny. Nie bierze pod uwagę tego, że na układ i działanie tej władzy może mieć wpływ, bo prawie nigdy dotąd takiego wpływu nie miał; demokratyczna Rzeczpospolita Polska trwała zbyt krótko, aby ogół mógł zakosztować swych praw, a wzory dawnej szlacheckiej demokracji przywykło się uważać za zło.

Dlatego Polak zgadza się na władzę „innych” nad sobą w nadziei, że go uchronią od ciosów z zewnątrz i wstrząsów wewnętrznych. Dziś oddaje ją tym którzy mają zaufanie Moskwy, umieją rozmawiać z Moskwą, i mają na tyle miedziane czoła, aby znieść moskiewskie upokorzenia. Wyrzeka się swych praw w zamian za bezpieczeństwo. Wynagradza sobie to wyrzeczenie nienawiścią i pogardą, jakie żywi dla owej władzy, i wyraża je szyderstwem, w którym celuje, oraz w utajonym oszustwie, które doprowadził do perfekcji a z którego moralisci w miarę potrzeb chwili i punktu widzenia robią bądź to wadę, bądź to cnotę narodową. Ta postawa i związane z nią umiejętności pozwoliły Polakom doskonale przetrwać rozbiory i okupacje; pomogły im też wyprowadzić w pole aparatczyków, oprzeć się indoktrynacji, stworzyć sobie znośne warunki życia w skali prywatnej, wbrew kulejącemu systemowi, a nawet wywierać skuteczny nacisk na reżym. Są to więc cechy wspomagające społeczeństwo w jego stałej konfrontacji z narzuconą władzą, a zarazem źle wróżące na moment, w którym Polacy uzyskaliby pełnię politycznych praw. Czy okazałoby wtedy dość politycznego zapału i dość politycznej rozwagi, aby jak Portugalia i Hiszpania uniknąć rozlewu krwi, przeciwstawić się ekstremizmom z prawa i z lewa, pokonać wewnętrzne animozje, znieść bez strachu i zgorszenia krzykliwe, a nawet groźne ekscesy wolności, okazać zaufanie umiarkowanym przywódcom, wesprzeć aktywnie instytucje demokratyczne, poddać się odważnie opinii krajowej i opinii świata bez oburzenia się na krytyki? Okazałoby się narodem równie dojrzałym do wolności i równie kulturalnym politycznie? Tak — ale pod warunkiem, że nad ową kulturą już dziś będziemy pracować wszystkimi dostępnymi sposobami.

Największe zmiany moralne przyniósł reżym komunistyczny w stosunku do pracy i własności. Dawniej, jakkolwiek układały się losy kraju, każdy Polak, czy to rolnik, czy urzędnik, rzemieślnik, czy kupiec, odnajdywał swe życie autentyczne w swych codziennych czynnościach, które lubił i cenił. Praca i korzyści, jakie z niej osiągał, były źródłem jego radości i dumy; domagając się poszanowania rezultatów swej pracy, szanował pracę innych. Praca, w braku więzi politycznej, była jedynym rzeczywistym, na

co dzień odczuwalnym spoiwem społecznym. Cokolwiek działo się w stolicach, na dworach, w kancelariach i na polach bitew, jakiekolwiek były losy tych, którzy poświęcali się dla narodu, jakie zmiany dokonywały się w formach ustroju, w zależnościach zewnętrznych, w instytucjach narodowych, większość narodu żyła w świecie wartości niezmiennych. Rolnik, rzemieślnik, urzędnik, lekarz robili swoje, i zwykle robili dobrze. Nie wedle swego zachcenia, ani niczyjego nakazu, ale wedle wymogów rynku, potrzeb ziemi, reguł prawa, kanonów etyki zawodowej i zgodnie z instynktem.

W systemie komunistycznym została naruszona ta najtrwalsza, zdawałoby się niezmienna, tkanka życia zbiorowego.

Nastąpiła manowicie degradacja pracy jako źródła sukcesów i wartości. Łączy się ona ze stosunkiem do państwa jako pracodawcy oraz do całego systemu. Jesteśmy przekonani, że jakkolwiek byśmy pracowali, owoce naszych wysiłków zmarnuje biurokracja, albo zostaną obrócone na wsparcie daleko wysuniętych, odległych celów radzieckiej ekspansji. Wiemy, że praca nasza niewiele nam samym przynosi, a głównie wzmacnia reżym, który nasze osiągnięcia przypisuje sobie. Zdajemy sobie sprawę z niskiej jakości naszych produktów spowodowanej czy to złym surowcem, czy zacofaną technologią, czy wadliwymi założeniami. Nie cenimy zapłaty, którą dostajemy, widząc jak niską siłę kupna ma złoty, jak mało dóbr trwałego użytku możemy sobie sprawić. Dodatkowym i wciąż zwiększającym się czynnikiem degradacji pracy jako źródła wartości jest wprowadzenie do obrotu wewnętrznego dolara jako waluty uprzywilejowanej — dolara, który pochodzi z darowizny, spekulacji, lub pracy podejmowanej za granicą na upokarzających często warunkach. Ponadto zła organizacja pracy, rola, jaką w zarządzaniu odgrywają niekompetentne czynniki polityczne, marna dyscyplina, stawianie efektów ilościowych nad jakościowymi, statystycznych nad rzeczywistymi, fikcja planów i harmonogramów, spekulacje premiami, wreszcie dogmat „pełnego zatrudnienia”, który zakłada, że każdy, najgorszy nawet pracownik musi w końcu dostać pracę i otrzymać za nią wynagrodzenie takie samo jak pracownik dobry — wszystko to zniechęca do wysiłków, odbiera ochotę do współzawodnictwa, sprzyja oszustwom, nieróbstwu, „brakoróbstwu” i tak dalej.

Te przyczyny wyliczać można długo. Nic innego nie robimy przez cały czas trwania reżymu. Zastanawiamy się nad tym prywatnie i publicznie, a reżym wychodzi wprost ze skóry, by ten stan rzeczy zmienić. Ież to już było hasła, zakłęk, próśb, gróźb! A to „wyciąg pracy”, a to „system bodźców”, a to „normy techniczne”, a nawet obietnice płacy w dolarach. Wywoływano cele odległe i bliskie, globalne i narodowe, zaklinano na między-

narodową solidarność proletariatu, na dumę narodową, na wizję dobrobytu, na widmo bankructwa. Wszystko na nic.

Przyczyn owej degradacji pracy, a w konsekwencji złej pracy jest zapewne więcej. Większość z nich stanowi produkt i własność systemu, i wraz z nim zniknie. Ale czy razem z przyczynami znikną ich skutki społeczne, czy też utrwałą się na zawsze jako nowe, groźne i antypatyczne cechy charakteru narodowego?

Wierzmy, że wszelkie zło społeczne tkwi w braku politycznych i osobistych wolności, że brak ów jest przyczyną zaniku społecznych spoiw; tylko wolni ludzie, albo o wolność walczący, poczuwają się do wspólnoty. Niewolnicy są samotni, a człowiek, który nie ma wyboru ani w dziedzinie politycznej, ani w dziedzinie ekonomicznej, który w życiu osobistym i zbiorowym jest ciągle stawiany wobec faktów dokonanych, bez alternatyw, człowiek, który w żadnej istotnej dla swego losu sprawie nie może powiedzieć „tak”, albo „nie”, jest niewolnikiem, i niewolniczych cech nabiera jego charakter zarówno w pracy, jak w polityce. Ale charakter narodowy tworzy się nie tylko z zachowań wymuszonych przez powtarzające się uporczywie okoliczności. Współtworzą go wzory postępowania utrwalone przez tradycje.

Znamy na pamięć powtórzenia naszej historii. Jednakże obok tych odruchów zbiorowych, jakie się pod wpływem owych powtórzeń wykształciły — krycia się w prywatne życie, szukania rekompensat w szyderstwie i oszukaństwach, w pijaństwie i cynizmie — wytworzyły się wzory postaw wspaniałych. Powstały nie tylko na polach bitew, ale w codziennej upartej pracy dla ojczyzny. Naszą historię tworzy nie bezwład, cynizm i prywatność, lecz ludzie, którzy poświęcili życie dla uzdrowienia społecznych i gospodarczych stosunków, dla przeciwstawiania się przemocy administracyjnej i szkolnej, ludzie, którym zawdzięczamy to, że Polska — mimo wszystko — wciąż jest Polską, dla której warto żyć.

POLSKIE POROZUMIENIE NIEPODLEGŁOŚCIOWE

Ankieta: Młodzież polska na Zachodzie

Nic właściwie nie wiemy o młodym i średnim pokoleniu emigracyjnym. Emigracja wojenna nie interesowała się nim i nie próbowała nawet wciągnąć go do spraw polskich. A jest to problem więcej niż ważny, gdyż są to nasi spadkobiercy. Rozpisując tę ankietę próbujemy zorientować się w tej niewiadomej.

Aby odpowiedzi mogły być najbardziej szczerze i nieskrępowane — powinny być anonimowe. Odpowiedzi nie wymagają jakiegось szerszego rozwodzenia się — wystarczy: tak, nie, nie wiem.

Apelujemy do naszych czytelników, by tą ankietą zainteresowali swoje dzieci, znajomych, uczniów itd. Liczymy tu również na pomoc organizacji (jak np. Harcerstwa) i prasy polskiej na Zachodzie. Zależy nam także na odpowiedziach ludzi, którzy już nie władają językiem polskim tj. drugiego czy nawet trzeciego pokolenia Amerykanów czy Kanadyjczyków polskiego pochodzenia.

Rezultaty ankiety będą opracowane przez jednego z polskich socjologów na Zachodzie.

Termin nadsyłania odpowiedzi: 31 styczeń 1978 roku.

Na żądanie prześlemy formularze Ankiety, które będą wydrukowane osobno.

REDAKCJA „KULTURY”

KWESTIONARIUSZ ANKIETY

1. Wiek

Miejsce urodzenia

2. Wykształcenie:
- nieukończona szkoła średnia
 - tylko ukończona szkoła średnia
 - w trakcie studiów uniwersyteckich
 - absolwent(ka) uniwersytetu
3. Rodzaj wykształcenia (dotyczy studentów i absolwentów):
- humanistyczne
 - techniczne
4. Znajomość języka polskiego:
- średnia
 - dobra
5. Źródło znajomości języka polskiego:
- rodzina
 - kursy dokształcające
 - wyjazdy wakacyjne do Polski
6. Zainteresowanie historią i kulturą Polski:
- słabe
 - duże
7. Czy jesteś zadowolony(a) z kraju swego pobytu?
- jeśli tak: czy bierzesz żywy udział w jego życiu politycznym i kulturalnym?
 - jeśli nie: czy chciał(a)byś przenieść się do innego kraju na Zachodzie?
 - osiedlić się w Polsce?
8. Czy w wypadku chęci przeniesienia się:
- decydują głównie pobudki materialne?
 - inne i jakie?

9. Czy w kraju osiedlenia odczuwasz konflikt lojalności wobec jego interesów i interesów Polski?
- jeśli tak: którym dajesz pierwszeństwo?
10. Czy jeździsz do Polski:
- nie
 - dorywczo
 - regularnie
11. Czy, poza obcowaniem z bliższą i dalszą rodziną oraz z kolegami Polakami, utrzymujesz kontakt ze zorganizowanym środowiskiem polskim w kraju twego zamieszkania:
- nie
 - kontakt powierzchowny i przelotny
 - kontakt stały
12. W wypadku kontaktu w jakiegokolwiek formie, z kim:
- z ugrupowaniami emigracji politycznej
 - z organizacjami polonijnymi (etnicznymi)
13. W wypadku kontaktu stałego z ugrupowaniami emigracji politycznej, jaki jest twój pogląd na jej działalność:
- zupełnie dobra (zważywszy okoliczności)
 - względnie sprawna
 - nieporadna
14. W wypadku kontaktu stałego z organizacjami polonijnymi (etnicznymi), co sądzisz o ich działalności:
- sprawna
 - średnio sprawna
 - nieporadna
15. Przyjmując schematyczny podział na lewicę i prawicę (w Anglii na labourzystów i konserwatystów, w życiu polskim na emigracji na socjalistów i endecków), która strona jest ci bliższa:
- lewica
 - prawica

16. Przyjmując równie schematyczny podział na kapitalizm i socjalizm, jaka forma gospodarki współczesnej wydaje ci się:

słuszniejsza

efektywniejsza

17. Jaki jest twój stosunek do religii:

nacechowany wiarą

obojętny

wrogi

18. Jeżeli jeździsz do Polski i interesujesz się sprawami kraju, jak oceniasz sytuację tam w danych warunkach:

dobra

znośna

rewoltująca i wymagająca radykalnej zmiany

19. Czy wydają ci się możliwe stopniowe przemiany ewolucyjne w kraju w ramach istniejącego tam ustroju, czy też sądzisz że nie się nie da zmienić bez gwałtownej rewolty:

przemiany ewolucyjne

rewolta

20. Czy śledzisz prasę polską:

tak

nie

21. Jeśli tak, to jaką:

krajową

emigracyjną

22. Jeśli emigracyjną, to jaką (wymień tytuły pism)

23. Czy przemawia ci do przekonania i wyobraźni idea zjednoczonej Europy:

tak

nie

24. Czy uważasz ją za realną:

tak

nie

25. Jaki jest twój stosunek do tzw. legalnych władz polskich na obczyźnie i związanych z nimi organizacji:

niechętny

obojętny

życzliwy

26. Jaka postać z historii Polski naszego stulecia fascynuje cię najbardziej (wymień jedną lub kilka)

27. Czy spory i polemiki starszego pokolenia na emigracji poruszają cię w jakimś stopniu:

tak

słabo

nie

28. Jeśli tak, to czy porusza cię np. spór o pogodzenie się lub nie pogodzenie z utratą Lwowa i Wilna:

tak

nie

29. Jaki jest twój stosunek do sąsiadów Polski:

Rosji

Niemiec

30. Co sądzisz o normalizacji naszych stosunków z narodami:

rosyjskim

niemieckim

31. Czy podoba ci się ideał Polski Piastowskiej, wolnej od mniejszości narodowych:

tak

nie

32. Jaki jest twój stosunek do antysemityzmu:

potępiam

nie mam zdania

podzielam

33. Czy śledzisz działalność grup opozycyjnych w Polsce:

tak

nie

34. Jeśli tak, która z tych grup jest ci najbliższa:

KOR

ROPCiO

PPN

SKS (Studencki Komitet Solidarności)

35. Czy w spotkaniach z rówieśnikami z kraju znajdujesz z nimi szybko wspólny język, czy też odczuwasz raczej duże i trudne do pokonania różnice doświadczeń:

szybko wspólny język

trudności

36. Czy byłbyś gotów podjąć próbę przedostania się do Polski, gdyby wybuchła tam powszechna rewolta przeciw ustrojowi:

tak

nie

38. Czy byłbyś gotów zaciągnąć się do ochotniczych wojskowych jednostek polskich na Zachodzie, gdyby powstały w razie wybuchu wojny:

tak

nie

39. Jeśli stykasz się wśród kolegów z pokusami asymilacyjnymi, z pokusami zacierania swego pochodzenia polskiego, to czy budzą w tobie niechęć czy wyrozumiałość:

niechęć

wyrozumiałość

40. Czy rówieśników, tubylców w kraju swego zamieszkania, starasz się zainteresować sprawami polskimi:

tak

nie

41. Jeśli jesteś czytany w literaturze polskiej, wymień jednego lub kilku ulubionych pisarzy:

dawnych

współczesnych

Na 300-lecie urodzin Stanisława Leszczyńskiego:
Dla krewnych, przyjaciół, znajomych w Niemczech,
Austrii, Szwajcarii

WOJCIECHA KRZYŻANOWSKIEGO
POLSKI WŁADCA NA NIEMIECKIEJ
ZIEMI

Tytuł oryginału:

STANISLAUS LESZCZYŃSKI
POLNISCHER HERRSCHER AUF DEUTSCHEN
BODEN

Praca wydana przy poparciu niemieckiego
Instytutu Współpracy z Zagranicą
w Sztutgarcie.

Nakładem Erdmann-Verlag, Tübingen, NRF.

Polski dramat awangardowy

Często narzekamy — z większą lub mniejszą słusnością — że szeroka opinia kulturalna poświęca nam mało uwagi, że wartości polskie są to biblijne „talenty” zakopane w ziemi, pograżone w mroku, niedostrzegane i lekceważone. Zasluguje więc na tym baczniejszą uwagę, ilekroć coś narusza stereotyp. Takie naruszenie zdarzyło się ostatnio przez książkę Daniela Geroulda o polskim dramacie awangardowym*.

Nazwisko tłumacza, autora i wydawcy tej książki nie jest nieznane. Gerould stoi na czele programu doktorskiego w zakresie teatrologii w nowojorskim City University. Dał się poznać jako propagator dramaturgii Stanisława Ignacego Witkiewicza na terenie amerykańskim. Zajmuje się nim od kilkunastu lat, wydał dwa zbiory przekładów jego sztuk pod tytułami: *The Madman and the Nun* (1968) i *Tropical Madness* (1973). Zawierają one dziesięć utworów, do których należy dodać jeszcze jeden z omawianej książki. Wszystkie trzy edycje obejmują bardzo bogaty i wielostronny materiał interpretacyjny: komentarze do przełożonych dzieł, biografie i psychografie, filozofię i estetykę Witkacego, precyzyjne informacje o jego odbiorze w Polsce i poza Polską itd. To czyni z Geroulda niesporny autorytet witkiewiczowski. Stanowi on amerykański odpowiednik Alain van Crugtena, który przyswoił francuzczyźnie obie gigantyczne powieści Witkacego wydane przed wojną, zainicjował zbiorowe wydanie wszystkich jego sztuk w przekładzie różnych piór (*Théâtre Complet* w sześciu tomach) oraz ogłosił obszerną monografię *S. I. Witkiewicz. Aux sources d'un théâtre nouveau* (1971) i zaczął

* *Twentieth-Century Polish Avant-Garde Drama. Plays, Scenarios, Critical Documents* by Stanisław Ignacy Witkiewicz, Andrzej Trzebiński, Konstanty Ildefons Gałczyński, Jerzy Afanasjew, Sławomir Mrożek, Tadeusz Różewicz. Edited with an Introduction by Daniel Gerould, translated by Daniel Gerould in collaboration with Eleanor Gerould. Cornell University Press, Ithaca and London (1977), str. 287.

wydawać specjalne, poświęcone mu czasopismo *Cahiers S. I. Witkiewicz-Witkacy* (pierwszy rocznik ukazał się w 1976).

Świeżo ogłoszona rzecz Geroulda o polskim dramacie awangardowym znaczy dalszy etap jego specjalizacji. S. I. Witkiewicz oczywiście patronuje również tej książce i zajmuje w niej sporo miejsca, lecz stanowi otwarcie podwójnej perspektywy głębszej: na to co go poprzedziło i na to co powstało pod jego natchnieniem i wpływem.

Książka ma charakter złożony. Jest antologią wybranych przykładów dramatu awangardowego i jest monograficznym zarysem jego historii od najdalszych źródeł do ujęć w dniu dzisiejszym. Stwarza to całość jedyną w swoim rodzaju, bardzo bogatą i instruktywną, zajmującą i pobudzającą. To bogactwo jeszcze podwyższa pomysł, żeby teksty dramatyczne łączyć z autorefleksją teoretyczną o dramacie i teatrze; tak np. obok utworu Andrzeja Trzebińskiego „Aby podnieść różę” znajdują się fragmenty jego rozważań „Z laboratorium dramatu”, drukowanych w czasopiśmie podziemnym „Sztuka i Naród” w roku 1943. „Bezimiennemu dziełu” Witkacego towarzyszy „Kilka słów o roli aktora w teatrze Czystej Formy”.

Dobór materiału antologicznego może oczywiście budzić zastrzeżenia; są one nieodłączne od każdej antologii. Antologia Geroulda obejmuje oprócz patrona Witkacego pięciu pisarzy: Trzebiński, Gałczyński, Afanasjew, Mrożek, Różewicz. Od razu rzucają się w oczy pominięcia, np. Gombrowicz, co tłumaczy się tym, że jego sztuki „Iwona”, „Ślub” i „Operetka” ukazały się w innym przekładzie angielskim. Mrożek pewnie z tego samego powodu jest reprezentowany przez młodzieńczy, dosyć nikły choć od razu majsterski skecz dla teatru studenckiego Bim Bom pt. „Professor”. Można mieć wątpliwości co do wyboru Różewicza. Jego „Przyrost naturalny, biografia sztuki teatralnej” nie jest właściwie dramatem, ale notatnikiem o nieudanych próbach jego napisania, dość pod koniec nieskładnym. Gdyby Gide wydał *Journal des Faux-Monnayeurs* bez powieści pod tym tytułem, byłoby to bez wątpienia ciekawe i cenne świadectwo, ale nie zastąpiłoby właściwego dzieła, nawet gdyby pisarz przyznał się otwarcie, że nie był w stanie go napisać. Dwadzieścia kilka (z kilkuset napisanych) miniatur „Zielonej Gęsi” Gałczyńskiego brzmi po angielsku tak samo zabawnie, zaskakująco, prowokacyjnie jak po polsku, ale trudno zdobyć się na pewność czy te „sztuki na łąbku szpilki”, „miniaturowe okręty w szklanych butelkach” są naprawdę dramata. Gatunkowo przynależą one do kategorii żartu, dowcipu, konceptu posługującego się pewnymi chwytami dramatycznymi i takimi parafernaliai scenicznymi jak kurtyna czy budka suflera. Fraszka „O doktorze Hiszpanie” („Nasz dobry doktor spać się od nas bierze...”) nie jest dramatem, mimo że Kochanowski nadał jej idealną formę dramatyczną.

Ale takie i podobne zastrzeżenia i przekorności tracą sporo

na wadze, gdy się patrzy na książkę Geroulda jako starannie przemyślaną i celowo związaną całość. Czego brak w antologii, jest omówione i ustawione na właściwym miejscu we wstępie. Każda pozycja wyboru jest w nim zanalizowana i nabiera pełnego sensu, staje się ogniwem przewodu. Nawet — arcykpiarz Gałczyński wywodzący się z Witkacego, prostowacz ścieżek Mrożka i Różewicza, inspirator kabaretów studenckich.

Przewód analityczno-opisowy, zajmujący prawie dokładnie jedną trzecią książki, wydobywa na światło dzienne zjawisko, z którego mało kto zdaje sobie sprawę — polski dramat eksperymentalny. Jest to dramat poczęty z lędzwi Witkacego w podziemiach konspiracji nazajutrz po jego samobójczej śmierci jesienią 1939 roku. Stał się on prądem panującym w latach 1956-1968, między Październikiem i Marcem. „Teatr polski tego czasu — stwierdza Gerould — miał może najbardziej interesujący i urozmaicony repertuar w całej Europie”. Wszystkie sceny były awangardowe. Wszyscy (lub niemal wszyscy) poeci pisali dramaty eksperymentalne. Był to końcowy rozkwit tradycji zaczętej w zupełnym osamotnieniu przez Witkiewicza, „bardziej wspięcie na szczyt, niż start”.

Z tytułu swojej przynależności narodowej, a jeszcze bardziej z racji swego zawodu Gerould zna dokładnie tło porównawcze (dowodzi tego książka *Avant-Garde Drama between World Wars*, której współautorem jest Bernard F. Dukore). To pozwala mu stwierdzić oryginalność, odrębność, swoistość polskiej awangardy dramatycznej, jej charakter „nieplagiatowy” jakby z ulgą powiedział Irzykowski. Wśród wielu innych szczęśliwych formuł Gerould kilka razy używa metaforycznego terminu *displaced drama* (na podobieństwo *DP — Displaced Person*). Rozumie przez to przemieszczenie nie w przestrzeni, ale w czasie, wyprzedzenie czasu, prekursorstwo. Dotyczy to Witkacego, który ponad wszelką wątpliwość wyprzedził swoją epokę, wyrwał się naprzód. Dotyczy to również całego fenomenu. Charakter profetyczny, sięganie ponad teraźniejszość w przyszłość Gerould uważa za najbardziej znamieny rys polskiej tradycji awangardowej.

Ta sprawa ma w ujęciu teatrologa amerykańskiego jeszcze jeden aspekt godny uwagi. Jest to polska genealogia polskiej awangardy dramatycznej, wydobyte na jaw jej samorodności, odślonięcie jej rodzimych korzeni. We wstępie do ostatniej książki Gerould ukazuje Witkacego w ciągu rozwojowym i ujmuje cały dramat powitkacowski jako dalszy ciąg nieprzerwanego rozwoju.

Szkoda, że wywód genealogiczny zaczyna się od zdania, które jest ześlizgiem pióra: „*Poland contributed nothing of influence or lasting importance to the serious movements and schools that shaped the history of European avant-garde drama from the turn of the century to the end of World War II*”. W dalszym ciągu ta klasyczna *sweeping generalization* jest zaprzeczona w całej rozciągłości. Gerould przekonywająco pokazuje, że bez „prekursorów” Wyspiańskiego i Micińskiego nie byłoby Witkiewicza,

że idąc dalej wstecz polski dramat symbolistyczny wywodzi się z romantyzmu polskiego. Partie poświęcone romantyzmowi i Młodej Polsce są z konieczności dość elementarne, ale w wyniku takiego ujęcia wyświetla się przed oczyma czytelnika fascynująca linia dialektycznego rozwoju nowoczesnej dramaturgii polskiej. Rozległa wiedza, zdolność asocjacyjna, talent kombinatoryczny Geroulda raz po raz zadziwiają odkrywczymi spostrzeżeniami. Grabarza-rewolucjonistę Girtaka z „Bezimiennego dzieła” kojarzy z Pankracym w „Nieboskiej Komedii”; wychwytuje aluzje do Wyspiańskiego u Witkacego i Gombrowicza; upiorna rozgrywka ping-pongowa dyktatorów w dramacie Trzebińskiego „Aby podnieść różę” i taniec zamykający „Tango” Mrożka ukazują się jako przetworzenie chochołowego „raz dokoła, raz dokoła” w „Weselu”. (Nawiasem mówiąc, poza topornym skrótem scenicznym spółki Florian Sobieniowski i Hesketh Pearson, i to dostępnym tylko na prawach rękopisu, nie ma choćby prozaicznego, roboczego tłumaczenia na język angielski utworu, który nieodżałowany Jean Fabre uważał za jedno z arcydzieł dramatu światowego w XX-tym wieku. Drugim utworem Wyspiańskiego, któremu Gerould słusznie przypisuje rozszerzenie perspektywy i torowanie drogi awangardzie dramatycznej jest „Akropolis” (także nie doczekał się przekładu na żaden język obcy).

Jest pocieszające, że Gerould, uczony-tłumacz o imponującej koncentracji i konsekwencji zainteresowań i prac, atakuje ten skandaliczny stan rzeczy na sąsiednim, jeszcze bardziej (jeśli to możliwe) zaniedbanym odcinku. Ukończył przekład „Kniazia Piatomkina” i ogłosił syntetyczne, bardzo instruktywne studium o jego autorze pt. „*Magnus Tadeusz Miciński*” (*Yale/Theatre* 1976 nr 1). Ten nowy manewr zdobywcy leży na linii dotychczasowego dorobku i mieści się w ramach omawianej pracy, chociaż bezpośredni bodziec był dosyć przypadkowy. Zająwszy się tłem historycznym rewolucji 1905 roku w Rosji Gerould zgromadził jej literackie echa w różnych literaturach europejskich. W tym porównaniu dzieło polskiego symbolisty okazało się „najbardziej dalekowzroczne i historycznie najbardziej przenikliwe”. „Jest to wspaniała sztuka — Gerould pisał do mnie niedawno — i pragnąłbym móc znaleźć kogoś kto by był zdolny nadać jej kształt sceniczny”.

Przekłady zawarte w antologicznej części „Polskiego dramatu awangardowego” mają wyrównany poziom. Amerykański witkolog jest tłumaczem znakomicie przygotowanym i w pełni świadomym swego zadania. Jest to tłumacz-współtwórca i ta współtwórczość prosi się o studium szczegółowe w rodzaju tego, jakie Borowy kiedyś poświęcił Boyowi. Najłatwiej obserwować ją w zakresie groteskowego nazewnictwa. W „Bezimiennym dziele”, w sztuce niewydanej za życia Witkacego i otwierającej tom, przykład szczęśliwej inwencji w tym zakresie stanowi imiona „mówiące”: *Grozzelov*, *Grizzloviks* postawione pod Mieduwałą i Mieduwalszczyków poprzez asocjację z rosyjskim i angielskim odpowiednikiem niedźwiedzia: *miedwied-grizzly (ursus horribilis)*.

Już mniej oczywiście wyjaśnia się niekonieczne przeangielszczenie Girtaka na *Lopaka* (jest to może połączenie *to lop*, ścinać gałęzie i głowy z polskim przyrostkiem -ak, jak w najprostszym znalezisku *Brainiowicz*, idealnie przystającym do Mózgowicza). Zdarzają się w tym mozolnym i ryzykownym procederze pomyłki, jak wymienienie rozkosznego angelologa Gzęgżółki w świetnym zresztą przekładzie Gałczyńskiego, na „Ptarmigana” z rozrodzonej rodziny ptaków o opierzonych nogach, która obejmuje głuszca, pardwę, kuropatkę i Bóg wie co jeszcze, ale nie staropolską i ludową gzęgżółkę (kukułkę); zaginęło w tym chybionym wynalazku foniczne podwojenie, a przecież nie daleko szukając istnieje ono w angielskim *cuckoo*.

Głównym światłem omawianego tomu Geroulda, najbardziej uderzającym wzrok i zaskakującym jest nie „Bezimienne dzieło” (koniec końców jedenasta sztuka Witkacego przyswojona angielszczyźnie) ale tuż za nim umieszczony dramat Andrzeja Trzebińskiego „Aby podnieść różę” napisany w roku 1942, ogłoszony w 1955 w małym czasopiśmie, w 1970 w książce i wystawiony tego roku ze znacznym sukcesem na scenie. Jest to dzieło dwudziestoletniego chłopca, żołnierza AK, członka konspiracji grupy literackiej „Sztuka i Naród”, trzeciego — po śmierci dwu pierwszych — redaktora pisma pod tą nazwą, poety, prozatora, krytyka, publicysty, aktywisty kulturalnego, który zginął w roku 1943 pod nieswoim nazwiskiem od kul plutonu egzekucyjnego w śmiertelnej, papierowej koszuli, z gipsowym kneblem na ustach. Ten młodzieńcy partner Irzykowskiego w dyskusjach na tematy literackie („z irzykowskim żarłem się dosłownie dwie godziny” — mówi zapis w pamiętniku z 1942 roku) był może najbardziej ostrowidzącym, pozbawionym złudzeń, najbardziej filozoficznym i teoriiotwórczym umysłem, obok Baczyńskiego najbardziej oryginalnym i obiecującym przedstawicielem pokolenia, które sam określił jako „dramatyczne” (wszyscy jego uczestnicy próbowali pisać dramaty). Dramat Trzebińskiego jest czymś zdumiewającym, aż dojmującym w swojej przedwczesności. Tę przedwczesną dojrzałość podkreśla jeszcze fakt, że debiutant jednocześnie teoryzował, pisał dziennik twórczy „Z laboratorium dramatu”, odslaniający warsztat, formułujący i uzasadniający oryginalne propozycje estetyczne.

Pochodność „Aby podnieść różę” od dramaturgii Witkacowskiej jest oczywista, ale zachodzi pytanie co młodzieńcy adept znał z tej dramaturgii. W niedoszłym ostatecznie do skutku konspiracyjnym przedstawieniu „Wariata i zakonnicy” miał grać rolę jednego z posługaczy szpitalnych, nie wiadomo którego — z czarną brodą i łysiną czy z rudą brodą i obfitymi kudłami. Inne sztuki Witkacego były wtedy trudno dostępne. Nie było jeszcze przełomowego wydania „Dramatów” ogłoszonego przez Konstantego Puzynę w 1962 roku. Trzebiński na pewno nie czytał ani jednego z czterech dramatów o rewolucji („Gyubal Wahazar”, „Bezimienne dzieło”, „Oni”, „Szewcy”), bo nie były jeszcze znane i ukazały się dopiero w powojennej edycji zbiorowej. Wolno

przypuszczać, że paradoksalnie zawdzięczał dużo swojej wiedzy o patronie jego największemu antagoniście Irzykowskiemu. Związek Trzebińskiego z Witkacym był przede wszystkim *Wahlverwandschaft*, pokrewieństwem z wyboru, intuicyjnym odpoznanie się w pisarzu starszym o całe pokolenie.

Idąc po linii mechanicznej zależności Marta Piwińska poświęciła „Aby podnieść różę” obszerny, inteligentny, może trochę „przeinterpretowany” esej: „Witkacy w 'laboratorium dramatu' Trzebińskiego” (drukowany dwukrotnie, w zbiorowym tomie „Studiów o Stanisławie Ignacym Witkiewiczu” i we własnej książce „Legenda romantyczna i szydery”). Moje przygodne uwagi na marginesie pracy Geroulda będą zmierzały w odwrotnym kierunku, będą usiływały wskazać co w tym fenomenalnym debiucie dramatycznym, fenomenalnością zbliżającym się do „Nieboskiej Komedii” jest nie z Witkacego, a może nawet jest przeciwne Witkacemu.

Nie ma u Trzebińskiego ani śladu malowniczego baroku, napiętrzenia, spotwornienia kształtów i kolorów charakteryzującego dramat witkacowski. W objaśnieniach wstępnych do „Bezimiennego dzieła” czytamy: „Tłum bardzo różnobarwny. W ubraniach tłumu zupełny brak koloru żółtego i czerwonego tych odcieni (kadmium cytrynowe i cynober chiński), które mają więźniowie na piersiach. Przeważa zielony, fiolet i karmin, rzadziej błękit”. W przeciwieństwie do tej malarskości „Aby podnieść różę” to dramat biało-czarny, jakby graficzny, z jednym tylko akcentem barwnym owej „róży” z tytułu. Górującym żywiołem jest nie malowniczość ale rozpoznanie intelektualne. Ten dramat nie tchnie żarem wizji, ale mrozi chłodem analizy, jak „zimna abstrakcja” Mondriana. Jest to dramat na wskroś cerebralny.

Świat i właśnie zaczęta rewolucja zostały w nim sprowadzone do wzoru matematycznego, do działań abstrakcyjnych. Akcja rozgrywa się w sali sportowej kosmopolitycznego hotelu „Maroko” gdzieś, kiedyś — zawsze, wszędzie. Jest ona przełożona na kategorie gry w ping-ponga. Kolejne jego partie następujące po sobie w logicznym porządku rozgrywają nie-rewolucjoniści (ubrani na biało), rewolucjoniści (ubrani na czarno); jedna postać jest obserwatorem i komentatorem tego co się dzieje wewnątrz i na zewnątrz; jedna wkracza w rozgrywki i rozruch rewolucyjny gwałcąc reguły gry. Zasadą konstrukcyjną sztuki jest refren sytuacyjny i słowny (ten termin jest nawet użyty w tekście), powrotność, powtarzalność o całej skali wariantów: wracają dęte, zmechanizowane slogany rewolucyjne, podobne i kontrastowe gesty, reakcje psychiczne, zwroty akcji. W tej matematyce dramatycznej jest coś muzycznego, bo też muzyka jest w swojej istocie sztuką najbardziej matematyczną ze wszystkich.

Szczególnie osobliwa i własna wydaje się u Trzebińskiego funkcja dramatyczna rzeczy, przedmiotów nieożywionych, rekwizytów. Rekwizyt jest tak dawny jak teatr, ale Trzebiński rozwinął teoretycznie coś, co można by nazwać „poetyką reistyczną”

i zademonstrował jej funkcjonowanie w swoim debiutanckim utworze. Rzecz nie jest dla niego ilustracją, elementem dekoracyjnym albo takim mechanicznym akceleratem intrygi, jak w „Cwiartce papieru” (*Les Pattes de mouche*) Wiktoryna Sardou, która podniecała naszych dziadków i co najpierwszych wirtuozów kunsztu aktorskiego w ich epoce. Związek rekwizytu z człowiekiem, świata rzeczy z światem ludzkim ma zakres o wiele bardziej rozległy i sens o wiele głębszy, chciałoby się powiedzieć — metafizyczny. Przedmioty „martwe” u Trzebińskiego zmieniają rolę i znaczenia, wpływają na *habitus* ludzki, oddziałują na wydarzenia, uczestniczą w nich nie tylko swoją obecnością, ale w tym samym, a nawet wyższym stopniu, swoją nieobecnością.

W tym sportowym moralitecie, w tej paraboli o rewolucji przede wszystkim piłka ping-pongowa istnieje na różne sposoby: funkcjonuje realnie, materialnie w dwu rozgrywkach, idealnie w dwu innych. Dwukrotnie znika znad stołu i siatki, ale to nie uniemożliwia i nie przerywa gry. Gdy zatracą się treść, dotykana substancja rzeczy, zostaje jej fantom, widmo, pozór. Sztuka kończy się obłędym, narastającym, potworniejącym w nieskończoność kołowrotem dwu potencjalnych dyktatorów wokół stołu, zamyka się rozgrywką bez treści, sensu i celu.

Rewolucję w dramacie Trzebińskiego robią mężczyźni; to oni wymyślają i wbijają w głowy ludzi prostackie hasła, wyzywają się z apetytów władczych, zapamiętują się we wzmówieniach i urojeniach. Przeciwstawia się im jedyna kobieta, „nudystka” Riza Obliwia. Dwa razy wyrzuca piłkę przez okno w rozgwar rewolucyjny, jakby chciała przywrócić partnerów do przytomności, ale to nie budzi ich z transu. Pod koniec sztuki w geście sprzeciwu wyrzuca siebie samą w ten ciemny rozgwar szumiący za oknem. Przekładając rzecz na język prostych pojęć, Riza wydaje się wcieleniem instynktu życia, poczucia rzeczywistości, miążdżonego przez rozpędzony kołowrót ludzkiego szaleństwa.

Drugim człowiekiem, który w rozkołysanym obłędzie zachowuje jaką taką równowagę, jest Ralf Arioni, socjolog i kochanek Rizy, rezoner, komentator, „filozof” w osiemnastowiecznym znaczeniu tego słowa i trochę *porte-parole* dramatopisarza. Wolno może w nim upatrywać — znowu grubo upraszczając — intelekt rozpoznający świat i usiłujący go porządkować. Gdy tępi, bezmyślni wodzowie i bierne, zgubione ofiary pogrążają się w somnambulicznym tańcu, Arioni samozwańczo staje na czele rewolucji, która jest faktem nieodwracalnym. Schodzi z sali sportowej hotelu, z wyżyn abstrakcji, na dół pomiędzy rewolucjonistów — „aby podnieść różę” Rizy, także wyrzuconą przez okno.

W zademonstrowanej przez Trzebińskiego „poetyce reistycznej” w dramatycznej dynamice przedmiotów owa róża, „nieprawdziwa róża”, jak ją prawdopodobnie określa Arioni, gra zupełnie szczególną rolę. Jest to przedmiot, który w naszych oczach przeistacza się i nabiera sensu, zmienia swoją esencję i znaczenia. Na początku ten zwitek z tandentnego jedwabiu nosi Riza we włosach. Potem przypina go na piersi Arioniego w odruchu

miłości i solidarności, może uznania i podziwu dla jego umysłu. Wreszcie rzucony jego ręką „sięga on bruku”, jakby mimowolnie wskazując drogę Rizie i nabiera głęboko symbolicznego sensu, sensu, który zasługuje na to, aby go „podnieść” z ziemi i włączyć w krwiobieg życia. W tym przewodzie wolno upatrywać deprecjację rekwizytu prerafaelskiego, secesyjnego, nadużytego przez *l'Art Nouveau* i jednocześnie jego rehabilitację, rewaluację, przywrócenie mu autentycznej wartości. W okupacyjnym podziemiu literackim stał się on symbolem znaczącym, może symbolem-kluczem. W 1942 roku Waław Bojarski, najbliższy przyjaciel Trzebińskiego, jego poprzednik w redakcji „Sztuki i Narodu” otrzymał wyróżnienie za wiersz „Ranny różą”. Odtąd, czy wcześniej — jest to rzecz do zbadania — ten motyw symboliczny wszedł w szeroki obieg i trwale skojarzył się z wojennym pokoleniem literackim. Świadczy o tym płyta gramofonowa „Odeszli z różą w sercu” poświęcona niedawno pięciu młodym poetom, do których należeli Bojarski i Trzebiński i obok nich Baczyński, Gajcy i Stroński.

Tytuł i pointa sztuki „Aby podnieść różę” jest równoważnikiem zdania, w którym bezkolicznik zastępuje podmiot, a cała konstrukcja składniowa wyraża nakaz, dążenie, wolę, wyznacza cel, wskazuje kierunek. Gerould, zresztą znakomity analityk o wielkim doświadczeniu pedagogicznym, uważa dramat z taką pointą za niedomówiony i nie dość wyrazisty w swojej intencji. Skłaniam się do przekonania, że trzecia część rozważań warsztatowych i teoretycznych Trzebińskiego („Z laboratorium dramatu”), pominięta przez Geroulda w jego antologii, pozwala wysunąć pogląd odmienny.

Dramat kończy się w sposób, który Trzebiński określił jako rozwiązanie na remis. Nie jest to katastrofa unosząca się jak grzyb atomowy nad wszystkimi sztukami Witkacego o rewolucji, nie jest to tym mniej huczne, spadające z nieba zwycięstwo. Nie ma w tym utworze beznadziejności, ale nie ma samoufudy. Arioni mówi na końcu:

„Schodzę aby podnieść nieprawdziwą różę, która musi gdzieś leżeć w pobliżu ciała biednej, naiwnej Rizy. Ale na to, by móc to uczynić muszę się stać człowiekiem, którego wszyscy biorą żartobliwie jako twórcę refrenów społecznych i którego jednocześnie słuchać nie chcą, ponieważ sami w coś-tam jeszcze wierzą. Stać się muszę dyktatorem...”

Jest w tych słowach podwójne ubezpieczenie. Samozwańczy dyktator broni swojej uzurpacji autoironią, chroni ofiarę Rizy przed fetyszystycznym zmumifikowaniem. Staje „ciche, milczące, niewidoczne” (są to określenia szkicu Trzebińskiego) przymierze między Rizą i Arionim, między instynktem i rozeznaniem, między żywiołową egzystencją i porządkującym rozumem. To „trzecie rozwiązanie” ma coś z neodpartej logiki rozwiązania matematycznego: nie dwaj dyktatorzy *in potentia*, nie dwaj bezsilni mimo mistrzowskich tytułów (mistrz świata w szachach i champion

wagi ciężkiej) nie-rewolucjoniści, ale nudystka żyjąca i umierająca dla nagiej prawdy życia i intelektualista starający się rozumieć mechanizm świata są tutaj zwyczajcami bez laurów. Oni są „trzecią siłą”, skromną, ostrożną nadzieją przyszłości.

Jeśliby ta, nieuchronnie szkicowa i uproszczona interpretacja zdołała się obronić, wolno by w dramacie dwudziestoletniego pisarza upatrywać pierwszą zapowiedź, pierwszą powściągliwą, wolną od złudzeń próbę przewyciężenia katastrofizmu Witkacego, podjętą w trzy lata po zamknięciu jego twórczości samobójczym gestem. Ta propozycja interpretacyjna wzbogaca dialektyczny rozwój polskiego dramatu awangardowego o jedno ogniwo, o wcześniej a bardzo odpowiedzialnie sformułowaną antytezę. Pierwszy witkacysta okazuje się pierwszym antywitkacystą. Jego dziewiczy dramat oczywiście zdradza jeszcze naiwności i słabizny: startuje ociężale, tu i ówdzie wikła się w sztywne schematy, wprowadza pomysły bez uzasadnienia i konsekwencji (kubistycznym deformacja okna w czasie akcji), ale trudno wobec niego powstrzymać się od określenia, które nie ma odpowiednika w polszczyźnie — *genialistisch*.

Inne pozycje antologii Geroulda nie są równie pobudzające, nie mają tej samej trwałości, ale skłaniają do dyskusji z zarysowaną przez niego syntezą polskiego dramatu awangardowego.

Gerould często używa zamiennie terminu „dramat” i „teatr”, co jest francuskim obyczajem językowym choć niekoniecznie służy jasności i konsekwencji wyводу. Zdaje się on stawiać wyżej teatr obrazu i ruchu od teatru słowa i myśli. To tłumaczy entuzjazm dla Afanasjewa i gdańskiego teatryku Bim Bom. Przełożone scenariusze nie całkiem potwierdzają ten entuzjazm. Teatr przechylny w stronę wizji malarskiej (*nota-bene* przypomina on prąd „pikturalny” w teatrze Drugiej Niepodległości, reprezentowany przede wszystkim przez Wincentego Drabika) zdystansowali tacy scenografowie-inscenizatorzy jak Kantor i Szajna, praktycznie obywający się bez dramatu. Scenariusze Afanasjewa nie wydają się ani literacko ani plastycznie jakoś szczególnie cenne. Jest on, jak i cały ruch amatorskich scen studenckich ważniejszy dla socjologii dramatu i teatru niż dla jego estetyki. Wskazuje to także Gerould. Stanowi to jeden z walorów jego książki, że świetnie orientuje się w podłożu polityczno-społecznym przemian i prądów, umiejętnie ukazując je czytelnikowi.

W ujmowaniu relacji: dramat-teatr Gerould wydaje się niezupełnie konsekwentny. Podkreśla, że od romantyzmu (*explicite* od „Prelekcji paryskich” Mickiewicza) dramat polski wyprzedzał, antycypował, postulował teatr. Dotyczy to również Wyspiańskiego. Powtórzyło się z Witkacym: także jego dramat implikował nową formę sceniczną. Znaczenie Różewicza zasadza się na walce z zastanymi konwencjami teatru. Ale w dwu przypadkach, którym w antologii nadano znaczny ciężar Gerould jakby odwraca ten stosunek.

Podziwia Gałczyńskiego za „skrajną zwartość nigdy nie osią-

gniętą, nigdy nieposzukiwaną” (rzeczywiście dwuwersowy „dramat” jest rekordem nie do pobicia) i daje takie kunsztowne czy tylko perwersyjne określenie „Zielonej Gęsi”: „Gałczyński stworzył całkowicie nieistniejący teatr, którego teatralność opierała się na zaprzeczeniu widowiska”. W rzeczywistości „najmniejszy teatrzyk świata” nie jest teatrem i nie jest dramatem — brak mu ciężaru i proporcji zdolnych wypełnić rzeczywistą scenę. Gałczyński należy (wymownie dowiodła tego Piwińska w cytowanej książce) do historii idei czy historii uczuciowości jako Pierwszy Szyderca, bezlitosny ikonoklasta polskiej legendy romantycznej.

Egzegeza „Przyrostu naturalnego” Różewicza przedstawia inny przypadek zamazania kategorii dramatu i teatru. Ten utwór czy tylko dokument, można by określić jako koszmar maltuzjański, jako prześladowczą obsesję ślepego, niewstrzymanego narastania masy biologicznej, pierwotnej substancji życia. Ale tej sprawie Różewicz nie zdołał nadać kształtu dramatycznego; przerosła ona jego możliwości. Wyznanie tego impasu ma znamiona dramatyczności, ale nie jest dramatem w literackim znaczeniu słowa. Gerould z wielką ofiarnością i pomysłowością stara się skonstruować *alibi* dla Różewicza. Stwarza przemyślny termin „scenariusz opowiedziany” (*a narrative script*), upatruje w jego autorze „bohatera nienapisanego dramatu lirycznego” i ten nienapisany dramat podnosi do rangi „wewnętrznego dramatu milczenia” (*the interior drama of silence*). Ale to wszystko bodaj nie narusza zdroworozsądkowej kwalifikacji faktu, że „Przyrost naturalny” nie jest utworem dramatycznym.

Urzeczony Gałczyńskim i Różewiczem — dwoma przypadkami skrajnymi, granicznymi — Gerould jest skłonny uważać polski dramat awangardowy za zjawisko zamknięte lub dobiegające kresu. Być może ma rację, choć temu pesymistycznemu rokowaniu przeczy Mrozek; jego twórczość nie zdradza objawów wyczerpania, nie zna dramatu niemożności, jest przykładem pełnej zgody między dramatem i teatrem. Bardziej przekonujący wydaje się argument o umasowieniu i oswojeniu buntowniczego prądu w Polsce i poza Polską. „Groteska i absurd stały się teraz neoklasycyzmem w dramacie” — stwierdza Gerould z właściwym mu darem związku, dobitnej formuły.

Perspektyw rozwojowych polskiego dramatu eksperymentalnego niełatwo w tej chwili przewidzieć. Można bez żadnych wątpliwości przewidywać perspektywy badań nad nim. Gerould ustawił rusztowania, zarysował proporcje, odsłonił dynamikę rozwojową, przeprowadził próbne sondaże. Jest sprawą najbliższej przyszłości sprawdzić, umocnić i wypełnić te rusztowania i proporcje, pomnożyć wiercenia, wyostrzyć dialektyczną linię rozwoju. *Twentieth Century Polish Avant-Garde Drama* jest książką brzemiennej postulatami. Nakazuje ona szczegółowy rozbiór dramatu tworzonoego w podziemi przez pokolenie wojenne (*casus* Trzebińskiego każe podejrzewać, iż mogą się w nim taić równie

zaskakujące niespodzianki np. „Misterium niedzielne” Gajcego? „Schyłek amonitów” Pohoskiej?). Prosi się o pogłębione ujęcie rozkwit dramatu w epoce popaździernikowej, jego perspektywy polskie i uniwersalne w dniu dzisiejszym. To wszystko i więcej — narzuca imperatywnie książka Geroulda.

Można się z nią spierać, i z prawa do sporu szeroko tu korzystano, ale nawet spierając się, nie można jej nie docenić.

Tymon TERLECKI

LEON JOŃCZYK

Wydanie albumowe poświęcone twórczości plastycznej najbardziej znanego w Europie i poza jej granicami współczesnego malarza polskiego, opracowane przez 6 autorów (dwóch Francuzów, dwóch Niemców, jednego Anglika i jednego Amerykanina (ukazało się w wersji trójjęzycznej. Format 30 × 25 cm. 36 reprodukcji kolorowych i 36 reprodukcji czarno-białych. Oprawa płócienna plus barwna obwoluta.

Album jest rodzajem monografii dokumentującej twórczość Leona Jończyka na przestrzeni 25 lat z przewagą prac powstałych w ostatnich latach. Książka ukazała się w księgarniach w Europie i poza jej granicami.

Album jest do nabycia po cenie wydawniczej (100 F.) przy zamówieniu z przedpłatą bezpośrednio u nas: Konto Kunstpodium, Kto. — Nr 6060 523 264, Bayerische Hypotheken — und Wechselbank, München.

Cena księgarska 150 F.

Część nakładu zawiera grafikę w nakładzie 100, która wysyłana jest za dodatkową opłatą 100 F. (sygnowana przez artystę).

**Kunstpodium Postfach 430 503
München 43.**

Archiwum polityczne

Doktryna wojenno-polityczna ZSSR

Wśród motywów określających politykę gospodarczą ZSSR i państw satelickich, miejsce naczelnie zajmują cele i zadania militarne. Doktryna i strategia wojenna powodują różnorodne następstwa polityczne, społeczne i gospodarcze. W sferze ekonomicznej skutki te odczuwalne są w polityce państwa, podporządkowanej doktrynie i praktyce wojenno-ekonomicznej. Ta ostatnia rzutuje na strukturę i kierunki rozwoju przemysłu, określa tempo wzrostu gospodarczego krajów Sowieckiego Bloku i wyznacza ciężary finansowe, które ludność musi ponieść w imię „obrony interesów wspólnoty państw socjalistycznych”. Doktryna wojenno-ekonomiczna ZSSR i krajów satelickich rozwijały się w latach 1945-1977 pod wpływem następujących głównych czynników:

- Głębokiej i postępującej stale rewolucji technicznej w dziedzinie środków walki zbrojnej;
- Zmian, jakie w związku z tym nastąpiły, w obowiązującej strategii wojennej i taktyce walki;
- Rosnących szybko możliwościach sowieckiej nauki, techniki i przemysłu w realizowaniu ambitnych zamówień Sztabu Generalnego Sowieckiej Armii — zarówno w sensie ilościowym jak i jakościowym;
- Przekształcenia się ZSSR z imperium europejskiego w imperium światowe, działające przy pomocy rosnącej liczby państw satelickich i zależnych.

Niemal nazajutrz po zakończeniu drugiej wojny światowej, głównym celem odbudowywanej z ruin gospodarki sowieckiej było jak najszybsze uzbrojenie i przebrojenie armii w najnowsze środki walki. Według Wiceministra Obrony ZSSR — generała armii

I. Pawłowski, już w 7-10 lat po zakończeniu drugiej wojny światowej zdołano w ZSSR skonstruować zupełnie nowe modele broni, rozpocząć ich seryjną produkcję, w pełni zmotoryzować armię, przebudować i przebroić lotnictwo oraz wyprodukować pierwsze bomby atomowe¹. Z oficjalnych danych wynika, że ten ogromny wysiłek gospodarczo-wojskowy miał kosztować sowieckie społeczeństwo tylko 20 % wydatków budżetowych tych lat państwa. Zauważmy, że w tym okresie zaczęła się wojna koreańska, która pochłonęła miliardy na „pomoc wojskową”.

Kłamliwość oficjalnie opublikowanych danych o wydatkach wojskowych państw Sowieckiego Bloku najlepiej prześledzić na przykładzie Polski². Oficjalne wydatki PRL na „obronę narodową” wahały się w latach 1950-1954 od 7 do 11 % ogólnych wydatków budżetowych państwa. W świetle tych skromnych liczb budzą zdumienie inne dane. Jeżeli wziąć poszczególne gałęzie przemysłu, to ich udział procentowy w produkcji dla wojska wynosił w tych samych latach jak następuje: przemysł maszynowy i metalowy — od 30 do 50 %, elektrotechniczny — od 15 do 35 %, chemiczny — od 10 do 90 %, w innych gałęziach przemysłu — do 60 %, w zależności od rodzaju produkcji. A PRL wytwarzała przecież tylko niektóre rodzaje broni, w tym niewiele broni ciężkiej. Nie trudno więc wyobrazić sobie jak sytuacja w tej dziedzinie kształtowała się w ZSSR.

Szeroki i wszechstronny udział przemysłu w produkcji dla wojska spowodowany był nie tylko tym, że wytwarzał on to co było armii potrzebne na bieżąco. W tych latach, zwłaszcza w latach 1950-1951, konwertowano w sposób nagły i wysoce kosztowny dużą ilość fabryk, lub fabrycznych oddziałów produkcyjnych. Zaprojektowane i w pełni już wyposażone fabryki, które miały wytwarzać wyroby dla rynku cywilnego, zaczęto przebudowywać i dostosowywać do produkcji uzbrojenia i sprzętu wojskowego. Część z konwertowanych na cele militarne mocy produkcyjnych została „zamrożona”, by dopiero na dane z góry polecenie, w obliczu bezpośredniego zagrożenia wojennego lub po rozpoczęciu wojny, przystąpić do seryjnego wytwarzania części lub całych zespołów dla fabryk zbrojeniowych. Do dyspozycji tych „zamrożonych” fabryk stały także „zamrożone” rezerwy surowców i półproduktów, na ogół bardzo brakujących na rynku cywilnym.

Po śmierci „wodza narodów” i zakończeniu wojny koreańskiej

1. Gen. I. Pawłowski, „*Ekonomika i woorużennyje siły SSSR*”, *Planowoje Choziajstwo*, Nr 2/1973, str. 27.

2. *Rocznik Statystyczny GUS*, Warszawa, 1954, 1955; Stanisław Ciastań, „*Ekonomiczne aspekty obronności*”, Warszawa, 1969, str. 197-198.

nastąpiło pewne odprężenie w sytuacji międzynarodowej. W tych latach dokonała się zarazem kolejna, głęboka rewolucja techniczna w dziedzinie środków walki zbrojnej. Broń atomowa i raketowa oraz rozwijająca się technika elektronowa, gwałtownie przyspieszyły proces „technicznego starzenia się” dużej i zasadniczej części dotychczasowego uzbrojenia i sprzętu wojskowego. Tym samym okazały się wkrótce mało użyteczne liczne maszyny i urządzenia fabryczne, które ten wojskowy sprzęt i przestarzałe już uzbrojenie wytwarzały. Historiografia gospodarcza PRL'u milczy na temat ceny, którą w tej formie zapłacono za „przyjaźń polsko-radziecką”.

U podstaw realizowanej wówczas w Polsce polityki wojenno-gospodarczej leżała strategia wojenna ZSSR, narzucona oczywiście wszystkim państwom satelickim. Zgodnie z jej wytycznymi ustalono we wszystkich krajach Sowieckiego Bloku jednolitą politykę mobilizacji gospodarczej na wypadek wojny, wyznaczono kierunki rozwoju przemysłu, w tym zwłaszcza przemysłu zbrojeniowego i ciężkiego. Także dziś jest doktryna i praktyka wojenno-ekonomiczna państw Sowieckiego Bloku częścią sowieckiej doktryny wojenno-ekonomicznej. Ponieważ rzutuje ona na politykę gospodarczą PRL i powoduje określone następstwa, zasługuje na szersze omówienie.

W pierwszym powojennym dziesięcioleciu przemysł ZSSR i krajów Sowieckiego Bloku wykazywał głębokie oznaki słabości. Niedorozwój przemysłowego zaplecza i jego zacofanie technologiczne narzucały planom wojenno-ekonomicznym określone metody przygotowania gospodarki do wojny. Mimo, że USA dysponowały już w pierwszym dziesięcioleciu po drugiej wojnie światowej znacznym potencjałem atomowym, nie zmieniono w zasadzie w ZSSR i w państwach satelickich przyjętej w latach drugiej wojny światowej doktryny wojenno-ekonomicznej. Jej słuszność miała ponoć być potwierdzona podczas wojny koreańskiej, która trwała trzy lata, a mimo to USA nie użyły broni atomowej. W istocie jednak, ówczesna doktryna wojenno-ekonomiczna ZSSR była wyrazem ekonomicznego zacofania oraz braku możliwości użycia przez ZSSR siły raketowo-nuklearnej w takim stopniu, w jakim mogły ją wówczas zastosować USA.

Późniejsze osiągnięcia ZSSR w dziedzinie techniki raketowej i nuklearnej oraz przeprowadzone tam doświadczenia z tą bronią, pozwoliły przywódcom ZSSR w pełni uświadomić sobie, jakie konsekwencje gospodarczo-wojenne spowoduje wojna z krajami NATO. Przyjęta wówczas przez USA strategia zmasowanego odwetu nie pozostawiała sowieckiej elicie wojskowej wątpliwości, że stoją w obliczu zupełnie nowych problemów. Bez znalezienia odpowiedzi na nowopowstałe kwestie strategiczne i gospodarczo-

wojenne nie można było podjąć ryzyka wojennego. Okres dwunastycznych decyzji w sowieckim planowaniu strategicznym i wojenno-gospodarczym trwał niemal do końcowej fazy rządów Chruszczowa, ale zakończył się zanim Breżniew objął ster władzy.

Zupełnie specyficzne problemy stanęły w tych latach przed Sztabem Generalnym „Ludowego Wojska Polskiego”. Była wówczas w Polsce grupa wyższych oficerów, których reprezentował gen. Zygmunt Duszyński, poszukująca własnej koncepcji, dostosowanej do wojenno-ekonomicznych możliwości kraju i do jego sytuacji geopolitycznej i wojskowej. Generał Duszyński pisał jeszcze w 1966 roku³: Podstawą dla reorganizacji polskich sił zbrojnych i jego zaplecza, powinno być „śledzenie doświadczeń militarnych potentatów, wybieranie z nich tego co najbardziej nowoczesne i co da się wpisać w kontury własnych możliwości”. Jak dalej wyjaśnimy, ZSSR nie jest zainteresowany, aby Polska „wpisywała to, co najbardziej nowoczesne” w kontury narodowe kraju, zwłaszcza jeżeli idzie o własną produkcję uzbrojenia. Polska ma spełnić ściśle wyznaczoną jej przez Sowiecki Sztab Generalny rolę, zarówno w sensie militarnym, jak i gospodarczo wojennym. Ponieważ gen. Duszyński nie był skłonny do przyjmowania narzucanych mu przez Rosjan zadań i koncepcji, musiał odejść, do czego walenie przyczyniła się polska agenda KGB — Wojskowa Służba Wewnętrzna.

Na początku lat sześćdziesiątych wśród teoretyków i dowódców wojskowych ZSSR i państw satelickich rozwinęła się szeroka dyskusja, w rezultacie której wytyczono główne kierunki działania dla sztabów wojskowych i dla komórek wojenno-ekonomicznego planowania. Przyjęte w rezultacie tej polemiki tezy dominowały w polityce wojenno-gospodarczej lat sześćdziesiątych i określiły wiele ważnych decyzji ekonomicznych obecnego dziesięciolecia. Z tych względów zasługują one na szersze omówienie.

Punktem wyjścia tych rozważań jest istniejący konflikt interesów i ewentualność wojny między państwami NATO i Blokiem Sowieckim. Jeżeli dojdzie do wojny między tymi dwoma blokami państw, to będzie ona miała charakter raketowo-nuklearny. Jej losy rozstrzygną się w ciągu pierwszych „10 godzin” walk. Nawet po dwustronnym zastosowaniu wynalezionych ostatnio bomb neutronowych, zostaną także wprowadzone do działań w szerokim zakresie bomby atomowe i wodorowe. Spowoduje to totalne niemal zniszczenie wielu centrów przemysłowych i miejskich, sieć energetyczna i transportowa zostanie unieruchomiona a straty ludzkie będą tak wielkie, że sparaliżują większość zorganizowa-

3. Zygmunt Duszyński, „Organizacja, reorganizacja — główne i pochodne”, *Mysł Wojskowa*, 1966, Nr 3, str. 5.

nych form działalności gospodarczej. W tych warunkach żadna z walczących stron nie będzie w stanie odtworzyć ubytków w uzbrojeniu i sprzęcie wojskowym, poniesionych w trakcie niezwykle intensywnych bojów. Nieużyteczna stanie się większość ze skomplikowanych urządzeń wojskowych, jak lotniska, porty morskie, stacje radarowe, ważniejsze mosty, etc.

O „zwycięstwie” na tym strasznym poboju nie będą więc decydować potencjalne możliwości produkcyjne i rezerwy ludzkie znajdujące się w dyspozycji każdej ze stron w okresie pokoju, lecz gotowa do użycia siła militarna w momencie wybuchu wojny oraz zapasy broni i sprzętu wojskowego, zabezpieczone przed zniszczeniem, zanim zostaną dostarczone walczącym wojskom. Rezerwowe moce produkcyjne w przemyśle zbrojeniowym oraz rezerwy materiałów strategicznych mają znaczenie przede wszystkim w wojnach „lokalnych” albo w konfliktach zbrojnych, które mogą wybuchnąć między mocarstwami, w których nie zostanie zastosowana broń nuklearna. W każdej z wojen zostanie wszakże użyta broń konwencjonalna w znacznie większych ilościach, niż bywało to dotąd.

Już piętnaście lat temu ówczesny Minister Obrony ZSSR — marszałek R. J. Malinowski stwierdził⁴, że: „... większa część wysiłków, które dawniej czyniono dla odniesienia zwycięstwa nad wrogiem w okresie wielu lat, obecnie musi być skoncentrowana w pierwszym ataku raketowo-nuklearnym i natychmiast następujących po nim skoordynowanych działaniach *wszystkich rodzajów sił zbrojnych*. A to wymaga osiągnięcia wyjątkowego stopnia gotowości, zarówno sił zbrojnych jak i całego państwa”...

Sowiecki teoretyk wojskowy, G. Miftiew, podkreślał w tym kontekście potrzebę nagromadzenia ogromnych zapasów amunicji i uzbrojenia oraz materiałów strategicznych⁵. Słuszność tak kosztownej koncepcji przygotowań wojennych także dla PRL, potwierdził w kilka lat później doradca Ministra Obrony PRL — płk H. Michalski. Nałożenie na ludność Polski tak wielkiego ciężaru zbrojeń, jest konieczne⁶ ponieważ: „... przystępując do starcia strony nie będą miały dostatecznego czasu ani realnych możliwości na wzmacnianie zdolności obronnych”...

O tym, że pogląd ten stał się integralną częścią planowania wojenno-ekonomicznego PRL świadczy stwierdzenie jednego z kierowników Departamentu Wojskowego Komisji Planowania PRL

4. *Krasnaja Zwiezda* z 25. X. 1962.

5. *Krasnaja Zwiezda* z 4. IV. 1965.

6. Henryk Michalski, *Pierwsze 100 godzin wojny nuklearnej*, Warszawa, 1967, str. 451.

— St. Ciastonia⁷. „W toku samej wojny — pisze Ciastonia — (w jej początkowym okresie — być może decydującym i równocześnie kończącym konflikt) działalność gospodarcza nie powinna limitować w decydujący sposób możliwości działania sił zbrojnych. Należy dążyć do jak najpełniejszego zabezpieczenia przewidywanych potrzeb sił zbrojnych i działalności gospodarczej kraju jeszcze przed wybuchem wojny...”

Inny wysoki oficer tegoż Biura Wojskowego, E. Sitek, podziela pogląd⁸, że „... maleje znaczenie przemysłu w zaopatrywaniu sił zbrojnych w okresie wojny...”, wobec czego można obecnie mówić o działaniu prawidłowości, że „... im większy jest rozmach i siła niszczycielska wojny, tym większe zadanie muszą być zrealizowane w okresie gospodarki przygotowań wojennych...”

Pogląd o potrzebie pełnego wyposażenia armii w okresie pokojowym we wszystkie środki walki i w ilościach wystarczających dla rozstrzygnięcia losów wojny, znalazł najpełniejszy wyraz w „biblii wojskowej” Sowieckiego Bloku wydanej pod redakcją marszałka W. D. Sokołowskiego⁹. W książce „Strategia Wojenna” uzasadnia się potrzebę stworzenia ogromnych rezerw broni i materiałów wojennych na długo przed wybuchem wojny. Jednocześnie postuluje się zasadę prowadzenia wojny błyskawicznej, jako jedynie słusznej metody prowadzenia takich działań w dobie istnienia ogromnych ilości broni nuklearnej i raketowej. Nagle okazało się, że tak krytykowany *Blitzkrieg* jest nieludzki, gdy prowadzą go państwa „imperialistyczne” i „agresywne”. *Blitzkrieg* sowiecki natomiast ma wyłącznie charakter „humanitarny”, albowiem — jak wyjaśnia W. Ławrionow¹⁰: „... takie państwo nie-agresywne musi się zawsze liczyć z okolicznością, iż wojna przewlekła pochłania więcej ofiar i strat materialnych niż błyskawiczna...”

Ponieważ poglądy przywódców sowieckich w kwestii humanitarnego charakteru przez nich przygotowywanych wojen, nie podzielają przywódcy państw NATO, trudno będzie przeprowadzić

7. St. Ciastonia, *op. cit.*, str. 208. W innym miejscu czytamy u tegoż autora: „... dostawy broni raketowej, uzbrojenia, amunicji i innego sprzętu wojskowo-technicznego w okresie pokoju w większym stopniu muszą zaspokajać nie tylko potrzeby ćwiczebne i mobilizacyjne, ale również potrzeby sił zbrojnych na wypadek wojny...”, *tamże*, str. 210.

8. Edward Sitek, *Mobilizacja Przemysłu dla potrzeb obronnych*, Warszawa, 1964, str. 7-8; tegoż autora *Ekonomia a obronność*, Warszawa, 1970, str. 86-87.

9. *Strategia Wojenna* pod redakcją W. D. Sokołowskiego, Warszawa, 1964, str. 258 i następne, 352-353.

10. W. Ławrionow, „Nowoje oruzije i prodołżitelnoś' wojny”, *Krasnaja Zwiezda* z 18. III. 1965.

mobilizację sił i środków, bez zwrócenia na to uwagi strony przeciwnej. Rozwinięty system wzajemnych obserwacji uniemożliwia przeprowadzenie mobilizacji skrytej, zaś mobilizacja jawna może spowodować przewencyjne uderzenie przeciwnika. Nawet z góry zapowiedziane manewry, na które ostatnio zwykło się zapraszać do ZSSR obserwatorów państw NATO, umożliwią jedynie przeprowadzenie tylko częściowej mobilizacji rezerw ludzkich i materiałowych.

Z tego wynikał wniosek, który w Bloku Sowieckim sformułowano następująco:

W ewentualnej, przyszłej wojnie między mocarstwami atomowymi, ten ma szansę przetrwać jako „zwycięzca”, kto będzie dysponował przed wybuchem wojny dostatecznie licznymi jednostkami wojskowymi, *permanentnie zaopatrywanymi w najnowocześniejszą broń i w ilościach pozwalających prowadzić działania bojowe do momentu osiągnięcia głównych celów strategicznych*. Nie tylko armia, ale także zaplecze musi dysponować rezerwami materiałów pędnych, środków transportowych, środków medycznych, żywności, etc., przy czym rezerwy te muszą być o wiele większe, niż bywały w krajach najlepiej przygotowanych do drugiej wojny światowej. Zrealizowanie w pełni takiego programu przygotowań wojenno-ekonomicznych zdawało się przekraczać możliwości nawet największych potęg gospodarczych świata. Z tych względów każdy zatwierdzony do wykonania program w tym zakresie musiał być kompromisem, uwzględniającym możliwości militarne, ekonomiczne i warunki polityczne każdego z partnerów Sowieckiego Bloku. Także w ZSSR kompromis ten narzucał potrzebę zrezygnowania z jakiegoś elementu programu przygotowań wojennych, na rzecz bardziej pilnego, czy uznanego za ważniejszy.

Na początku lat sześćdziesiątych polemika w sprawie ustalenia priorytetów dla programu wojenno-ekonomicznego przybrała w ZSSR dramatyczny charakter. Echa tej dyskusji dotarły do zachodniej opinii publicznej dzięki relacjom słynnego szpiega NATO — płk. Olega Pieńkowskiego¹¹. Od tego wiarygodnego świadka dowiadujemy się, że na początku lat sześćdziesiątych doszło do poważnej różnicy zdań między N. S. Chruszczowem a czołwką Sowieckiego Sztabu Generalnego. Urzeczony niszczycielskim działaniem broni nuklearnej oraz dalekim zasięgiem rakiet balistycznych, ówczesny przywódca KPZS domagał się skoncetrowania sił i środków dla zwiększenia przede wszystkim jakości

11. Oleg Penkovskiy, *The Penkovskiy Papers, with an introduction and commentary* by Frank Gibney, New York, 1965, part VI i IX, zwłaszcza strony 223-225.

i ilości broni raketowej i nuklearnej. By przyspieszyć realizację tego programu Chruszczow domagał się zmniejszenia wydatków na ilościową i jakościową rozbudowę broni konwencjonalnej i zredukowania o jedną trzecią liczebności wojsk lądowych. Proponowana wtenczas przez ZSSR krajom NATO wzajemna redukcja wojsk „w imię pokoju” miała więc jedynie kamuflować fakt, że zaoszczędzone środki zostaną użyte na przyspieszenie realizacji programu raketowo-nuklearnego. Propozycja redukcji wojsk nie była zatem wyrazem pokojowych dążeń „dobrodusznego Nikity” — jak to komentowano w wielu kręgach politycznych Zachodu, lecz wygodnym dla ZSSR kompromisem, w celu szybszego przebrojenia Armii Sowieckiej.

Zaznaczmy, że wspomniany Pieńkowski z prerażeniem wspomina o marzeniu Chruszczowa by jednym zmasowanym uderzeniem raketowo-nuklearnym zniszczyć cały „imperialistyczny Zachód”. Okoliczność, że ówczesne rakiety balistyczne ZSSR były niezbyt celne i że było ich mało, podziałała hamująco na Chruszczowa i jego zwolenników.

Większość sowieckich przywódców wojskowych nie była przeciwna idei koncentrowania wysiłku produkcyjnego i technologicznego na broni raketowo-nuklearnej, ale uważali oni za niedopuszczalne zaniedbywanie dalszego rozwijania wszystkich rodzajów broni konwencjonalnej. Opór generałów i marszałków przeciw redukcji sił konwencjonalnych wynikał nie tylko z troski o potęgę militarną ZSSR. Utrzymanie dużych kontyngentów czołgów, artylerii i wojsk lądowych w ogóle, było warunkiem zachowania prestiżu i pozycji społecznej liczonej elity oficerskiej. Na korzyść ich partykularnych interesów zaczął też wkrótce działać bieg wydarzeń politycznych na świecie.

Kryzys berliński z 1962 roku, a następnie kryzys kubański dostarczyły kolejno argumentów zwolennikom szybkiej rozbudowy sił lądowych i morskich. Chruszczow, który do tego momentu wyśmiewał skuteczność wielkich lotniskowców i innych okrętów wojennych, musiał wkrótce ustąpić żądaniom zbudowania sowieckiej floty morskiej, zdolnej do działania na wszystkich morzach świata. Zaostrzający się konflikt z Chinami jeszcze bardziej wzmocnił pozycje tych, którzy żądali dalszego umacniania sił konwencjonalnych Sowieckiej Armii. W kilka miesięcy przed antychruszczowskim spiskiem, ten kierunek myśli w sowieckiej strategii — ergo w wojenno-ekonomicznych koncepcjach — stał się dominujący i oficjalnie obowiązujący. W opublikowanym 19-20 stycznia 1963 roku artykule generała S. Sztemięki, w gazecie *Żołnierz Wolności*, mającym wtenczas instruktywną wymowę dla „Ludowego Wojska Polskiego”, czytamy: „Przełamanie zawczasu przygotowanej obrony (NATO — M. Ch.) będzie realizowane nie metodą

stopniowego „przegryzania” — jak w drugiej wojnie światowej — lecz poprzez uderzenie nuklearne i gwałtowny atak jednostek pancernych i zmechanizowanych”...

Masowe użycie czołgów, a zatem *masowa ich produkcja*, było uzasadniane nie tylko potrzebą *opanowania* terenów wroga, po uderzeniu nuklearnym. Przeprowadzone w ZSSR doświadczenia wykazały, że załoga czołgów jest w znacznej mierze chroniona jego pancernem przed działaniem promieni radioaktywnych. Jednostki pancerne mogą więc przejść przez radioaktywnie skażone tereny, przez które nie mogą się przedostać wojska zmechanizowane czy piesze.

Najbardziej ważkich argumentów na rzecz równoległego rozbudowywania broni raketowo-nuklearnej i konwencjonalnej dostarczyły jednak wydarzenia polityczne lat sześćdziesiątych: oderwanie się Albanii od Bloku Sowieckiego, powstanie dużej liczby nowych państw na kontynencie afrykańskim i azjatyckim, incydent zbrojny z Chinami oraz nasilenie się tendencji odśrodkowych w łonie samego Bloku Sowieckiego.

Albania miała ogromne znaczenie strategiczne dla sowieckiej floty wojennej, dawała bowiem w jej głębokowodnych portach morskich w Durrësi i Vlora znakomite schronienie dla sowieckich okrętów, zwłaszcza podwodnych, w akwenie Morza Śródziemnego. Albania po zrezygnowaniu w 1963 roku z dalszej współpracy w ramach Paktu Warszawskiego, pozbawiła Rosjan prawa korzystania z tych portów. Zmusiło to Moskwę do zintensyfikowania flirtu z państwami arabskimi z jednej strony, a z drugiej — przypięczętowało ostatecznie decyzję w sprawie zbudowania licznych okrętów raketowych i okrętów-baz. Polskie stocznie w Gdańsku i Gdyni otrzymały właśnie wówczas zamówienia od Rosjan, które wykluczyły możliwość eksportowania statków na rynki zachodnie. Od 1960 do 1970 roku wartość eksportu polskich stoczni *wzrosła* z 79 do 182 mln. rubli, z czego prawie 70-80 % szło na potrzeby ZSSR (budowano m.in. dla Rosji słynne „Komary”). W tych latach *wzrosła* także wartość importowanego do ZSSR sprzętu portowego i statków z 340 do 574 mln. rubli.

Statki zaopatrzeniowe i okręty wojenne budowano dla ZSSR w wielu stoczniach świata: w Niemczech Wschodnich, w Rumunii, Japonii, Francji a nawet Anglii. Pozwoliło to stoczniom Związku Sowieckiego przeznaczyć cały potencjał produkcyjny na budowę okrętów atomowych i raketowych, a ostatnio na budowę lotniskowców. Dzięki temu Sowiecka Flota Wojenna może dziś zagrażać wszystkim państwom i na wszystkich morzach świata.

Na ilościową rozbudowę broni dla wojsk lądowych Paktu

Warszawskiego, wpłynęło zakończenie okresu kolonializmu w Azji i Afryce. Po raz pierwszy proces powstawania młodych państw w tych rejonach świata pobudził działanie producentów broni w ZSSR i w krajach satelickich, kiedy pojawiła się możliwość włączenia Indonezji w sowiecką orbitę wpływów. Od początku lat sześćdziesiątych do przewrotu antysukarnowskiego z 1965 roku, płynęły do tego kraju potoki broni z wszystkich państw satelickich, a zwłaszcza z ZSSR, Czechosłowacji i Polski. Antykomunistyczny przewrót w Indonezji spowodował załamanie się nadziei na rozszerzenie wpływów ZSSR w tym rejonie świata i na korzystne dostawy dużych ilości przestarzałej broni. „Casus Indonezja” dostarczył jednak cennych argumentów zwolennikom tezy, że produkowanie czołgów, dział i nawet broni lekkiej, jest uzasadnione zarówno z punktu widzenia strategicznego i militarnego, jak i ekonomicznego i politycznego. Nawet broń przestarzała — twierdzili oni — może być cennym narzędziem sowieckiej ekspansji politycznej, albo źródłem cennych dewiz. Późniejszy bieg wydarzeń potwierdził słuszność tych przewidywań.

Wojskowa interwencja w Czechosłowacji z 1968 roku oraz zbrojny incydent z Chinami w 1969 roku wykazały, że możliwe są konflikty zbrojne, w których ZSSR posługuje się przede wszystkim wojskami pancernymi i zmechanizowanymi oraz samolotami podczas gdy bronie raketowa i nuklearna spełniały rolę prewencyjnej osłony przeciw ewentualnemu zaangażowaniu się państw tę broń również posiadających.

Wspomniane wydarzenia oraz fakt, że w latach sześćdziesiątych niepomiernie wzrosły możliwości techniczne i potęga przemysłu ZSSR i państw satelickich przyczyniły się do tego, że sowiecki Sztab Generalny zaczął w jeszcze większym zakresie domagać się równoległego rozwijania i produkcji broni konwencjonalnej oraz raketowo-nuklearnej. Jednocześnie zaczęto przygotowywać cały kraj, a zwłaszcza przemysł i transport, do warunków wojny nuklearnej. Od połowy lat sześćdziesiątych zaczęły w ZSSR i w krajach satelickich obowiązywać nowe kryteria określające rozwój ważniejszych fabryk i centrów miejskich, tworzenie rezerw, organizację transportu, etc. Cała ta działalność inwestycyjna i gospodarcza została dostosowana do wymogów wojny, w której zostałaby użyta broń raketowa i nuklearna. Jednocześnie przemysł miał odtąd dostarczać armii wszystkich rodzajów i ilości broni, które miały umożliwić działanie wojsk w pierwszych „100 godzinach wojny” nuklearnej i później, bez bieżących dostaw z fabryk zbrojeniowych. Realizacja tak szeroko zakrojonych zadań wymagała przekształcenia gospodarki państw sowieckiego Bloku w pewien model gospodarki wojennej.

Z dostępnej literatury wynika, że podstawowe decyzje w spra-

wie wprowadzenia w życie nowych wytycznych celem dostosowania przemysłu i całej gospodarki kraju do potrzeb i postulatów sowieckiego Sztabu Generalnego, zapadły po dojściu do władzy Breżniewa. Trzy kolejne plena KPZS: w październiku 1964 oraz w marcu i wrześniu 1965 roku, poświęcone były między innymi zagadnieniom wojenno-ekonomicznym. Postanowiono widocznie wprowadzić jasną politykę w dziedzinie produkcji uzbrojenia i sprzętu wojskowego oraz dalszego rozwijania inwestycji dla potrzeb wojska i wojny. Na uchwały tych partyjnych plenumów powołuje się gen. A. Kornijenko — jeden z czołowych specjalistów w dziedzinie ekonomiki wojennej w ZSSR. W jego artykule, opublikowanym w *Wojennej Mysli*¹², teoretycznym organie sowieckiej Armii, postuluje on potrzebę rozwinięcia szerokiego programu badań w dziedzinie ekonomiki wojennej, by w sposób racjonalny rozwiązać ogromną ilość problemów, jakie stanęły w aktualnych warunkach przed planistami gospodarczymi ZSSR. Generał próbuje zarazem wytłumaczyć wojskowej elicie ZSSR, że nie jest rzeczą możliwą, by wszystkie ich żądania w dziedzinie dostaw broni i sprzętu, lub dalszego zwiększenia różnych wydatków militarnych, były spełnione bez wyrządzenia szkód całej gospodarce narodowej i podkopania bazy produkcyjnej dla przemysłu zbrojeniowego przyszłości.

Cytuję fragmenty artykułu gen. A. Kornijenki:

„... Odeszły bezpowrotnie w przeszłość czasy empirycznych decyzji i postanowień oraz podejmowanych na oko wniosków w dziedzinie ekonomiki wojennej...” „... Ekonomiczne przygotowania do wojny wymagają systematycznego i narastającego zwiększania produkcji wojennej i materialnych rezerw, tworzonych w obu działach produkcji społecznej. Konieczność ta oddziałuje na proporcje produkcji w łonie każdego z działów z oddzielną oraz między poszczególnymi działami (tj. środków produkcji i środków konsumpcji — M. Ch.) w ogóle. W sensie ekonomicznym oznacza to 'zamrożenie' części globalnego produktu w interesach obrony kraju. W pewnym znaczeniu, część tego produktu zostaje więc wyłączona z obrotu ekonomicznego, aczkolwiek jego realizacja odbywa się zgodnie z jego wartością. Istnieje wszakże realna i obiektywna granica, poza którą ta część globalnego dochodu narodowego nie może być powiększona bez rażącego naruszenia warunków reprodukcji produktu społecznego. Prawa ekonomiczne 'zbuntują' się przeciw takiemu skandalicznemu naruszeniu warunków reprodukcji a gospodarka kraju zostanie zrujnowana zanim jeszcze zacznie się wojna...”

Ostrzegając przed awanturnictwem w planowaniu wojenno-ekonomicznym, gen. Kornijenko bynajmniej nie był przeciwnikiem zwiększenia produkcji uzbrojenia i sprzętu wojskowego, wskazał on natomiast na istnienie granicy dla wydatków wojskowych. W państwach satelickich wydatki militarne mają poniekąd ostrzej-

12. Generał-major A. Kornijenko, „Kurs wojennej ekonomiki jak uczebna disciplina”, *Wojennaja mysl*, Moskwa, 1966, Nr 3, str. 29.

szą niż w ZSSR wymowę polityczną i społeczną. Trudniej np. w PRL usprawiedliwić ogromne wydatki na zbrojenia, skoro wiadomo, że służą one w zasadzie umacnianiu wielkorosyjskich i imperialnych celów ZSSR i nie mają nic wspólnego z rzeczywistymi interesami narodowymi Polski.

O ilości produkowanej obecnie w ZSSR i krajach satelickich broni możemy się dowiedzieć pośrednio z artykułu zmarłego niedawno Ministra Obrony ZSSR — marszałka Greczki¹³. Porównując wyposażenie dywizji zmechanizowanej z okresu 1939 roku z podobną dywizją sowiecką z roku 1967 — stwierdził on, że posiada ona *więcej*: czołgów — 16 razy, transporterów i innych pojazdów opancerzonych — 37 razy, broni automatycznej — 13 razy, środków łączności — 5 razy; wyposażenie w energię średnio na jednego żołnierza wzrosło z 3 KM do 30 KM, ciężar salwy z wszystkich luf artyleryjskich ważył w 1939 r. 1.700 kg., zaś w 1967 r. 53 tony.

Wytwarzana obecnie broń jest bardziej skomplikowana, lepiej wyposażona w kosztowne urządzenia, zwłaszcza elektronowe i o wiele szybciej wychodzi z użycia na skutek dokonujących się zmian technicznych. Produkowanie tej broni w ilości wystarczającej dla „zwycięskiego” zakończenia wojny jest tak kosztowne, że nawet USA zrezygnowały z tej koncepcji, aczkolwiek także w tamtejszych kręgach polityków i wojskowych rozumie się, że jest to najpewniejszy sposób zabezpieczenia się przed groźbą sowieckiej agresji¹⁴.

Aczkolwiek również ZSSR musi poszukiwać kompromisów w realizowaniu tak kolosalnego programu zbrojeniowego, to jednak *ilość* permanentnie produkowanych tam nowych modeli broni w znacznie większej mierze uwzględnią omówioną wcześniej gotowość wojenną, niż w krajach Zachodu. Jest to w pewnej

13. A. A. Greczko, „O projekcie zakona o wsieobszczeniu wojskowej objaznoscii”, *Prawda* z 13. X. 1967.

14. Znamiennie, że pogląd taki wypowiedział już H. A. Kissinger w swej znanej książce: *Nuclear Weapons and Foreign Policy*, New York, 1957. Po objęciu stanowiska Sekretarza Stanu i Członka Rady d/s. Bezpieczeństwa Narodowego nie był on skłonny, jak wielu innych, realizować własnych rad. Także wybitni eksperci amerykańscy: Charles J. Hitch i Roland N. McKean wypowiadają taki sąd w ich książce (przetłumaczonej na polski) *Ekonomika obrony w erze jądrowej*, Warszawa, 1965, str. 42-43. Nie sposób w tym miejscu nie zaznaczyć, że także ten aspekt doktryny wojenno-ekonomicznej ma — według propagandy sowieckiej — inną wymowę, gdy realizuje się ją w ZSSR, a inną w krajach NATO. Okazuje się, jak pisze S. Barteniew w *Krasnoj Zwiezdie* z dn. 7. VII. 1964, to teorie kapitalistyczne mówiące o „utrzymaniu sił zbrojnych i produkcji militarnej na najwyższym poziomie” służą interesom monopoli i uzasadnieniu konieczności zwiększenia wyścigu zbrojeń oraz wzrastającej militarizacji w tych krajach, podczas gdy w krajach „miłujących pokój” służą one wyłącznie zbawieniu ludzkości.

mierze także słuszne jeżeli idzie o produkcję broni w krajach satelickich. Weźmy przykładowo produkcję czołgów.

Według danych Instytutu Studiów Strategicznych w Londynie, Armia Sowiecka liczy obecnie około 100 dywizji zmechanizowanych i 50 dywizji pancernych. Dywizja zmechanizowana liczy około 150 czołgów, zaś dywizja pancerna uzbrojona jest w 300-350 czołgów. Znaczy to, że Armia Sowiecka dysponuje obecnie 30-35 tysiącami czołgów. W rzeczywistości jednak, jeżeli uwzględnimy także rezerwę czołgów, to liczba ta powinna być podwojona. W Polsce jest 6 dywizji zmechanizowanych i 4 dywizje pancerne, zatem razem około 2.500 czołgów, bez czołgów rezerwowych. Dla porównania dodajmy, że Czerwona Armia posiadała na granicy z Niemcami w roku 1941 zaledwie 1.800 czołgów. Podczas wojny 1941-1945 przemysł zbrojeniowy ZSSR dostarczył walczącym wojskom sowieckim 93 tysiące pojazdów pancernych, czyli 50 razy więcej niż użyto ich w pierwszych tygodniach bojów.

Bezpowrotne *ubytki miesięczne* jednostek Armii Czerwonej działających na froncie wynosiły w latach drugiej wojny światowej¹⁵: 12 % ogólnego stanu liczebnego samolotów, 19 % ogólnej liczby czołgów, 9 % artylerii. Środki niszczenia samolotów i czołgów są obecnie o wiele skuteczniejsze, boje są bardziej intensywne i nawet bez użycia broni nuklearnej straty będą o wiele wyższe, niż w latach drugiej wojny światowej. Wojny izraelsko-arabskie z 1967 i 1973 roku dowodzą, że w ciągu 10 dni bojów na małym stosunkowo froncie można zniszczyć ponad 2.500 czołgów.

Liczby te pozwalają zrozumieć jakie powinny być rezerwy czołgów dla będących dziś w ciągłym pogotowiu wojennym dywizji państw Paktu Warszawskiego, by wystarczyły na owe pierwsze „100 godzin” decydujących bojów. Jeżeli tylko podwoić, w porównaniu z drugą wojną światową, przewidywane straty i ubytki jakie obecnie muszą być poniesione w pierwszych tygodniach walk, łatwo stwierdzić, że np. rezerwy czołgów powinny być równe ustalonym dla dywizji etatom. W jednostkach wojskowych i hangarach Sowieckiej Armii znajduje się zatem obecnie około 60-65 tysięcy czołgów. Tylko na przewidywanym europejskim teatrze działań wojennych znajduje się — według szacunku londyńskiego Instytutu Studiów Strategicznych — około 30 tysięcy sowieckich czołgów. Tę liczbę czołgów trzeba co kilka, lub kilkanaście lat, wymieniać, zastąpić czołgami bardziej nowoczesnymi. I to właśnie przekształca program zbrojeniowy w błędne koło.

15. St. Ciastoń, *op. cit.*, str. 215.

W okresie po drugiej wojnie światowej wprowadzano średnio co 7-8 lat nowe modele czołgów. Aby wymienić w ciągu takiego okresu około 60 tysięcy czołgów trzeba produkować corocznie średnio 7-8 tysięcy czołgów. Tylko stali potrzeba na taki program 350-400 tysięcy ton rocznie. W Polsce gdzie program produkcji czołgów jest znacznie mniejszy, a planowane rezerwy są niewielkie, także — jak należy dedukować — produkuje się około 250-300 czołgów rocznie. A czołgi są tylko małym wycinkiem ogromnego programu zbrojeniowego. Z tego wynika, że bieda ludności krajów Sowieckiego Bloku spowodowana jest nie tylko nieumiejętnym gospodarowaniem, czy brakiem bodźców, ale głównie trwającymi permanentnie kolosalnymi wydatkami na zbrojenia. Niedoinwestowanie produkcji cywilnej jest bezpośrednim wynikiem przeinwestowania przemysłu zbrojeniowego. Oficjalne wydatki militarne PRL wzrosły np. od 1966 roku w milionach dolarów z 1.584 do 2.244 w 1970 roku. Po krwawych starciach na Wybrzeżu wydatki te nadal wzrastały; w 1971 roku wynosiły 2.367 mln. dol. a w 1974 roku — już 2.839 mln. dol. (SIRPI Yearbook 1975, str. 122).

Drugim następstwem realizowanego w Sowieckim Bloku programu zbrojeniowego jest powstawanie tam ogromnych nadwyżek nowej i w pełni sprawnej broni. Magazynowanie tych nadwyżek technicznie nieco przestarzałej broni jest bardzo kosztowne. Warto ją tanio sprzedać lub nawet darować jakiemuś skłonnemu się sprzedać Rosji dyktatorce, byle zwolnić magazyny dla kolejnego „pokolenia starzejącej się” broni. Gdy trzeba darować, ZSSR uruchamia Komisję Przemysłu Obronnego RWPG, która podejmuje decyzje o wspólnym finansowaniu tych darowizn przez państwa Paktu Warszawskiego. Gdy można jednak sprzedać, to ZSSR jest pierwszy, zwłaszcza gdy partner skłonny jest płacić dewizami (jak np. Kadafi).

Jako sprzedawca, ZSSR ma przewagę nad innymi członkami Paktu Warszawskiego nie tylko dlatego, że produkuje wszystkie rodzaje broni i w znacznie większych ilościach. Chodzi o to, że państwa satelickie otrzymują od Związku Sowieckiego dokumentację techniczną nowych modeli czołgów, dział czy innej broni, dopiero wówczas, gdy znajduje się ona w ZSSR już w seryjnej produkcji. Dlatego też te „bratnie” kraje są opóźnione o 3-4 lata jeśli idzie o wyposażenie wojsk w nowsze modele uzbrojenia. To wyjaśnia dlaczego np. ZSSR może już sprzedawać czołgi T-62, zaś państwa satelickie nie mogą, ponieważ nie zdążyły jeszcze nawet przezbroić własnych jednostek, zgodnie z programem narzucenym przez wspomnianą Komisję Przemysłu Obronnego RWPG.

Obowiązujący w krajach Sowieckiego Bloku, a zwłaszcza w

ZSSR, program zbrojeń, pozwala zrozumieć dziwny paradoks. Taka potężna przemysłowa jak Związek Sowiecki, który hojną ręką posyła kosztowne uzbrojenie do różnych krajów Azji i Afryki, zabiega równocześnie o kredyty we wszystkich państwach Zachodu. Nawet niebogata Italia była pożądanym kredytodawcą (Fiat), nie mówiąc o „podupadającej” Anglii, o targanej strajkami Francji, Niemczech, USA. Każdy kto chce pożyczyć, skredytować import, jest mile widziany. Jest to zrozumiałe, ponieważ importowane dla sowieckich fabryk maszyny, czy produkty dla rynku cywilnego (np. zboże), pozwalają własne zasoby przeznaczyć na realizację programu zbrojeniowego. W systemie opartym na scentralizowanym dzieleniu zasobów i scentralizowanym planowaniu produkcji, jest to zabieg stosunkowo prosty. Jest oczywiście lepiej, gdy w ramach importu z Zachodu można przeszmygłować najnowsze technologie potrzebne dla doskonalenia produkcji broni, ale i bez tego ZSSR traktuje zachodnie kredyty, jako dogodną formę finansowania swoich napiętych programów zbrojeniowych, ergo-sowieckiego eksportu broni.

Wśród zwolenników „kredytowania” *détante*, można spotkać się z twierdzeniem, że w końcu jest to przecież forma pomagania ludności krajów Sowieckiego Bloku, jakiś humanitarny wyraz intencji Zachodu wobec trapiącej niedostatkami ludności ZSSR i państw satelickich. Jest to kolejne złudzenie tych, którzy „wola nie wiedzieć”. Kompetentny zapewne zastępca Przewodniczącego Komisji Planowania ZSSR — W. Lebediew — stwierdza, że: „... przy rozdzielaniu waluty, przeznaczonej na zakupienie (zachodnich — M.Ch.) licencji, maszyn i urządzeń, *główna ich część jest często kierowana do gałęzi, zużywających środki produkcji, co w sposób istotny ogranicza możliwości nabycia tego wyposażenia przez gałęzie, produkujące środki produkcji*¹⁶”.

Kto umie czytać zakamuflowane formy wyrażania się w sprawach tajnych wie, że Lebediew ostrzega przed dyskryminowaniem „fabryk produkujących fabryki”, na rzecz przemysłu zbrojeniowego. Tym bardziej więc dyskryminowane są przemysły produkujące dla rynku konsumentów. I to jest kolejne następstwo wojenno-ekonomicznej praktyki ZSSR i państw satelickich. Najlepsze maszyny, deficytowe surowce, przodujące kadry fachowców, najnowsze technologie, najlepiej wyposażone laboratoria — wszystko to stoi przede wszystkim do dyspozycji kompleksu zbrojeniowego ZSSR. Wyjąłowanie działów cywilnych z tego co najlepsze nie byłoby może tak dotkliwie dla ludności, gdyby przemysł zbrojeniowy i wojskowy chciał swoje osiągnięcia przekazać

16. W. Lebediew, „Planowanie i naukowo-techniczeskij progres, *Plano-weje Choziajstwo*, 1975, Nr 11, str. 13.

na jej użytek. Bieda w tym, że najnowsze technologie i także technologie nielegalnie ukradzione Zachodowi, są utajnione, nie mogą więc być zastosowane do wytwarzania dóbr dla rynku cywilnego.

Wreszcie od dziesiątków lat obowiązuje w ZSSR zasada, skrupulatnie przeszczepiona do państw satelickich, że wszystkie gałęzie przemysłu cywilnego i także rolnictwo „karmione” są inwestycjami dopiero po wykonaniu programu zbrojeniowego. Zagrożony plan produkcyjny przemysłu zbrojeniowego jest zawsze „ratowany” kolejnymi cięciami w działach cywilnych. Jest to względnie proste, ponieważ w każdej niemal większej fabryce i w każdym prawie instytucie, istnieje oddział, który pracuje wyłącznie dla odbiorcy wojskowego. Pomijamy tu oczywiście wyspecjalizowany przemysł zbrojeniowy. Totalne zmilitaryzowanie całej gospodarki narodowej, było i jest zresztą warunkiem umożliwiającym wykonanie kolosalnego programu wojenno-ekonomicznego. Zacołfane rolnictwo sowieckie, niedoinwestowany przemysł konsumpcyjny całego Bloku Sowieckiego, niska jakość wyrobów rynkowych, to wynik między innymi wysysania najlepszych sił i środków przez potężną i wszędobylską sieć wojskowych fabryk, wojskowych oddziałów, komórek i sekcji. Oto przykład ilustrujący skutki działania tej wojskowej „ośmiornicy”.

W latach pięćdziesiątych trzeba było w polskim przemyśle zbrojeniowym, podległym Ministerstwu Przemysłu Ciężkiego, znaleźć rozwiązanie dla pewnego problemu technologicznego, ważnego dla fabryk przemysłu czołgowego. Udział produkcji tego wyrobu w ogólnej wartości produkcji zakładów podległych temu ministerstwu, nie przekraczał 2-3 %. Jednakże, by rozwiązać powstały problem technologiczny zaangażowano około 90 % kadr i urzędników wszystkich laboratoriów podległych MPC. I tak dzieje się wszędzie, stale i do dziś.

A oto inny przykład skutków militaryzacji programów rozwojowych ZSSR. Związek Sowiecki bardzo szczeni się, podobnie jak PRL, że produkuje o wiele więcej specjalistów niż Zachód. Na przykład w 1960 roku otrzymało w ZSSR dyplomy inżyniera 120 tys. osób. W gospodarce sowieckiej pracowało wówczas 1.135 tys. inżynierów. W tymże roku odnośne cyfry dla USA wynosiły: dyplomy otrzymało 43 tys., a pracowało w całym USA 590 tys. inżynierów. W 1972 roku uczelnie ZSSR opuściło już 293 tys. dyplomowanych inżynierów, a w USA tylko 53 tys. W tymże roku w ZSSR pracowało w gospodarce 2.820 tys. inżynierów, a w USA 990 tys.¹⁷. Zatem w ZSSR było w 1972

roku o 1.830 tys. więcej dyplomowanych inżynierów, niż w największej potędze przemysłowej świata. Tylko, że przemysł USA wytwarzał o 40 % więcej niż ZSSR. Po co więc Rosja szkoli takie armie specjalistów. A po to, żeby mieć rezerwy ludzkie dla obsługi wojennej techniki i by nie być pozbawioną kadr specjalistów po „zwycięskiej” wojnie nuklearnej, w której — według szacunków — zginie 1/3 do 1/2 ludności ZSSR. Inżynierowie, którzy uratują się od tej zagłady, będą potrzebni dla odbudowania kraju. Dodajmy, że ta makabryczna troska planistów wojskowych „o jutro” obciąża *dziś* społeczeństwo ZSSR miliardami rubli. Ponieważ wykształcenie inżyniera kosztuje w Rosji około 4 tys. rubli, nadwyżka strategiczna tych specjalistów pochłonęła pięć lat temu około 6 miliardów rubli. Dziś zapewne jest to koszt jeszcze wyższy.

Ubočnym niejako, ale ważkim społecznie aspektem, podporządkowania całej gospodarki kraju kompleksowi militarnemu, jest wzrost pozycji KGB. Istnienie oddziałów, czy sekcji wojskowych, we wszystkich prawie przedsiębiorstwach i instytucjach, pozwala nadać każdej formie działalności tych placówek piętno tajności. Gdzie „tajnia” — tam „tajniak”. Bez trudu może więc KGB, który odpowiada za wszystko co tajne, regulować zatrudnienie, awanse, miejsce zamieszkania, turystykę, a już na pewno prawo do wyjazdu poza granice państwa. Jak bardzo jest to groźny aspekt władzy KGB wiedzą dobrze ci, którzy ubiegają się o wyjazd z Rosji. Nawet szewc, stolarz czy dozorca nocny może być obwiniony o to, że poznał najgłębsze tajemnice państwowe, jeżeli tak jest wygodniej.

Nie wszystkie opisane powyżej następstwa programu wojenno-ekonomicznego występują w PRL w takiej formie, jak w ZSSR. Jest natomiast pewien specyficzny dla krajów satelickich skutek podporządkowania tego programu wymogom Rosji. Chodzi nie tylko o nakaz Moskwy jaką broń należy produkować, ale i o *zakaz*, czego wytwarzać nie wolno. Nie ma dlatego w PRL rozwiniętego przemysłu lotniczego, choć jest mnóstwo uzdolnionych inżynierów w tym zakresie, nie ma samodzielnego przemysłu rakiетowego i czołgowego, ani wielu innych przemysłów zbrojeniowych, które mogłyby zanadto usamodzielnic PRL. Przyczyniłyby się te przemysły do podniesienia poziomu technicznego wielu wyrobów krajowych i zmniejszyłyby wydatki na kosztowne zakupy broni w Rosji. Temat ten wymaga jednak oddzielnego omówienia.

Dr Michał CHĘCICKI

17. Narodnoje Choziajstwo SSSR w 1973 godu”, *Statisticzeskij Ezegodnik*, Moskwa 1974, str. 121; *Pedagogiczeskaja Encykłopedia*, Moskwa, 1964-1968, Tom IV, str. 62.

Korespondencja z Rzymu

Odwilż w kraju?

Pewne fakty i oznaki na odcinku Kościół-Państwo mogły wywołać w ostatnim czasie wrażenie, że mamy do czynienia nie tyle z taktycznym odprężeniem, ile z zaplanowaną odwilżą. Władza okazała się nagle szczerą i sypnęła garścią zezwoleń na budowę kościołów tam gdzie najbardziej odczuwa się ich brak. Nawet w Puszczy Kampinowskiej, w tej samej miejscowości gdzie nie tak dawno jeszcze doszło do głośnego zburzenia postawionej przez ludność prowizorycznej kaplicy, pozwolono na wzniesienie kościoła. Władza rzeczywiście podejmuje różne zabiegi by zneutralizować stanowisko Episkopatu, zaspakając niektóre postulaty i zwłaszcza starając się unikać zaognienia konfliktowych sytuacji. Nawet list pasterski Prymasa Polski na Tydzień Miłosierdzia (2-8 października)*, w którym obnażył „niedolę codziennego życia” i absurdy polityki gospodarczej, nie wywołał negatywnej reakcji, jakiej należałoby się spodziewać gdyby rzecz nastąpiła w innym okresie. Tymczasem wzięto wodę w usta, a w teren poszła jakoby wyraźna dyrektywa: „nie czepiać się”. W czasie obłożnej choroby i ciężkiej operacji Prymasa Polski zadaniopokojone kierownictwo partii nakazało przekazywanie sobie codziennego biuletynu lekarskiego.

Do rzekomych symptomów odwilży niektórzy gotowi byli zaliczyć pewne rozluźnienie w kontaktach z Zachodem. Polityka paszportowa jest jednak nadal selektywna. Red. Mazowieckiemu i red. B. Cywińskiemu odmówiono paszportów na wyjazd do Wiednia na światowy kongres prasy katolickiej. Pozorna liberalizacja znajduje niemal symetryczną przeciwwagę w odmowach paszportu przede wszystkim intelektualistom zaangażowanym w taki czy inny sposób w ruchu oporu. List pasterski Prymasa Polski i uprzednie „Wskazanie biskupów polskich na Dzień Środków Społecznego Przekazu” ostudziły nieco zapał krajowych i zachodnich entuzjastów odwilżowych prognoz. Znaleźli się jednak i tacy, którzy, obserwując niewątpliwy pośpiech z jakim dyplomacja watykańska stara się o uregulowanie stosunków z krajami komunistycznymi¹, skłonni są wyciągać wniosek, że już wkrótce

* List ten publikujemy na str. 139.

1. Po wizycie Kádara u Papieża, która przypieczętowała „normalizację” stosunków z Węgrami, przyszła kolej na Pragę. 27 września został podpisany w Watykanie układ z rządem czechosłowackim. Wprawdzie nie ogłoszono jego treści — wiadomo jednak że dotyczy przede wszystkim nominacji biskupów-ordynariuszy (na 13 diecezji, tylko dwie mają biskupów rezydencjalnych, trzy administratorów apostolskich, reszta wakuje od dawna). Negocjacje rozpoczęły się w roku 1967.

dojdzie do nawiązania stosunków dyplomatycznych pomiędzy Stolicą Apostolską a Warszawą.

Ongiś w polskim kierownictwie partyjnym występowała tendencja, by sprawy dotyczące krajowej problematyki kościelnej rozstrzygać w bezpośrednich kontaktach ze Stolicą Apostolską, omijając polski episkopat lub przynajmniej odwołując się do Watykanu jako wyższej instancji. Stolica Apostolska, po okresie wahań a nawet oznak ugodowego stanowiska, odrzuciła tę sugestię i — jak już kiedyś wskazywałem — ustaliła zasadę paralelizmu, tzn. dwupoziomowych ale równoległych i ściśle koordynowanych rokowań (pomiędzy Stolicą Apostolską a rządem PRL i pomiędzy Episkopatem a Państwem). Powołanie do życia „stałej grupy roboczej” dla kontaktów pomiędzy Stolicą Apostolską a Warszawą i jej dotychczasowe (dość niemrawe) funkcjonowanie respektuje tę zasadę. Wysłannik papieski mons. Luigi Poggi niejednokrotnie podkreślał, że wszelkie kontakty i rozmowy z przedstawicielami rządu PRL odbywają się w harmonijnej i niezbędnej konsultacji z Episkopatem polskim. Obecnie, jak się wydaje, w partii pojawiła się odwrotna tendencja, tzn. ograniczenia stosunków ze Stolicą Apostolską do spraw międzynarodowych. Natomiast wewnętrzne sprawy kościelne miałyby stanowić domenę stosunków pomiędzy Episkopatem a rządem. Ani Stolica Apostolska, ani Episkopat nie może przyjąć tego rodzaju rozgraniczenia. Zasada paralelizmu obowiązuje w obydwu kierunkach. Watykan we własnym interesie nie może wyrzec się aktywnego — powiedziałbym nawet twórczego — udziału w kształtowaniu się stosunków Kościół-Państwo w Polsce.

Wizyta Gierka w Wiecznym Mieście zdeterminowana jest więc pewnymi obiektywnymi przesłankami, jakie tu pobieżnie tylko naszkicowałem. Wypadnie ona *nota-bene* w trudnych dość (dla niego) okolicznościach także i z uwagi na zbieżność czasową z drugą sesją „International Sacharow Hearing”, przesłuchań potocznie zwanych Trybunałem Sacharowa (które zajmą się nie tylko łamaniem praw w ZSSR, lecz również w innych krajach Wschodniej Europy); ma on mieć miejsce w ostatniej dekadzie listopada. W tym samym czasie otwarta będzie ponadto Biennale w Wenecji, poświęcona w tym roku *dissenso* w bloku sowieckim. Zaproszony oficjalnie przez premiera Andreottiego pierwszy sekretarz PZPR zainteresowany jest jednak bardziej w przekroczeniu Szpizowej Bramy. Byłby na pewno przyjęty przez Pawła VI, nawet gdyby mu Kadar nie wymościł drogi. Będzie przyjęty razem z małżonką, która — jak wieść gminna głosi — odgrywa w przygotowaniach psychologiczno-politycznych do tej wizyty nader czynną rolę. Wizyta u Papieża, poza sukcesem prestiżowym i ewentualnym stworzeniem sprzyjającego klimatu do dalszych rokowań, nie przyniesie jednak — jak się zdaje — konkretnych rezultatów. Skończy się zapewne na gładkich słowach i potwierdzeniu obustronnej woli znormalizowania stosunków. Dużo chyba jeszcze upłynie wody w Tybrze zanim dojdzie do zainstalowania

się nuncjusza czy delegata apostolskiego w pałacu przy alei Szucha. Przedtem w tzw. procesie normalizacji, muszą nastąpić stopniowo fakty o innym ciężarze gatunkowym niż czysto spektakularna wizyta Gierka u Papieża.

Symfonie życia chrześcijanina i nagrodzona (częściowo) cierpliwość

W dniach od 30 września do 2 października 8 biskupów, 60 kapłanów i ok. 1.500 wiernych, reprezentujących główne ośrodki katolickiej diaspory ukraińskiej w świecie, zjechało do Rzymu na uroczyste obchody jubileuszu swego Patriarchy, kardynała Josifa Slipyja: 60-lecia święceń kapłańskich i 85-tej rocznicy urodzin. Koncelebrowane obrzędy liturgiczne w katedrze św. Sofii, uroczysty koncert w audytorium watykańskim przy via della Conciliazione, liczne spotkania i na zakończenie bankiet w hotelu Hilton z udziałem Jubilata, miały przebieg podniosły, potwierdzając powtórnie nadzwyczajną spoiwość katolickiej wspólnoty ukraińskiej, jej wzruszające przywiązanie do osoby kardynała-męczennika i przede wszystkim nieugiętą wolę przezwyciężenia piętrzących się wciąż trudności. W koncercie wzięło udział dwóch patriarchów z Bliskiego Wschodu (maronicki i melchicki), pięciu kardynałów Kurii Rzymskiej, biskup Władysław Rubin, sekretarz generalny Synodu i liczni członkowie korpusu dyplomatycznego przy Stolicy Apostolskiej. Wśród szeregu mówców, duchownych i świeckich, zabierających głos na bankiecie, największe wrażenie zrobiło wystąpienie Ojca Iwana Hryniocha, wybitnego teologa i kaznodziei, jednego z czołowych protagonistów walki unitów o prawa ich Kościoła. Przypomniawszy on, że 60 lat temu, 30 września metropolita Andrzej Szeptycki wyświęcił na kapłana dzisiejszego Jubilata. Nie mógł wówczas — w wigilię rewolucji bolszewickiej przypuszczać że on, b. więzień (metropolita był trzy lata więziony przez rządy carskie) udziela święceń przyszłemu więźniowi łagrów sowieckich.

W różnych wystąpieniach przewijały się cztery motywy:

1) Konieczność upominania się o prześladowanych wszystkich wyznań na terenie ZSSR, zwłaszcza katolików na Ukrainie (specjalne publikacje zawierają udokumentowane przypadki represji kapłanów i świeckich ukraińskich, więzionych w łagrach za wiarę i przekonania). Prześladowania nie ustają. Niepokój wywołuje milczenie Watykanu.

2. Wspólnota ukraińska obrządku wschodniego ma prawo do istnienia i rozwoju, tj. zapewnienia jej autonomii kanonicznej i administracyjnej w ramach ustroju patriarchalnego, którego Stolica Apostolska nie chce dotąd uznać, odmawiając zarówno prawa do swobodnego wyboru członków hierarchii (którzy są mianowani bez konsultacji z kard. Slipyjem), jak i święceń kapłańskich osobom żonatym, co tradycja wschodnia uznaje (w patriar-

chatach rytów wschodnich święcenia żonatych nie są przez Watykan kontestowane).

3. Ukraińscy katolicy protestują przeciw tendencji centralistycznej Watykanu, co w praktyce powoduje niebezpieczeństwo latynizacji. Łączność ze Stolicą Apostolską i wierność Papieżowi nie wyklucza walki o poszanowanie odrębności liturgicznej i prawno-kanonicznej, związanej z przynależnością do obrządku wschodniego.

4. Apel do Stolicy Apostolskiej aby jej delegacja na konferencji belgradzkiej domagała się poszanowania przez reżymy komunistyczne praw człowieka, a zwłaszcza wolności sumienia i religii.

W komunikacie prasowym zawarta jest przestroga: katolicy ukraińscy pragną zachować jedność ze Stolicą Apostolską — zachodzi jednak pytanie czy cena za to płacona nie jest zbyt wysoka. W liście do Pawła VI, członkowie Komitetu w Wielkiej Brytanii proszą — w imię przywrócenia ładu serc — o odwołanie egzarchy apostolskiego bp. Horniaka, który „utracił całkowicie zaufanie wiernych”. W liście skierowanym, natomiast, do uczestników Synodu biskupów członkowie prezydium Światowej Unii Patriarchalnej, przypominają niezadowolony dotąd postulat zatwierdzenia patriarchatu zgodnie z dekretem soborowym o Kościołach Wschodnich i potrzebami duchowymi wiernych. Przypominają również, że wszystkie te Kościoły powstały w wyniku woli wyznawców i dopiero *post factum* — nieraz po długim upływie czasu — rzeczywistość została uznana przez Stolicę Piotrową.

Nieustanne naciski na Watykan wywołały niespodziewanie pierwszy skutek. Na konferencji w Belgradzie kierownik delegacji Stolicy Apostolskiej mons. Achille Silvestrini, (zastępca abp. Casaroli) wystąpił z apelem na rzecz katolików obrządku wschodniego i wierzących innych wspólnot religijnych, nie mogących korzystać ze swobody kultu. Mówiąc o nich delegat Watykanu powiedział, że istniejące „ciężkie, otwarte rany” powinny być zagojone. „Dotyczy to Kościoła katolickiego — stwierdził — w określonych wspólnotach obrządku wschodniego, w których ongiś kwitło życie religijne o wiekowych tradycjach. W nowym, powojennym układzie prawno-politycznym Kościoł utracił swą tożsamość, co jest tym bardziej bolesne, że dotyczy centralnego problemu wolności religijnej, to znaczy wyznawania wiary zgodnie z własnym sumieniem”. Dodał następnie, że rosnąca ilość apeli i petycji wskazuje na to, że istnieją wciąż trudności w wyznawaniu kultu religijnego i wychowaniu religijnym. „Stolica Apostolska — sprecyzował — nadaje priorytet obronie wolności religijnej, jednakże żywi nie mniejsze zainteresowanie dla poszanowania innych podstawowych swobód i praw człowieka, praw obywatelskich, politycznych, ekonomicznych, społecznych i kulturalnych, ponieważ — jak stwierdza siódmy artykuł aktu końcowego w Helsinkach — prawa te wypływają z godności nieodłącznej od osoby ludzkiej i są istotne dla jej pełnego rozwoju.

Tym bardziej że wiara religijna, angażując całego człowieka może w pełni przejawiać się tylko w kontekście innych swobód”.

Wystąpienie delegata Stolicy Apostolskiej w Belgradzie nie stanowi jeszcze wiosny, najwyżej pierwszą jaskółkę zwiastującą wiosnę. Bez determinacji, jaką wykazują ukraińscy katolicy, prawdopodobnie nawet do tego by nie doszło. W Stolicy Apostolskiej jest znana zapewne odpowiedź prezydenta Cartera na list kardynała Slipyja (z lipca br.) przyrzekająca „zainteresowanie dla obrony praw człowieka w Belgradzie i przy innych okazjach”. Trudno było zatem nie uczynić jakiegoś gestu.

Katecheza i prawa człowieka

Odmłodzony pomimo ukończonych właśnie 80 lat i nawołujący do optymizmu, Paweł VI otworzył 30 września obrady piątego Synodu biskupów, poświęconego „katechezie w naszych czasach ze szczególnym uwzględnieniem dzieci i młodzieży”. Natarczywie kursujące pogłoski, iż ma zamiar abdykować w związku z własną decyzją wykluczającą z *conclave* kardynałów, którzy przekroczyli 80-ty rok życia, przeciął krótko *Osservatore Romano*: „można zejść z tronu, ale nie z krzyża”.

W obecnej sesji Synodu bierze udział 204 kardynałów, biskupów, przewodniczących zgromadzeń religijnych oraz 13 patriarchów i metropolitów Kościołów Wschodnich, reprezentujących konferencje episkopalne krajów pięciu kontynentów (przeważają uczestnicy z krajów „trzeciego świata”). W chwili kiedy piszę tę korespondencję, trudno jest o globalną ocenę tych obrad. Zakończyła się dopiero pierwsza tura obrad plenarnych. Zaczęły się prace tzw. *circuli minores*, jedenastu grup roboczych podzielonych według kryterium językowego (najmniej zapisało się do grupy języka łańcińskiego). Następnie dyskusja wróci na plenum, a obrady Synodu zakończą się 31 października.

Dotychczasowa debata, w której uczestniczyło 140 ojców synodalnych, wykazała rozległą gamę trudności na jakie napotyka katecheza w różnych rejonach świata, zarówno ze strony sekularyzmu (w krajach cywilizacji uprzemysłowanej), jak i narzucanego, programowego ateizmu. Niezależnie od tego, w głównym referacie, przedłożonym przez abp. Lorscheidera (Brazylia), była mowa o nadużyciach i arbitralnych poszukiwaniach teologicznych, które sięją zamęt wśród wiernych. Katecheza może, a nawet winna, być dostosowana do wymogów czasów współczesnych i do różnych kultur lokalnych — brzmiała teza tego referatu — metody jej mogą być różne, zależnie od potrzeb, ale nie można tolerować arbitralności, nie można utracić transcendentnego waloru katechezy i nie respektować jej autentycznej wykładni jaką ustala Najwyższy, Nauczycielski Urząd Kościoła. Zarówno w głównym referacie jak i w wprowadzającym referacie pt. „Panorama życia Kościoła od poprzedniego Synodu (1974 r.) do dzisiaj” (wygłosił

go bp Degenhardt z Paderborn, NRF), oraz w dyskusji plenarnej, problematyka katechezy jest ujęta w szerokim kontekście społecznym i międzynarodowym. Z konieczności więc była mowa (i to bardzo często) o łamanych prawach człowieka, prześladowaniach za wiarę i różnych formach przemocy i dyskryminacji. Raport „Panorama życia Kościoła” stwierdza dosłownie: „Jest rzeczą ubolewania godną, że paktów międzynarodowe, które potwierdzają wolność sumienia i religii, nie są szanowane przez niektóre państwa, które je podpisały” (w innym fragmencie mowa jest wyraźnie o „narodach poddanych reżymom komunistycznym”). Prześladowania w państwach komunistycznych patriarcha maronicki nazwał bez ogródek „skandalem naszej epoki”.

W debacie ogólnej wystąpili członkowie polskiej delegacji: kardynał Wojtyła, biskup Stroba (ordynariusz diecezji Szczecin-Kamień) i biskup Materski (sufragan kielecki). Przemawiał również biskup Deskur, przewodniczący Papieskiej Komisji dla Środków Społecznego Przekazu, należący do grupy ojców synodalnych z nominacji papieskiej. Prasa włoska nazwała wystąpienie kard. Wojtyły twardym i odważnym oskarżeniem. Cytowano zwłaszcza te fragmenty wystąpienia, w których metropolita krakowski stwierdza, że prawo do nauczania religii stanowi część integralną prawa do wolności religijnej. Państwo — jego zdaniem — powinno w każdym systemie politycznym zagwarantować pełną wolność katechezy bez jakichkolwiek ograniczeń. Podczas kiedy szkoła państwowa dysponuje wszelkimi środkami, wierzący są faktycznie dyskryminowani. „Kardynał Wojtyła — stwierdza szereg dzienników (*Il Giornale, Il Popolo*) — potwierdził, iż w Polsce katolicy są dyskryminowani w szkolnictwie, zakładach pracy i karierze zawodowej”. Według biskupa Strobę „katecheza w Polsce stanowi istotną część obrony chrześcijaństwa. Dlatego gdyby okazało się konieczne, to społeczeństwo polskie byłoby gotowe, nawet w sposób bohaterski, do obrony tych wartości, jakich usiłuje się je pozbawić”. Jednym z powodów pozytywnego rozwoju katechezy jest — jego zdaniem — fakt, iż Kościół jest uznawany nie tylko przez wiernych, lecz również przez bardzo licznych niewierzących jako instytucja, która, chroniąc najważniejsze wartości, broni podstawowych praw i godności człowieka. Pomyślny rozwój tej katechezy — brzmiał końcowy wniosek biskupa Strobę — należy przypisać jej przystosowaniu do życia narodowego oraz wielkiemu autorytetowi jakim cieszy się Kościół w społeczeństwie. Analogicznych wniosków nie mogli wyprowadzić przedstawiciele innych episkopatów wschodnio-europejskich. Bp Gabris z Trnawy nie ukrywał przygnębiającego obrazu sytuacji w Czechosłowacji. Kardynał Lekai, Prymas Węgier, próbował wprowadzić zawoalować nieco trudną rzeczywistość, ale też nie mógł ukryć tego, że obowiązek katechezy spada często na rodziców, którzy „nie mają ani należytego przygotowania, ani czasu by podołać temu zadaniu”. Nawet bp Stratiew z Bułgarii zakończył swe wystąpienie: „Być może nadszedł dla nas czas powrotu do modelu katechezy Kościoła prymitywnego”.

Nie lepiej, a może nawet poniekąd gorzej, wygląda sytuacja w niektórych krajach Azji i Afryki, wyzwolonych przez przodujący system marksistowsko-leninowski. Bp Goncales z Mozambiku, stwierdził m.in.: „w ciągu 24 godzin straciliśmy wszystko, nasze szkoły, szpitale, ośrodki pomocy społecznej. Młodzież do 18 lat objęta jest zakazem katechezy i praktyk religijnych”. W tych warunkach Kościół jest zmuszony nawoływać do „przeżywania wiary w małych wspólnotach chrześcijańskich”, kierowanych przez świeckich. „Tam marksiści nie mogą nam zabraniać mówienia o Bogu... Porzuciliśmy Kościół triumfujący, związany z władzą, zmierzamy ku Kościołowi rodzinnemu. W ten sposób — mówi biskup z Mozambiku — rośnie chrześcijaństwo związane z ludem i kulturą tubylczą”.

Jednym z najbardziej wstrząsających świadectw, złożonych w czasie plenarnych obrad, było wystąpienie abp. Nguyen Van Binh z Saigону (obecnie Hocziminnville). Nowy reżym patrzy na chrześcijaństwo, zgodnie z dogmatami marksizmu, jako na organizację religijną w sojuszu z imperializmem. „Nie mamy innego wyjścia — stwierdził on — jak wykazanie przez konkretne fakty, że Kościół stanowi żywy organizm. Wezwaliśmy zatem wiernych do aktywnego uczestnictwa w budowie nowego społeczeństwa. Katolicy nie mogą bowiem żyć w getcie, na marginesie społeczeństwa”. Powstaje jednak trudny problem „koegzystencji i kolaboracji z komunistami”. Prasa zachodnia — moim zdaniem — na ogół błędnie zinterpretowała ten fragment wystąpienia, sztucznie wyciągając go z ogólnego kontekstu. Abp Saigону zwrócił bowiem uwagę m.in. na to, że ten problem (kolaboracji z reżymem) „przekracza siły ludzkie ponieważ katolicy nie są doń przygotowani”.

Referując obrady plenarne na konferencji prasowej, kardynał Hoeffner z Kolonii — kiedy dziennikarze naciskali by powiedział, co myśli o tym fragmencie wystąpienia abp. Saigону — najpierw próbował minimalizować ten epizod, a w końcu zachnął się zniecierpliwiony: „Przecież dobrze wiecie, że za miesiąc biskup Nguyen Van Binh musi wrócić do swego kraju!”. Kard. Hoeffner, odpowiadając na inne pytanie, zapowiedział iż jest bardzo prawdopodobne, że na zakończenie obrad Synodu wydane zostanie oficjalne oświadczenie w sprawie prześladowań religijnych w krajach komunistycznych, co będzie miało duże znaczenie z uwagi na trwającą obecnie w Belgradzie konferencję dotyczącą weryfikacji układów w Helsinkach. „Nie można bowiem zapominać o cierpiących i prześladowanych”.

Dominik MORAWSKI

Pisane 11 października 1977 r.

Kraj

O pomoc dla opozycji w kraju

Rok 1976 jest datą przełomową w historii Polski powojennej. W kraju powstała opozycja, która po raz pierwszy nie okazała się efemerydą, jak to np. było z *Po prostu* (by wymienić najbardziej ważki przejaw ruchu opozycyjnego w roku 1956). KOR narodził się w zasadzie jako organizacja broniąca represjonowanych robotników, był próbą nawiązania współpracy inteligencji z robotnikami, krokiem w kierunku zasypania przepaści, która tak jaskrawo zarysowała się w marcu 1968 i w grudniu 1970. Ale równocześnie KOR zapoczątkował także proces odrodzenia myśli politycznej w Polsce. Przeszło roczna jego działalność dała rezultaty o wielkiej wadze: represjonowanych robotników zwolniono z więzień, sam KOR przetrwał falę aresztowań, prowokacji i policyjnego nękania, i przekształca się obecnie w organizację o bardziej ambitnych celach; świadczy o tym deklaracja, którą zamieszczamy w niniejszym numerze. Więcej: ofiarna działalność Komitetu Obrony Robotników przyczyniła się do tego, że w kraju zaczynają powstawać organizacje o różnym zabarwieniu ideowym, szukające — czasem po omacku — nowych sformułowań i dróg polskiej myśli politycznej. Ten proces rozwija się daleko od skamieniałych relikwów „stronnictw historycznych”, „państwa na wygnaniu” etc.

Powstał Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela. Powstało Polskie Porozumienie Niepodległościowe. Powstaje szeroko rozgałęziona organizacja studencka. Jesteśmy świadkami powstawania niezależnej prasy i wydawnictw, jak *Robotnik*, *Zapis*, *Opinia*, *U progu*. Jest tych wydawnictw z każdym dniem więcej i mają one charakter nie tylko informacyjny czy polityczny, ale również kulturalno-literacki. Zjawisko wyłaniania się różnych

ośrodków działania i myśli politycznej posiada ogromne znaczenie. Jedynie w dyskusji i pluralizmie może nastąpić odrodzenie polityczne kraju. Emigracja polityczna i tzw. Polonia, od lat zatrzymane małostkowymi i śmiesznymi swarami, jakby ożyły i bardzo czynnie zeragowały na te przemiany. Napływ datków na KOR pobił wszelkie rekordy. Ta ofiarność miała dotąd konkretny cel: pomóc KOR-owi w jego zadaniu obrony robotników. Dziś, w zmienionej sytuacji, przy powstawaniu pluralistycznej opozycji, pomoc jest bardziej jeszcze potrzebna niż wczoraj. Ale też musi być bardziej zróżnicowana. Konieczne jest wspomóżenie wszystkich działających kierunków:

Komitet Samoobrony Społecznej „KOR”
Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela (ROPCiO)
Polskie Porozumienie Niepodległościowe (PPN).

Kultura, niezależnie od swego własnego Funduszu który w dużej mierze był przeznaczony na potrzeby krajowe, przyjmowała wpłaty na KOR. Począwszy od bieżącego numeru prosimy o podawanie przy wpłatach dla której z trzech wymienionych wyżej organizacji są one przeznaczone; i równocześnie apelujemy do naszych czytelników o wzmożoną ofiarność. Nie ulega bowiem wątpliwości, że zróżnicowanie opozycji w kraju odbija się na emigracji. *Kultura*, wierna swej dotychczasowej linii, nie zamierza angażować się jednostronnie w pomocy dla jednej z wymienionych grup, lecz chce współdziałać (pomagając im w miarę swych możliwości) ze wszystkimi organizacjami, które stoją na stanowisku niepodległości, demokracji, oporu antytotalitarnego i walki z sowytyzacją. Czytelnicy *Kultury* są dostatecznie obeznani z orientacją i działalnością trzech wymienionych ugrupowań. Pisała o nich szeroko prasa polska na Zachodzie, ważniejsze dokumenty za lata 1976-77 wydaliśmy w tomie *Ruch Oporu* („Biblioteka *Kultury*”, tom 276), na przełomie roku wydamy w książce wszystkie opracowania Polskiego Porozumienia Niepodległościowego, wkrótce ukaże się w Londynie w wydaniu książkowym pełny tekst czterech numerów „Opinii”, organu ROPCiO. Czytelnikowi łatwo więc będzie zorientować się, która z wymienionych organizacji jest mu najbliższa.

Trzeba pamiętać zawsze o jednym: o niezmiernie ciężkich warunkach, w jakich pracuje i działa opozycja w kraju. Pomoc dla niej jest palącą koniecznością i należy do głównych zadań emigracji polskiej.

REDAKCJA

Chory człowiek Europy

Polska jest krajem coraz mniej zrozumiałym. Obserwatorzy zagraniczni w Warszawie coraz częściej przyznają, że właściwie nie mogą zrozumieć polskiej kwadratury koła. Stosunkowo szybki rozwój gospodarczy kraju od roku 1971, oparty głównie na olbrzymich kredytach zachodnich, doprowadził do załamania, którego partia od półtora roku nie jest w stanie opanować. Ratuje się więc dalszymi pożyczkami z Zachodu. Ponieważ jednak stan naszego zadłużenia dochodzi do sumy 14 miliardów dolarów, można wątpić czy to źródło utrzymania względnej równowagi da się nadal eksploatować. Wobec czego wkroczone na drogę drakońskich oszczędności dewizowych. Odwołano nawet zbiorowe wycieczki „Orbisu” do krajów zachodnich, zlikwidowano głośno reklamowane przydziały 130 dolarów raz na trzy lata na wyjazdy indywidualne. Ograniczono do minimum zagraniczne delegacje służbowe. Drastycznie zmniejsza się import towarów konsumpcyjnych z Zachodu. W kawiarniach polskich nie podaje się więcej kawy, lecz „ersatz” w postaci mieszanki zbożowej z symbolicznym dodatkiem kawy prawdziwej. Kawa znikła również ze sklepów. Z planów inwestycyjnych skreśla się budowę czasem bardzo już zaawansowane, jeżeli wymagają wkładów dewizowych. Mimo tych wszystkich rozpaczliwych kroków zadłużenie Polski w walutach twardych nadal rośnie, a spłacanie procentów wymaga niezwykle wysiłków Ministerstwa Finansów i Ministerstwa Handlu Zagranicznego.

Był moment, że chciano zablokować konta dolarowe ludności w Banku PKO, na których jest ok. 250 milionów dolarów, ale w obawie przed reakcją społeczeństwa zaniechano tego gorączkowego posunięcia. Natomiast cała „polityka zagraniczna PRL”, od prze zabawnej wizyty „Szachinszacha i Cesarzowej Iranu” w Warszawie poprzez wszystkie inne wyjazdy zagraniczne przywódców partyjnych i przyjazdy do Polski przedstawicieli innych krajów, sprowadza się do starań o dalsze kredyty, jeśli nie finansowe, to surowcowe i w postaci urządzeń inwestycyjnych.

Poza tym podróże Gierka i Jaroszewicza mają jeszcze jeden cel „międzynarodowy”, a mianowicie zmiękczenie przywódców zachodnich przed Konferencją w Belgradzie. Kierownicy PZPR odgrywają tu rolę głównego pomocnika sowieckich dążeń do „wyciszenia” Belgradu.

Drugim najważniejszym kierunkiem polityki gospodarczej w Polsce jest stałe podnoszenie cen na wszystkie niemal artykuły żywnościowe i przemysłowe. Partia zrezygnowała chwilowo z jawnej jednorazowej podwyżki cen, która doprowadziła w czerwcu 1976 do strajku generalnego i znanych wydarzeń w licznych zakła-

dach pracy, z Ursusem i Radomiem na czele. Ceny podnosi się teraz niemal codziennie na jakiś artykuł i bez informowania o tym społeczeństwa. W gruncie rzeczy podniesiono także ceny na chleb, wypuszczając obok normalnych bochenków podłużnych, także okrągłe o 50 % droższe. Wędlin na ogół na rynku nie ma, mięso jest rzadkością a przed masarniami stoją po kilka godzin kolejki jeszcze przed przywiezieniem towaru. Coraz to jednak pojawiają się nowe stoiska z mięsem w innych sklepach, ale tam jest ono już droższe o kilkadziesiąt procent. Chłopi zaczęli masowo dostarczać mięso po wygórowanych cenach wprost do domów znanych odbiorców, z pominięciem państwowej sieci handlowej, a milicja urządza na nich łapanki, żywo przypominające stosunki, które panowały w okresie okupacji niemieckiej.

Wyłudzenie, bądź wymuszanie dalszych kredytów zagranicznych i przerzucanie na społeczeństwo skutków błędów ekonomicznych przez drastyczne podnoszenie cen, stanowią w tej chwili jedyne uchwytnie przejawy polityki gospodarczej państwa. Poza tymi doraźnymi próbami ratowania się, partia nie ma koncepcji wyjścia z kryzysu gospodarczego. Polskie sklepy świecą pustkami. Brak jest wszystkiego, w tym samym stopniu rynkowych artykułów przemysłowych, co żywnościowych. Konieczność spłaty procentów od astronomicznego zadłużenia zmusza państwo do eksportowania wszystkiego, co tylko da się sprzedać. Stąd niezwykła czarnorynkowa cena dolara, który kosztuje przeciętnie 140 złotych, w czasie gdy jego kurs na Zachodzie wyraźnie spadł. W Polsce o kursie dolara decyduje popyt na samochody produkcji krajowej, które praktycznie można nabyć za dolary. „Ojciec motoryzacji polskiej” towarzysz Wrzeszczyk ma więc sukces, ale sukcesowi towarzyszy pewien cień. Na rynku nie ma części samochodowych, kwitnie więc spekulacja akcesoriami. Przykłady można by mnożyć w nieskończoność. Polską gospodarkę trawi ciężka choroba. Państwo kierowane przez komunistów nie jest w stanie niczemu zaradzić. Na dole panuje dezorganizacja i rosnąca korupcja aparatu administracyjnego. Kraj nasz stał się przysłowionym chorym człowiekiem Europy.

W istniejącej sytuacji możliwe są lokalne napięcia i wybuchy, psychologicznie zrozumiałe odruchy protestu społeczeństwa. Opozycja polityczna w kraju, której trzon bez żadnej wątpliwości stanowi w tej chwili poszerzające się środowisko Komitetu Obrony Robotników, rozumie wszystkie niebezpieczeństwa istniejącej sytuacji. Prowadząc różne formy walki, które w tej chwili nadal głównie skupiają się na obronie represjonowanych i pozaczynalnej akcji wydawniczej, opozycja kieruje się zasadą nie-dopuszczenia, aby ludzie wyszli na ulicę. Obserwujemy nadzwyczaj rzadki w dziejach Polski wypadek, że siły opozycyjne i niepodległościowe są bardzo rozważne i za żadną cenę nie zamierzają dopuścić do nieobliczalnego czy przedwczesnego wybuchu. Ale opozycja nie zamierza także dać za wygraną, szczególnie, że sowietyzacja Polski za pomocą cenzury, propagandy, uniformizmu życia umysłowego i kulturalnego niestety nadal postępuje.

Dlatego środowiska opozycyjne zakończywszy zwycięsko batalię z represjami, które nastąpiły po czerwcu 1976 roku, w tej chwili koncentrują się na odcinku kultury. Polska weszła w erę samizdatów, a być może jeszcze dalej idącego przeciwdziałania sowietyzacji kulturalnej.

Kierownictwo partyjne bezradne w dziedzinie gospodarczej, świadome jest jednak powagi sytuacji politycznej w kraju. Gierek w pewnej mierze wzmocnił swoją pozycję kapitulując po cichu przed opozycją swą zakłamaną „amnestią”. Okazało się, że najlepszą receptą na zdobycie opinii przywódcy liberalnego, jest najpierw zamknięcie a potem wypuszczenie przywódców opozycji. Jest oczywiste, że bez „amnestii” Gierek nie mógłby odbyć całej serii zaplanowanych podróży i kontaktów zagranicznych. A były mu one niezbędne tak z przyczyn gospodarczych jak i ze względu na rolę wyznaczoną PRL przed spotkaniem „europejskim” w Belgradzie.

Co będzie jednak dalej? Czy chory człowiek Europy — nasz kraj — ma szanse wydzwignięcia się z katastrofalnej sytuacji? Niestety nie ma żadnych podstaw, aby na to pytanie odpowiedzieć twierdząco. Przewyciężenie kryzysu gospodarczego wymagałoby głębokich gruntownych reform, na które partii polskiej nie pozwoli Wielki Brat, gdyż reformy zakłóciłyby w oczach Sowietów normy panujące w całym imperium, a przede wszystkim w samym jego centrum — w Rosji. Przewyciężenie kryzysu politycznego wymagałoby częściowego choćby, ale rzeczywistego porozumienia się ze społeczeństwem, a nie tylko pozorów odprężenia wobec opozycji i umiżgów wobec Kościoła Katolickiego i epigonów dawnej prawicy narodowej w Polsce. Tymczasem jednak te manewry można obecnie uznać za główną strategię partii wobec społeczeństwa. Nie trzeba dodawać, że nie jest to w najmniejszej mierze linia porozumienia z opinią publiczną, lecz wręcz przeciwnie linia dywersji wobec społeczeństwa. Dywersję tę charakteryzuje szczególnie rodzaj cynizmu i jest ona najdrastyczniejszym bodaj w dziejach PRL sprzeniewierzeniem się zasadom socjalistycznym. Oto bowiem najświetlejszym Polakom w kraju i na emigracji, siłom walczącym o wolność, przeciw represjom i sowietyzacji kultury przeciwstawia się rzekomą prawicę, fałszywy nacjonalizm, pobudzając ciemne obsesje, ksenofobię, antysemityzm, ba nawet wyciągnięte z lamusa historycznego zabawne widmo wszechwładzy masonerii.

Gra prowadzona jest różnymi sposobami i na różnych szczeblach. Propaganda partyjna przechodzi sama siebie, by dewalutować w odczuciach społeczeństwa słowa: ojczyzna, naród, patriotyzm. Tajna policja inspirowana w kraju i za granicą „narodowe” odłamy, niczego im zresztą nie dając, ani nie przyrzekając. Rząd deklaruje przy każdej dogodnej okazji swoją życzliwość wobec Kościoła, jednocześnie zwalczając bezwzględnie np. biskupa Tokarczuka z Przemyśla, który wystawił w swojej diecezji najwięcej kościołów. Służący nie od dzisiaj każdej aktualnej linii partii pisarz katolicki o bądź co bądź dość znanym nazwisku — Jan

Dobraczyński, dzieli katolików na „narodowych” i innych podejrzanych, którzy są złymi patriotami i mają za dobre stosunki na Zachodzie. Wszystko to razem jest szyte tak grubymi nićmi, że można powątpiewać w skuteczność tej nowej „strategii” partii. Ale pewne pomieszanie w co słabszych głowach powstaje. A poza tym PZPR zadawała mocodawców sowieckich, którzy wyraźnie doszli do wniosku, że na tym etapie najgroźniejszy dla imperium jest liberalizm i kierunki prawdziwie postępowe. Nakazano więc zwalczać je podsycając fałszywy nacjonalizm, antysemityzm i nieistniejącą praktycznie masonerię.

Czy kierownictwo polityczne w Polsce jest jednolite i czy akceptuje linię polityczną tak bardzo żenującą z punktu widzenia zasad socjalizmu? Posłuszeństwo przywódców partyjnych wobec Moskwy decyduje o ich karierze i pozycji politycznej. Dlatego nie należy mieć zbyt wielu złudzeń, że istnieją poważniejsze różnice w sprawie tzw. jedności „obozu” i zagranicznej polityki imperium. Nie ma też w PZPR tak drastycznych walk frakcyjnych, jakimi wypełnione były lata sześćdziesiąte. Ale napięta sytuacja gospodarcza i polityczna nie może nie wpływać na powstawanie różnic i skrzydeł partii. W jej władzach najwyższych wyraźnie widać orientację dogmatyczną z jednej strony i bardziej umiarkowaną z drugiej. Niżej w aparacie bardzo silna jest grupa nacjonalistyczna. Wypiera się ją lansując działaczy najmłodszej generacji, z najmniejszą wiedzą o historii partii, minionych walkach i sporach.

Przeprowadzona reforma administracji stworzyła legion działaczy partyjnych, którzy w wieku około pięćdziesiątki przeszli na emeryturę lub mają fikcyjną pracę. Pociąga to za sobą olbrzymie obciążenia finansowe dla państwa. Ale przede wszystkim stworzyło armię niezadowolonych, żyjących marzeniami o odwecie. A co najgorsze reforma administracji na dobre zdezorganizowała państwo, stworzyła najbardziej bezideowy i przekupny aparat w dziejach naszego kraju.

Póki w Rosji rządzi Breżniew pozycja Gierka wydaje się dość silna, oczywiście jeżeli nie wysadzi go z siodła jakaś przypadkowa eksplozja, o którą przy stale postępującej pauperyzacji społeczeństwa nie jest trudno. Pauperyzacja ma zresztą szczególnie charakter, bo ludzie na ogół nie są bez pieniędzy, a nawet drogą nielegalnych transakcji dewizowych dochodzą do samochodów. Ale nie mają gdzie mieszkać i coraz gorzej się odżywiają. Są także niezwykle zmęczeni walką z dezorganizacją życia i bałaganem, w którym załatwienie czegokolwiek wymaga nadludzkich wysiłków.

Nikt nie wierzy by odejście Jaroszewicza ze stanowiska premiera PRL — o czym się mówi od lat, a od czerwca 1976 roku niemal bez przerwy — mogło wiele zmienić. Stefan Olszowski, czy inni kandydaci na funkcję premiera są młodszy i z pewnością inteligentniejsi. Ale bez gruntownych reform nie będą w stanie opanować sytuacji.

Niestety Polska pozostanie długo jeszcze chorym człowiekiem Europy. Propaganda partyjna próbuje tłumaczyć to wadami naszego charakteru narodowego, naszym poszlacheckim indywidualizmem, brakiem karność i pracowitości. W istocie winna jest sama partia. Obok immanentnych wad systemu totalno-biurokratycznego, które występują także w Rosji i innych krajach Bloku Wschodniego, nasilenie zjawisk kryzysowych w Polsce wynika ze szczególnie niskiej jakości moralnej i umysłowej polskiej partii. Cała jej historia naznaczona była wypieraniem lepszego aktywu przez gorszy. Tymczasem duchowa przynależność Polski do kultury europejskiej wymaga od komunizmu w naszym kraju szczególnej finezji w rządzeniu. Rosjanie nigdy nie chcieli tego uznać i zawsze dążyli do „głajchsztaltowania” Polski z innymi krajami obozu. Doprowadziło to do tego, że z Polską mają teraz największe kłopoty.

Spółeczeństwo polskie dobrze wie, że u nas właśnie jest najgorzej w porównaniu z innymi krajami bloku wschodniego. Ale świadoma opinia publiczna nie pozwoli propagandzie partyjnej wpędzać społeczeństwo w kompleksy i nieuzasadnione poczucie winy. Winna jest Rosja, jej imperialna polityka wykorzystująca potencjał polski dla własnych celów. Winna partia w Polsce, w której widać wyraźnie brak ludzi z charakterem, umięjących bronić w Moskwie naszych interesów narodowych i naszej kulturalnej odrębności.

Leon MARKOWSKI

Obywatel a Służba Bezpieczeństwa

UZUPEŁNIENIE

Jednym z możliwych skutków ściągnięcia na siebie uwagi służby bezpieczeństwa jest rewizja, w terminologii KPK zwana przeszukaniem. W zasadzie zarówno rewizji domowej jak i osobistej wolno dokonywać jedynie na polecenie prokuratora lub sądu i tylko w związku z konkretną sprawą karną. Zgodnie z przepisami KPK takie pisemne polecenie należy zawsze okazywać osobie, u której przeprowadza się przeszukiwanie (art. 191 § 1). Kodeks przewiduje jednak, że w „wypadkach nie cierpiących zwłoki” wystarczy przedstawienie nakazu wydanego przez kierownika jednostki MO, lub po prostu legitymacji służbowej funkcjonariusza kierującego przeszukaniem.

Podobnie warunkowy charakter mają i inne przewidziane w kodeksie gwarancje dotyczące sposobu dokonywania rewizji. Np. nie wolno dokonywać przeszukiwania lokali mieszkalnych w porze nocnej (tj. od godziny 21-ej do 6-tej rano). Jednakże w „wypadkach nie cierpiących zwłoki” można od tej

zasady odstąpić. Poza tym „przeszukanie rozpoczęte za dnia można prowadzić nadal, mimo nastania pory nocnej” (art. 192 § 1 i 2 KPK).

Rewizji osobistej powinna dokonywać osoba tej samej płci co rewidowany, ale przepis kodeksu wprowadza klauzulę, że należy tego przestrzegać tylko „w miarę możliwości” (art. 194 KPK).

Każdy u kogo ma być przeprowadzona rewizja ma prawo żądać, aby obecna była przy tym wskazana przez niego osoba, ale żądanie to musi się spełniać tylko wtedy, gdy „nie uniemożliwia to przeszukania, albo nie utrudnia go w sposób poważny” (art. 195 § 2 KPK).

Obok tak iluzorycznych gwarancji przepisy KPK wprowadzają jednak zasady, które *zawsze* powinny być przestrzegane przez prowadzących przeszukiwanie funkcjonariuszy. Należą do nich: *obowiązek sporządzenia protokołu rewizji, oraz wydania natychmiast pokwitowania* na zatrzymane w jej wyniku przedmioty.

Protokół z przeszukania osoby, rzeczy lub pomieszczenia podpisują wszystkie biorące w tej czynności udział osoby, a więc także sam zainteresowany. Przed podpisaniem ma on prawo protokół przeczytać i zgłosić zarzuty co do jego treści. Zarzuty te powinny być wciągnięte do protokołu (art. 136 KPK). Ponieważ protokół powinien odzwierciedlać przebieg dokonywanych czynności, należy przed jego podpisaniem zgłosić ewentualne zastrzeżenia co do sposobu prowadzenia rewizji, niewłaściwego zachowania przeprowadzających ją funkcjonariuszy, nieprzestrzegania przepisów kodeksu itp. W razie odmowy wciągnięcia takich zastrzeżeń do protokołu należy odmówić podpisu.

Przy odbiorze pokwitowania na zatrzymane przedmioty należy zawsze dokładnie sprawdzić czy ich wykaz jest zgodny ze stanem faktycznym i czy precyzja opisu pozwala na bezbłędną identyfikację. Dotyczy to zwłaszcza takich materiałów jak maszynopisy, luźne druki, itp.

Jeśli zatrzymanie przedmiotów nastąpiło w toku przeszukania dokonywanego bez postanowienia sądowego lub prokuratorskiego, osobie u której je zakwestionowano należy w ciągu 7 dni doręczyć decyzję prokuratora o zatwierdzeniu przeszukania i zabrania rzeczy lub je zwrócić (art. 197 § 3 KPK).

Przepisy kodeksu pozwalają na zatrzymanie takich jedynie przedmiotów, które bądź pochodzą z przestępstwa, bądź mogą stanowić dowód jego popełnienia. Na postanowienie prokuratora o ich zatrzymaniu każdej osobie zainteresowanej, a więc zarówno ich właścicielowi, jak i temu u kogo je znaleziono, służy zażalenie do prokuratury nadrzędnej (art. 268 KPK).

Władze bezpieczeństwa z reguły konfiskują wszelkie znalezione podczas przeszukania książki i pisma emigracyjne. Szczególnie zaciekle polują one na egzemplarze paryskiej *Kultury* i jej wydawnictwa. W świetle obowiązującego ustawodawstwa *jest to praktyka bezprawna*. Posiadanie książek, gazet i czasopism o treści krytycznej, lub nawet wrogiej wobec ustroju PRL i panujących w niej stosunków polityczno-społecznych nie jest zabronione i nie stanowi przestępstwa, o ile nie jest związane z zamiarem ich rozpowszechniania. Jedynym dowodem istnienia takiego zamiaru u ich posiadacza może być przechowywanie większej ilości egzemplarzy tego samego druku. Dlatego zabieranie pojedynczych książek czy pism jest prawnie bezpodstawne i z tą nielegalną praktyką nie należy się biernie godzić.

Jeśli chodzi o technikę rewizji, to pamiętać należy, że przy dokładnym i systematycznie prowadzonym przeszukaniu można wykryć nawet najbardziej pomysłowe schowki i skrytki. Jednakże wymaga to w każdym wypadku ogromnego nakładu pracy i znacznych środków technicznych. Dlatego — poza wyjątkowymi sytuacjami — rewizje mają charakter znacznie bardziej pobieżny.

* Patrz *Kultura*, nr 9/360, 1976.

Powtarzamy: informacje powyższe nie są instrukcjami dla konspiratorów — bo rozmowy i wymiana wiadomości nie są, w świetle prawa, konspiracją. Są to rady dla ludzi, wobec których organy ścigania chętnie łamią zasady konstytucji i przepisy prawa.

PORADNIK SPOŁECZNY PPN

Lipiec-wrzesień 1977

TOM 279 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT CZTERDZIEŚTY PIERWSZY

Zawiera: K. PUŻAKA: *Wspomnienia 1939-1945*; J. Lewandowskiego: „Tajny” raport Chruszczowa — okoliczności ujawnienia, oraz bogaty dział *Polemik*.

Str. 240.

Cena F. 30.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 280 — CZESŁAW MIŁOSZ

ZIEMIA ULRO

Przedmowa ks. Józefa Sadzika

Str. 224.

Cena F.50,00

TOM 281 — WIKTOR WOROSZYLSKI

SERIA « BEZ CENZURY »

LITERATURA

Str. 180.

Cena F. 45,00.

Sąsiedzi

«Kontynent»: bilans i perspektywy

ROZMOWA Z WŁADIMIREM MAKSIMOWEM,
WIKTOREM NIEKRASOWEM
I NATALIĄ GORBANIEWSKĄ

Władimir Emelianowicz, trzy lata temu spotkaliśmy się w paryskiej kawiarence, gdzie opowiedział mi pan o projekcie wydawania Kontynentu. Nasza rozmowa ukazała się w Kulturze pod tytułem Z „Archipelagu” na „Kontynent”. Aluzja w tytule była podwójna: z jednej strony, wyrażała w jakiś sposób skrótowy, a nawet trochę symboliczny, kierunek marszu części przynajmniej dysydentów sowieckich; z drugiej, nawiązywała do przytoczonego przez pana w rozmowie faktu, że jako redaktor projektowanego kwartalnika zwrócił się pan do Kultury z prośbą o radę i pomoc na wyraźne życzenie Solżenicyna. Wkrótce potem poznałem w Londynie Wiktora Płatonowicza Niekrasowa, nazajutrz niemal po jego przyjeździe z ZSSR, ale zanim związał się z Kontynentem i został pana zastępcą. Opis tego spotkania ogłosiłem również w Kulturze. Najpóźniej przyjechała Natasza Gorbaniowska, z którą my z Kultury możemy swobodnie rozmawiać po polsku; jest obecnie sekretarzem odpowiedzialnym redakcji Kontynentu. I oto siedzimy tu teraz w czwórkę w lokalu redakcyjnym kwartalnika koło Etoile, w trzecią rocznicę jego powstania, po wydaniu dwunastu 450-stronicowych numerów, co wolno uznać za spory już dorobek; w każdym razie dorobek, upoważniający do próby bilansu. O próbę taką, w sumie bardzo pozytywną, pokusił się w tegorocznym kwietniowym zeszycie Kultury autor krajowy Szczepan Maciejko; oparł ją na dziewięciu tylko numerach, ale i to chyba wystarczy by stwierdzić, że Kontynent nieźle dociera do Polski.

Dość dużo wiadomo o zagranicznych edycjach Kontynentu. Widzę tu na półce kilkanaście takich edycji, łącznie z japońską. W Ameryce, parę miesięcy temu, widziałem w wielu księgarniach

tanie, kieszonkowe edycje amerykańskie. We Włoszech ukazały się dotychczas dwa tomiki antologiczne. I rzecz znamienna: kiedy je kolejno zrecenzowałem w Giornale, napłynęła masa listów od czytelników dziennika włoskiego. Wszystko to bardzo piękne i miłe, powiedzmy sobie jednak szczerze: nie najważniejsze. Najważniejsze jest oryginalne, rosyjskie wydanie Kontynentu. Jak się rozchodzi? W jakim stopniu przenika do ZSSR?

Maksimow: — Zgadzam się z panem całkowicie, najważniejszy jest Kontynent po rosyjsku. Nie ma powodu ukrywać cyfr: drukujemy cztery tysiące sześćset egzemplarzy, z czego półtora tysiąca przemycamy różnymi drogami do ZSSR; mamy na emigracji dwa tysiące prenumeratorów, resztę rozsprzedaje się w rosyjskich księgarniach na całym świecie. Ale jeżeli już ustala się hierarchię ważności, to na pierwszym miejscu należy postawić tę niewielką porcję przemykaną do ZSSR. Niewielką, bo trudności z „kanałami” są rozliczne, nie muszę panu tego zresztą tłumaczyć, *Kultura* ma zapewne podobne trudności z przemytem do Polski; tyle tylko, że po trzydziestu latach istnienia macie w tej dziedzinie większe od nas doświadczenie, toteż wasza pomoc jest tu dla nas wprost bezcenna. Niewielką, bo popyt jest ogromny, nie pozostaje w żadnym w ogóle stosunku do naszej „kanałowej podaży”. Wie pan, w ZSSR (tak samo chyba jak w Polsce) istnieją dość fantastyczne pojęcia o możliwościach emigrantów. Spotykam się często z takimi wymówkami „stamtąd”: co, u diabła, nie można sobie na Zachodzie pozwolić na druk pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy i przepychanie ich do nas?! W każdym razie Kontynent zapuszcza stopniowo w ZSSR korzenie, dociera i *chodit po rękach*, a za najwyższą pochwałę uważam wiadomość że ludzie zaczynają go po prostu nazywać *żurnał*: jak *żurnał*, to Kontynent. Przyjechała ostatnio do Florencji na drugą operację oczu żona akademika Sacharowa. Przyjechała z córką i jej mężem, matematykiem Jankielewiczem, którzy tu już zostają. Otóż dzieci Sacharowych twierdzą, że Kontynent jest wciąż szerzej poszukiwany i pilniej czytany, nawet w tzw. „kołach oficjalnych”.

Gorbaniowska: — Niech mi wolno będzie wtrącić tu słówko w roli świadka. Wyjechałam z Moskwy najpóźniej z nas trojga. W Moskwie przeczytałam pięć pierwszych numerów Kontynentu, podrzuconych mi przez przyjaciół. Oczywiście pod warunkiem, że „podam dalej”...

W Kulturze odezwały się również dwa głosy krytyczne o naszym kwartalniku, ruscycyści holenderskiego Karela van het Reve z Fundacji Herzena w Amsterdamie i Andreja Amalrika, oba w wywiadach przeprowadzonych przez Jana Pawłaka. I oba

sprawdają się najogólniej do zarzutu niedostatecznego pluralizmu Kontynentu, niedostatecznej tolerancji wobec odmiennych poglądów. Profesor van het Reve rozciąga dodatkowo swoje „smutne” refleksje na całą „trzecią emigrację” z ZSSR, podobną według niego do „gniazda os”, „zajętą wzajemnym mordowaniem się”, niedojrzałą do „przyzwoitej debaty”.

Maksimow: — Byłoby dobrze, gdyby holenderski profesor pomyślał o większym pluralizmie swego własnego wydawnictwa, w którym krąg autorów jest niezmiernie wąski; i gdyby, zamiast przywdziewać toż sędzię, uważnie przestudiował listę współpracowników *Kontynentu*; znajdzie na niej osiem albo dziewięć dziesiątych nowej literatury rosyjskiej i ruchu dysydenckiego. A co do owego „gniazda os”: ile jest partii i grup politycznych w Holandii?

Gorbaniewska: — W porównaniu ze sporami i skakaniem sobie do oczu we Francji nasze kłótnie wydają się dziecinną igraszką...

Maksimow: — Muszę otwarcie wyznać, że nie rozumiem obraźliwego i jakby napastliwego tonu profesora van het Reve. Mówi on w pewnym momencie (naturalnie cytuję z pamięci): „Dzięki Bogu, że w naszej Fundacji Herzena nie ma Rosjan”. Wyobraźmy sobie, że znam język holenderski i jako tako literaturę holenderską, i że w wolnej Moskwie zajmuję się Instytutem Holenderskim, a nasz profesor mieszka tam jako emigrant z niewolnej Holandii. Co by powiedział, gdybym się publicznie szczyił tym, że w moim Instytucie nie ma Holendrów?

Niekrasow: — Mój Boże, czy tak trudno jest pojąć tak prostą rzecz? Żyliśmy w hermetycznie zamkniętym społeczeństwie, tu żyjemy nareszcie w społeczeństwie z grubsza otwartym. Tu mamy nareszcie możliwość mówić co nam się żywnie podoba, choćby to dla nadwrażliwych uszu brzmiało jak brzęczenie w „gnieździe os”. U siebie w kraju spieraliśmy się potajemnie, przyciszonymi głosami; na Zachodzie spieramy się jawnie i na głos.

Gorbaniewska: — Spory emigracyjne są zjawiskiem chronicznym, cały sęk w tym że w małym światku emigracyjnym dźwięczą donośniej i widać je jaskrawiej. A Wielka Emigracja polska? A obecna emigracja polska?

Obowiązek ścisłości nakazuje przyznać, że profesor van het Reve wspomina o politycznych „okolicznościach łagodzących” i historycznych precedensach, na które powołują się Wiktor i Natasza...

Maksimow: — Dzięki chociaż za to... Upieram się jednak przy moim głębokim przeświadczeniu, że biadania w rodzaju wypowiedzi holenderskiego rusycysty stanowią duże niebezpieczeństwo. Pomagają w utrwalaniu i rozpowszechnianiu mitu skłóconej nieuleczalnie emigracji rosyjskiej, przyczyniając się w ten sposób pośrednio do jej dewaluacji na Zachodzie. Gdy tymczasem jest to w znacznej mierze właśnie mit, sytuacja przedstawia się w rzeczywistości o wiele lepiej, niż sądzą tzw. „postronni obserwatorzy”.

No a co pan ma do odpowiedzenia Amalrikowi?

Maksimow: — Że nie jest najwidoczniej aż tak źle z naszym pluralizmem i z naszą tolerancją, skoro sam Amalrik należy do autorów *Kontynentu*. I przy sposobności jeszcze jedno. Amalrik, traktując to przypuszczalnie jako *tonkij namiok na tołstoje obstojałstwo*, przypomina swemu „wywiadowcy” że wszedłem do literatury przez *Oktiabr*. To nieprawda. Moja pierwsza krótka powieść ukazała się w ogóle nie po rosyjsku, lecz w przekładzie na polski: w warszawskiej *Nowej Kulturze*, w latach jej ciągów „rewizjonistycznych”. Tę samą powieść drukowały później *Taruskije Stranicy*, które nie łatwo uznać za synonim sowieckiej nietolerancyjności, za organ sowieckich dzierzymordów.

Pozostaje, mimo to, sprawa bolesna: wystąpienie Siniawskiego z komitetu redakcyjnego Kontynentu i jego nieobecność, od długiego już czasu, na łamach kwartalnika. Szczególnie bolesna dla Kultury, która Siniawskiego wylansowała (jako Terca jeszcze) na Zachodzie. Osobiście bolesna dla mnie, ponieważ cenię wysoko jego pisanie i pisałem przedmowy do jego pierwszych książek po polsku i po włosku. Zgodzi się pan chyba ze mną, że to paradoksalne: pionier (wraz z Danielem) tamizdatu sowieckiego, wieloletni więzień za „zbrodnię” literatury dysydenckiej, zamieszkały dziś w Paryżu i nieobecny na stronicach Kontynentu!

Maksimow: — Sprawa bolesna, gorzka także dla mnie. Mogę tylko powiedzieć, że nasz kwartalnik stoi zawsze dla Siniawskiego otworem. Decyzja powrotu do współpracy z nami zależy wyłącznie od Andreja Donatowicza.

Niedawno, w pogawędce dziennikarza włoskiego z Jankiel-wiczem, zięciem Sacharowej, znalazłem taką jego odpowiedź na pytanie o Roya Miedwiediewa: „Nie uważamy go za dysydenta”. Jak to w ogóle jest z Miedwiediewem? W pierwszym numerze Dwudziestego Wieku przeczytałem jego ostry atak na Kontynent. Niezależnie od takiej czy innej oceny twórczości literackiej człon-

ków waszego zespołu i pisarzy związanych z waszym piśmem, była w tym artykule dość osobliwa krytyka pod waszym adresem. Wyglądała ona, o ile dokładnie pamiętam, tak. Zdarza się w Moskwie widywać funkcjonariuszy partyjnych, skracających sobie czas czekania w kolejkach kartkowaniem Kontynentu...

Gorbaniewska: — Funkcjonariusze partyjni nie stoją w kolejkach!

Miało to, według Miedwiediewa, oznaczać że władze uważają wasz kwartalnik za niegroźny, a może i odnoszący skutek wręcz odwrotny od zamierzonego, jako że przemawia językiem niezrozumiałym dla społeczeństwa sowieckiego. Podczas gdy jego, Miedwiediewa, pisma są ścigane i tępione, co z kolei miało oznaczać że on, nonkonformistyczny marksista-leninista i orędownik socjalistycznej demokracji, stanowi dla obecnego ustroju groźbę utrafienia w najczulszy punkt zatroskanej mentalności sowieckiej i znalezienia natychmiastowego oddźwięku.

Maksimow: — Znam ten artykuł, przedrukowano go w tygodniku niemieckim *Die Zeit* pod tytułem *Prorocy bez zwolenników*. Nie czujemy się żadnymi prorokami, a co do zwolenników, cyfry mówią za siebie: rozprowadzamy cztery i pół tysiąca egzemplarzy każdego numeru, dwa wydane dotychczas numery *Dwudziestego Wieku* Miedwiediewa rozeszły się w kilkudziesięciu egzemplarzach.

Gorbaniewska: — W ostatnim numerze *Kontynentu* wydrukowaliśmy list profesora Meimana z Moskwy, członka Grupy Helsińskiej, w obronie Sacharowa zaatakowanego w wywiadzie prasowym przez Miedwiediewa. Zdaniem Miedwiediewa akademik Sacharow utracił swój autorytet, odkąd otoczył się „ekstremistami którzy nikogo nie reprezentują”. Do listu przyłączyli się już dalsi oburzeni sygnatariusze, między innymi socjalista Lew Kopielew (pierwotnie Rubina z *Pierwszego Kręgu Sołżenicyna*) i zbuntowany marksista-leninista Piotr Grigorienko. Generał Grigorienko robi nam nawet wymówki, że za słabo reagujemy na niepoczytalne wystąpienia Miedwiediewa.

Niekrasow: — Jest nam właściwie obojętne co sobie myśli Miedwiediew, niech myśli co chce, Bóg z nim. Ale skąd ta zapiekła nienawiść do pisma tak czytanego jak nasze? Skąd ta zawziętość, zaciekłość braci Miedwiediew, która nie oszczędza nawet Sacharowa? A kogo oni reprezentują? Upór braci Miedwiediew w atakach na Sacharowa i jego żonę wydaje mi się podejrzany.

Maksimow: — Dziwne. Pisma w rodzaju *Dwudziestego Wieku* i *Demokratycznych Alternatyw* zaczynają swoją działalność od napaści na *Kontynent*. A my na nikogo nie napadamy. U nas są i będą tylko polemiki z poszczególnymi autorami, nie z czasopismami. Pewnie dlatego zarzuca nam się „niedostateczny pluralizm”...

Tym niemniej chciałbym was docisnąć na temat tzw. „opozycji socjalistycznej”. Ot, dziś rano dostałem od wydawcy włoskiego Einaudiego tomik opracowany przez włoskiego rusycystę i komunistę Vittorio Strada — tak, tak, to ten sam Strada, któremu początkowo odmówiono wizy sowieckiej na Targi Książki w Moskwie. Tomik nazywa się *Dissenso e socialismo, w podtytułowej mowa o „głosie marksistowskim samizdatu sowieckiego”*. Zawiera sześć wypowiedzi, na czele szóstki kroczy Roy Miedwiediew, za nim maszerują Raissa Lert i Lew Kopielew. A więc istnieje i działa jakaś „opozycja socjalistyczna”?

Maksimow: — Tak, ale nie wyodrębniona. Grupka wysunięta w tomiku Strady jest sklecona sztucznie, zniekształca obraz ruchu opozycyjnego. Nie chodzi nawet o to o czym mówiliśmy przed chwilą, że Kopielew i Grigorienko koso teraz patrzą na Miedwiediewa, czy że (jak słyszę) zerwała z nim ostatnio Raissa Lert. Chodzi o zjawisko znacznie donioślejsze: opozycjoniści wierni swej formacji marksistowskiej istnieją i działają w ogólnych, ponadideologicznych ramach ruchu dysydenckiego, nie mają tendencji do stworzenia organizmu wyłączonego, szukają platformy wspólnej dla wszystkich...

Gorbaniewska: — I z całą pewnością nie stroją Miedwiediewa w piórka przywódcy, bardzo oględnie mówiąc. Również i ja myślę, że antologia Strady jest sztuczna. Generała Grigorienko łączy więcej z głęboko wierzącym chrześcijaninem Szafarewiczem, ulubieńcem Sołżenicyna, niż z marksistowskim pobratymcem Miedwiediewem. Decyduje uczestnictwo we wspólnych akcjach: Komitetu Obrony Praw Człowieka, *Amnesty International*, Grupy Helsińskiej. Profesor Turczin, socjalista, kierownik moskiewskiej sekcji *Amnesty*, napisał niezmiernie ciekawą książkę, miażdżącą krytykę marksizmu, *Inercja strachu*, która wyszła nakładem *Kroniki Czaidze* w Ameryce. Żeby skończyć z Miedwiediewem: za moich moskiewskich czasów jego *Politiczeskiej Dniownik*, wydany potem przez Fundację Herzena jako pismo *samizdatu*, nie krążył w ogóle w sieci *samizdatu*, a znałam ją nieźle; żaden z moich znajomych o nim nie słyszał. Myślę więc, że był to *samizdat* „brata dla brata”.

Zaczepiliśmy mimochodem o Kronikę Czalidze. Jaki jest wasz stosunek do jego wydawnictwa, do grupy która określa sama siebie mianem „legalistów”?

Gorbaniewska: — Ten „legalizm” nie jest tylko ich domeną, cały ruch obrony praw człowieka zajmuje się żywo aspektem nieprzeprzeczenia, ukrytego lub jawnego naruszania i łamania praworządności w ZSSR. Starczy tego, by określić pracę *Kroniki* jako pożyteczną i bliską nam.

Maksimow: — Sojusze, czy choćby pewne formy współpracy, układają się wśród dysydentów sowieckich w sposób daleki od sztywnych schematów światopoglądowych. Mamy z Czalidze dobre stosunki na odcinku wydawniczym.

Traf chciał, że przeczytałem równocześnie dwie wydane w przekładach książeczki Sołżenicyna. W jednej zebrano jego głośne przemówienia amerykańskie z roku 1975, na zgromadzeniach zorganizowanych przez Centralę Związków Zawodowych i na uroczystym posiedzeniu Senatu; w drugiej jego wystąpienia telewizyjne i radiowe w Zachodniej Europie z roku 1976. Jaka zmiana na przestrzeni jednego roku! W Ameryce — Sołżenicyn profesjonalny, pewny siebie, sternik dusz, kaznodzieja na ambonie, dzwonnik Wielkiego Dzwonu. W Europie Zachodniej — Sołżenicyn rozgoryczony, uderzający w kasandryczne tony bez wiary że zostanie usłyszany i zrozumiany, snujący smętne rozważania o tym że najwidoczniej „własnego doświadczenia nie można przekazać innym”, że każdy człowiek i każdy naród musi się uczyć zadanej mu przez los lekcji na własnej skórze; słowem, już Sołżenicyn w drodze do dobrowolnej i majestatycznej izolacji w pustelni vermonckiej, powtórny i rozczarowany wygnaniec, tym razem z realnego Zachodu do wymarzonej przez siebie Rosji. Czytaliście na pewno tegoroczny wywiad Struwego z nim w paryskim Wiestniku: w pierwszym zaraz pytaniu odmachnął się od wszelkiej „polityki”, aby resztę konwersacji poświęcić swojemu warsztatowi pisarskiemu i swoim planom pisarskim; pracuje nad wielotomowym cyklem powieściowym o Rewolucji Październikowej, dalszym ciągiem Sierpnia 1914, skończy zamierzone dzieło „jeżeli Bóg wżyczy mu jeszcze dwudziestu lat życia”.

Niekrasow: — Sołżenicyn to Sołżenicyn. Wielki człowiek, wielki pisarz, duma naszego narodu. Ale także putanik, gmatwacz. Z wieloma jego poglądami po prostu się nie zgadzamy. Gdyby na przykład zechciał zostać redaktorem *Kontynentu*, bylibyśmy szczęśliwi i jednocześnie przerażeni. Ledwie przyjechał na Zachód, zaczął wszystkich pouczać. Rzecz jego temperamentu na-

turalnie, my jednak tego dogłębnego rozczarowania nie odczuwamy. Czujemy raczej, że można tu sporo zrobić.

Maksimow: — Sołżenicyn był w Rosji absolutnym autorytetem, nie przywykł do sprzeciwów. Na Zachodzie zaskoczyło go, i jakby zbiło z tropu, istnienie przeciwników. Lecz jakież to pisarz, ileż zdziałały jego książki!

Gorbaniewska: — Pojęcie „doświadczenia, którego nie można przekazać innym” jest względne. Pewnie, nie da się żywcem przeszczepić łagiernych cierpień komuś, kto nie ugiął się pod ich ciężarem w zonie. Ale przykład „nowych filozofów” francuskich wskazuje, że da się *Gułag* Sołżenicyna wstrzyknąć do krwioobiegu myśli; i że zabieg posiada jakąś wartość leczniczą i wówczas, gdy odbywa się na szczęście daleko za zoną.

Pospierałbym się tu trochę z Nataszą, nie neguję jednak że powstał swoisty „paradoks Sołżenicyna”. Zachodnie „dzieci Gułagu”, jak nazwano „nowych filozofów”, przychodzą na świat po obrażonym wyprowadzeniu się do pustelni jego ojca. Obecność Gułagu w świadomości inteligencji francuskiej jest niewątpliwa, prawdopodobnie większa niż we Włoszech. Wyczuwałem to wyraźnie na urządzonym parę dni temu przez Kontynent spotkaniu dysydentów sowieckich z intelektualistami francuskimi. Uderzyły mnie przemówienia Revela, Foucault i Glucksmanna. Sołżenicyn podtrzymuje swój związek z waszym kwartalnikiem?

Maksimow: — W sześciu numerach *Kontynentu* ukazały się teksty Sołżenicyna. Przysłał nam do druku stenogramy kilku swoich wystąpień w Zachodniej Europie, o których pan wspominał skierowując naszą rozmowę na jego temat. Często poleca nam różne dokumenty i materiały, na przykład za jego radą drukowaliśmy wspomnienia Bażanowa, b. sekretarza Stalina. Ale teraz jest całkowicie pochłonięty swoją pracą pisarską. Poza tym nie wolno zapominać, że sławni i bardzo poczytni pisarze są na Zachodzie w rękach agentów literackich. A na ceny wyznaczone przez agentów literackich nie możemy sobie pozwolić. O to też, nawiasem mówiąc, rozbiła się współpraca z nami Nabokowa, który odnosił się do *Kontynentu* niezmiernie życzliwie.

Księga Zinowiewa Przepastne wyżyny musi być dla czytelnika rosyjskiego, niezależnie od podziwu dla jej błyskotliwości i wnikliwości, lekturą przygnębiającą. No bo jaka konkluzja? Powstał już „nowy typ człowieka”, tzw. „człowieka sowieckiego”, tworzą niewoli, i działalność dysydentów niewiele może na to poradzić. Zdaje się, że u Zinowiewa pada zdanie Czernyszewskiego o rab-

skoj stronie, o kraju w którym głęboko gdzieś tkwi niemal powołanie do niewolnictwa...

Maksimow: — Myślę że *Przepastne wyżyny* są książką niezwykłą, miejscami genialną, lecz trochę jednostronną. Wyłania się z nich raczej portret intelektualisty rosyjskiego w ustroju sowieckim, niż narodu. Zinowiew mało wie o robotnikach, o chłopach, o głuchej prowincji, o ruchach migracyjnych ludności w poszukiwaniu lepszych zarobków, słowem o wnętrznościach ogromnego organizmu społecznego, o tych co milczą. Zresztą i portret intelektualisty rosyjskiego czy sowieckiego, odmalowany przez Zinowiewa, staje z każdym dniem bardziej przestarzały. Obserwujemy nieustanny uwiad strachu, inteligencja boi się coraz mniej, mówi na głos coraz częściej i śmieiej. Już sam fakt napisania przez Zinowiewa tej książki stanowi zaprzeczenie jego wywodów. Niezmiernie charakterystyczne jest dla mnie to, że topnieją ogonki do wielkich i tak niegdyś łakomych nagród państwowych, kandydaci zamiast pchać się do laurów wykręcają się od nich, jakby wstydzieli się zaszczytnego dawniej tytułu laureata. Zinowiew był kiedyś mentorem specjalistów Komitetu Centralnego; otóż nie tylko sam napisał książkę, za którą pozbawiono go katedry logiki i wszystkich stopni naukowych, ale nie zdziwiłbym się gdyby pewnego dnia wyszło na jaw, że większość jego wychowanków przez lata przechowywała na dnie szuflad rękopisy podobnych książek. Sowiecka machina funkcjonuje siłą inercji, obsługujący ją funkcjonariusze-spece opuszczają lub rozkładają ręce.

Niekrasow: — Machina jest tak skomplikowana, że ich odruch nie powinien zaskakiwać. To co powiem zabrzmi jak anegdota, choć znam historijkę z absolutnie wiarygodnego źródła. Bajbajkow, przewodniczący *Gospłana*, wychodzi wieczorem z urzędu dla rozprostowania kości na krótki spacer ze swoim podkomendnym. Przygląda się wystawom sklepowym, to i owo jest. „Nic nie rozumie — mruczy pod nosem — według naszych danych te wystawy powinny być puste”. Jak jest po polsku *bardak?*

Burdel albo bajzel.

Niekrasow: — No właśnie, burdel albo bajzel. Jedyńa rzeczą funkcjonującą świetnie, zupełnie bezbłędnie, jest metro moskiewskie. I dlatego uważamy je za swego rodzaju termometr. Kiedy 16 października 1941 roku Lewitan obwieścił w radio że staje metro moskiewskie, wielu z nas pomyślało sobie w duchu: chyba koniec.

Przypisuje się Andropowowi autorstwo pomysłu zwalczania szczególnie niewygodnych i bezkompromisowych dysydentów,

w pierwszym rządzie pisarzy, przez umożliwienie im emigracji z ZSSR. Cytuje się nawet jego lapidarną formułkę: „Lepiej się ich pozbyć, wrzucić ich wszystkich jak pająki do jednej bańki”. Myśl manewru była prosta: na Zachodzie będą primadonnami jednego sezonu, potem zaczną się zreć między sobą, świat o nich szybko zapomni, stracą kontakt z krajem. Rachuby Andropowa zawiodły widocznie, skoro w jego przemówieniu na uroczystej akademii policyjnej w setną rocznicę urodzin Dzierżyńskiego usłyszeliśmy niezmiernie gwałtowną, wściekłą diatrybę przeciw dysydentom. Ale zastanawiam się, czy nieudana Operacja Pająki nie podyktowała szefowi KGB kolejnego i subtelniejszego nieco manewru, mianowicie podziału pisarzy dysydenckich na dwie kategorie: zdrajców absolutnych i bezapelacyjnych, którzy zaprzędali się duszą i ciałem wrogowi klasowemu na Zachodzie, których socjalistyczna ojczyzna wyklina na zawsze; oraz zdrajców połowicznych, którzy pozostali mimo wszystko wierni swej ziemi, którzy być może opamiętają się jeszcze i z mrocznych manowców wrócą na promienną drogę. Skąd ta supozycja? Na Targach Książki, odbywających się właśnie w Moskwie, zwrócił uwagę fakt że ze stoiska Einaudiego usunięto włoskie przekłady *Sołżenicyna* i *Niekrasowa*; natomiast ze stoiska amerykańsko-rosyjskiego wydawnictwa Ardis nie usunięto książek *Kopielewa* i *Wojnowicza* w oryginałach.

Niekrasow: — Znowu muszę po polsku krzyknąć: burdel albo bajzel! I dodać: chwała Bogu! Nie trzeba zanadto logicznie rozsupływać postępowania przywódców sowieckich, są przecież potomkami nieśmiertelnego Lenina, który na prymusowskim świadectwie maturalnym w gimnazjum kazańskim miał czwórke z jednego tylko przedmiotu: z logiki. Bo proszę — usuwają mnie po włosku ze stoiska Einaudiego, a niektóre moje opowiadania włączane są nadal do podręczników szkolnych, niektóre filmy z moimi scenariuszami wyświetlane są dalej w kinach bez wymazywania nazwiska scenarzysty.

Od pism emigracyjnych tego typu co Kontynent oczekuje się pewnej wizji przyszłości, winny one mieć możliwie jasną i solidnie przemyślaną świadomość metod i celów. W dzisiejszym *L'Express*, w rozmowie z Revelem (zresztą doskonałej), ściśle z wami związany Bukowski, członek komitetu redakcyjnego Kontynentu, odrzuca rewolucję w ZSSR, twierdząc że doprowadziłaby do nowej dyktatury. Dużo hałasu wywołała w swoim czasie teza *Sołżenicyna*, że w razie załamania się obecnego ustroju sowieckiego Rosja musiałaby z różnych względów zaakceptować awtoritarny stroj...

Maksimow: — Był to spór o słowo. Co do mnie, nie widzę możliwości uniknięcia okresu przejściowego, a stopień w jakim byłby on zdominowany przez autorytarną formę rządów wydaje mi się trudny do przewidzenia. Nie takie to proste przeskoczyć z ustroju totalitarnego od razu do demokracji.

Gorbaniewska: — Przykład Hiszpanii dowodzi czegoś odwrotnego.

Maksimow: — Przykład Hiszpanii właśnie dowodzi, że moja ostrożność jest uzasadniona. Bezbolesny stosunkowo poród demokracji hiszpańskiej po śmierci generała Franco odbywa się w warunkach pęknięcia gorsetu autorytarnego, a nie wydobycia się jednym susem z totalitaryzmu. W moim przekonaniu nonsensem jest stawiać mechanicznie znak równania między frankistowską Hiszpanią i Związkiem Sowieckim.

I ja tak sędzę. Dlatego irytują mnie wywody rozmaitych zachodnich „politologów”, zacierających nie bez kozery różnicę między sowieckim reżymem totalitarnym i reżymem generała Franco. Ale cofnijmy się do zapewnienia Bukowskiego, które wszyscy zdaje się podzielać. Jeżeli nie rewolucja, to co? Wiara w reformy? Przeświadczenie, że sama władza zmuszona będzie ewoluować w kierunku większej liberalizacji? Stawka na „rewizjonistyczne odchylenia” wierchuszki?

Gorbaniewska: — Nasze stanowisko, które obecnie podzielają Czesi i Polacy, nazwałabym codziennym, upartym „wydzieraniem praw”. Nie pobożnym i biernym wzdychaniem do reform, kropkomiernem dozowanych przez „miłościwie nam panującą” i „świątłą” górę, lecz nieustanną i nieustępliwą presją od dołu. Między innymi wydarliśmy prawo do emigracji.

Maksimow: — Władza sama z siebie nie ewoluuje. Nieodzownym warunkiem rzeczywistej ewolucji, warunkiem zależnym wyłącznie od przebudzenia się opinii publicznej, jest cierpliwy i wytrwały nacisk społeczny i narodowy. Dodam na marginesie, że nie może być mowy o autentycznym odprężeniu międzynarodowym bez opozycji w ZSSR. Co na Zachodzie rozumieją bardzo nieliczni.

Symbolem i poniekąd ośrodkiem krystalizacyjnym tego nacisku społecznego i narodowego, spontanicznego ruchu demokratycznego, jest Sacharow. Jego rola...

Gorbaniewska: — ...rośnie z dnia na dzień. Przyjeżdżają do niego do Moskwy ludzie z najdalszych zakątków ZSSR, pisują do niego

listy powołując się na ratyfikowane przez rząd sowiecki pakt i układy (głównie Helsinki), a czasem nawet prosząc go o radę i pomoc w drobnych sprawach bytowych. Rodzi się po trosze na naszych oczach ludowy mit Sacharowa wszechmocnego i charyzmatycznego, krążą takie oto powiedzonka: „Mówią, że wódka podrożeje; nie, Sacharow nie dopuści”.

Maksimow: — Natasza opisuje jedną stronę medalu. Wypada wspomnieć o odwrotnej. Wracam z Florencji, gdzie wiele godzin przegadałem z dziećmi Sacharowych. Władze wychodzą ze skóry, żeby izolować Sacharowa. Wyłączono mu w praktyce telefon, poczta doręcza mu znikomą tylko część listów, pod jego domem bez przerwy dyżurują policjanci. To nie jest niespodzianką. Prawdziwą i gorzką niespodzianką jest natomiast przecięcie wszelkich kontaktów z Sacharowem ze strony Amerykanów. Pół biedy jeszcze z dziennikarzami amerykańskimi akredytowanymi w Moskwie, którzy kierują się zazwyczaj swoistym profesjonalnym węchem w pogoni za sensacją. Ale Sacharowa unika teraz skrupulatnie personel ambasady amerykańskiej w Moskwie. Osobliwy ostracyzm po głośnym liście Cartera! Doszło do tego, że w ciągu ostatnich paru miesięcy Sacharow nie mógł w żaden sposób znaleźć kanału do przekazania na Zachód *Listu Więźniów Obozu Permskiego*. Ten list przeszmygłowały dopiero dzieci Sacharowych.

Gorbaniewska: — Nie wykluczone, że po zmianie administracji amerykańskiej w ambasadach pozostał stary aparat Kissingera i Sonnenfeldta, który sabotuje po cichu nową politykę Cartera.

Była tu mowa o „wydzieraniu praw”, chodzi naturalnie o prawa istniejące jedynie na papierze, o prawa których respektowania i stosowania podwładni nie mieli dotąd odwagi się domagać. Należy do nich rzeczywista a nie papierowa autonomia republik związkowych. Żądanie rzeczywistej autonomii powinno być chyba, na pierwszy ogień, podsycane...

Maksimow: — Bez wątpienia.

Prawem papierowym jest również zagwarantowane przez konstytucję sowiecką prawo wychoda, wyjścia ze Związku. Rzecz jasna, prawem nieporównanie bardziej papierowym niż autonomia, czyli nieporównanie mniej realnym w tzw. „okolicznościach normalnych”, w ramach obecnego ustroju sowieckiego. Lecz śmiałe sięganie wzrokiem w przyszłość stanowi przywilej pisma emigracyjnego. Wszyscy troje podpisaliście razem z nami Deklarację w sprawie ukraińskiej, która zrobiła duże wrażenie wśród

Ukraińców, powitana została przez nich z zadowoleniem jako dokument o wadze historycznej. Znakomita większość prasy ukraińskiej wytknęła jej cierpko jedno tylko zdanie: „W każdym razie dążymy do stworzenia takiej sytuacji, w której Ukraińcy mogliby wypowiedzieć się swobodnie czy chcą niezależnego bytu państwowego”. Negatywna ocena tego zdania sprowadza się do wymówki pod adresem nas wszystkich, sygnatariuszy deklaracji: „My Ukraińcy wykazaliśmy z dostateczną siłą i ofiarnością że chcemy niezależnego bytu państwowego, aby zachodziła jakakolwiek potrzeba plebiscytu w wypadku załamania się reżymu sowieckiego”.

Maksimow: — A jednak plebiscyt. Stoimy na gruncie zasady bezwarunkowego uznania niepodległości Ukrainy, ale uważamy że problem powinien rozstrzygnąć sam naród ukraiński. Naszym celem jest plebiscyt bez żadnego udziału, nawet pośredniego, ze strony Rosji. Upieramy się przy plebiscycie, gdyż na naszych oczach małe grupy polityczne przechwytyują władzę nad całymi narodami, nie zasięgając w ogóle opinii zainteresowanych. Przykładem Kambodża czy Etiopia.

Orbaniewska: — Chciałabym przy sposobności ujawnić dwa charakterystyczne szczegóły. Zdanie, na które obruszyli się Ukraińcy, zaproponował Bukowski; panuje w nim duch całego naszego ruchu prawnobywatelskiego; i słychać w nim echo wielu więziennych rozmów Bukowskiego, m.in. z Ukraińcami. Tak się złożyło, że miałam okazję przesłania do Sacharowa brulionu deklaracji, bez zdania wprowadzonego przez Bukowskiego. Odpowiedział, że nie podpisze; później dowiedziałam się co go powstrzymało: brak w deklaracji ścisłego sformułowania prawnego.

Z przyszłości wróćmy do teraźniejszości, do konkretnych zadań na dziś. Jerzy Giedroyc, redaktor Kultury, od dawna marzy o powołaniu do życia wspólnego rosyjsko-polsko-ukraińskiego studium uniwersyteckiego, dla odkłamania i przyzwoitego opracowania wspólnej historii trzech narodów. W Harvard istnieje od pewnego czasu uniwersytecki Instytut Ukraiński, który według wszelkiego prawdopodobieństwa chętnie gościłby podobne studium. Miałoby ono jednak sens tylko jako impreza całkowicie niezależna, jako łączna emanacja trzech odnośnych katedr. Innym projektem Giedroycia jest zorganizowanie krótkiego choćby seminarium rosyjsko-polsko-ukraińskiego, na wzór seminarium polsko-ukraińskiego, które niebawem odbędzie się w Kanadzie.

Maksimow: — Oba projekty redaktora Giedroycia wydają mi

się doskonale. Łatwiejszy do szybkiego zrealizowania jest oczywiście drugi. Niech się tego podejmą polska *Kultura*, rosyjski *Kontynent* i ukraińska *Suczasnist'*.

O naszych wzajemnych stosunkach nie warto rozwodzić się za długo, najlepszym dowodem że rozwijają się stale i umacniają jest dwunasty numer *Kontynentu*, wypełniony w znacznej mierze przez autorów polskich...

Niekrasow: — W związku z którym mam prawo powiedzieć, że dwukrotnie przelewałem krew za Polskę. Raz w czasie wojny, pod Lublinem; i teraz, gdy redaktor *Kontynentu* kazał mi obciąć moje *Zapiski*, żeby w numerze było więcej pisarskiej przestrzeni dla Polaków.

A jak z pozostałymi narodami Środkowo-Wschodniej Europy?

Maksimow: — Kiedy zakładaliśmy *Kontynent*, było dla nas jasne że nie ma miejsca dla jeszcze jednego pisma czysto rosyjskiego, że musimy szeroko otworzyć łamy pisarzem z „demokracji ludowych”, z krajów bałtyckich, z Ukrainy... Szczególny nacisk kładł na to Sołżenicyn. Chwilowo, prócz Polaków, najżywsze są nasze stosunki z Czechami. Staraniem *Kontynentu* i pod jego firmą wyszedł po niemiecku okazały tom, poświęcony współczesnej literaturze czeskiej i słowackiej (nawiasem mówiąc, jest w przygotowaniu podobna antologia współczesnej literatury polskiej, oraz antologia tekstów rosyjskich z dziesięciu numerów *Kontynentu* po polsku). Co do reszty, współpraca ma wciąż jeszcze charakter zbyt sporadyczny.

Kontynent stara się zapewne o radiowe „podpórki” swego docierania do ZSSR. Z dobrym skutkiem?

Maksimow: — Zadowolającym. Przed mikrofonami *Radio Liberty* odczytuje się prawie całe numery naszego pisma. Obficie korzysta z *Kontynentu*, w swoich audycjach, program rosyjski *Deutsche Welle*. Dorywczo czerpią od nas materiał sekcje rosyjskie *Voice of America* i *BBC*.

W *Herald Tribune* ukazał się niedawno przykry i nawet dość alarmistyczny artykuł o napięciach i konfliktach między starszymi emigrantami i nowym narybkiem z „trzeciej emigracji” w *Radio Liberty*.

Maksimow: — Nie zanadto się w tym orientuję, ale podejrzewam że alarm jest grubą przesadą. Więcej w tych napięciach i konfliktach czasowego (i dorzuciłbym: nieuniknionego) zderze-

nia, trudności związanych z nieoczekiwaną symbiozą, niż rzeczywistych powodów do niepokoju.

To o co zapytam uznacie może, machnąwszy ręką, za jałową futurologię. Taka reakcja byłaby zbyt pośpieszna, pytanie zastępuje na rozważenie.

Nie jestem jedynym, który podobne pytanie stawia. Ostatnio, na przykład, zwykło się zadawać je komunistom włoskim i francuskim: jak zachowają się w razie wybuchu wojny? Odpowiedzi, po sakramentalnym zastrzeżeniu że wybuch wojny jest mało prawdopodobny, są różne: od Lombardo Radice, który wykrztusza zapowiedź stanięcia po stronie ZSSR; poprzez bardziej dyplomatycznego Pajette, który ogranicza się do odrzucenia z góry pomocy Ameryki i NATO; do Marchais, który oznajmia gotowość komunistów francuskich do obrony kraju przed każdą agresją, także sowiecką.

W naszym wypadku pytanie posiada ciekawy precedens historyczny. Opowiada o nim w swoich wspomnieniach Przed burzą Czernow, przywódca eserów rosyjskich. W styczniu 1914 roku Piłsudski wygłosił w sali paryskiego Towarzystwa Geograficznego odczyt, kreślący z niezwykłym darem przewidywania przebiegu pierwszej (nieuchronnej według niego) wojny światowej. Nazajutrz przyszedł do Czernowa na poufną rozmowę, z ramienia PPS i z polecenia Piłsudskiego, stary polski rewolucjonista i socjalista Jodko. W oparciu o odczyt Piłsudskiego jego wystanik naszkicował Czernowowi w głównych zarysach polską strategię wyzwolenczo-socjalistyczną: klęska Rosji jako cel podstawowy; w pierwszej fazie wojny Polacy z Austrią i Niemcami przeciw Rosji; w drugiej i definitywnej fazie wojny Polacy z Francją i Anglią przeciw Niemcom. I zapytał przywódcę eserów, jak jego partia odniesie się do tego planu. Czernow odparł bez wahania, że negatywnie: eserzy nie zamierzają przerwać walki z caratem, lecz polskie oddziały wojskowe będą w pierwszej fazie wojny traktowane przez cały naród rosyjski jako wrogie. Rozeszły się drogi PPS i PSR. Patriotyzm rosyjski wziął u Czernowa górę nad innymi względami.

Nie ma całkowitych analogii historycznych, myślę jednak że uprawnione jest pytanie pod adresem grupy Kontynentu: co w razie wojny?

Maksimow: — Zależy jakiej. Gdyby wybuchła wojna sowiecko-chińska, ideologiczna wojna między dwoma mocarstwami komunistycznymi, nie mielibyśmy potrzeby zajmowania żadnego stanowiska. W obliczu wojny Zachód-ZSSR istotne byłoby, kto jest agresorem; i czy ze strony Zachodu wojna toczy się przeciw ustrojowi sowieckiemu, czy przeciw narodom zamieszkującym

ZSSR. Grupka ludzi (wśród nich nasza Natasza) wiedziała co myśleć o inwazji Czechosłowacji w roku 1968, manifestując na moskiewskiej Krasnoj Płoszczadi.

Pora kończyć. I pora też przelotnie bodaj zabaczyć o jeden jeszcze aspekt naszej rozmowy. Jesteście trójką pisarzy rosyjskich o bardzo krótkim stażu emigracyjnym. Ja jestem pisarzem polskim o bardzo długim stażu emigracyjnym. W ciągu tych wielu lat zdarzało mi się nie raz czytać i słyszeć przestrogi, że pisarz na obczyźnie to pisarz na ugorze, że z dala od własnego kraju jego pióro skazane jest na stopniowe wysychanie. Mam na owe przestrogi pogląd wyrobiony, ujmując rzecz zwięźle: wzruszam na nie ramionami, ale interesowałoby mnie co wy o nich sądzicie u progu waszych doświadczeń emigracyjnych.

Niekrasow: — Szkoa gadać, trudności są, oderwanie od języka ojczystego, od codziennego pławienia się w mowie ojczystej, jest straszne. Można jednak, jeżeli ma się coś do powiedzenia, nadrobić brak lekturą. Ja nie gardzę w Paryżu nawet Prawdą. Widuję również często ludzi przyjeżdżających z ZSSR.

Maksimow: — Według mnie w sedno sprawy utrafił Brodskij: „Jeżeli nie możesz pisać na obczyźnie, to tylko tyle jesteś wart”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

19 września 1977

Stosunki polsko-ukraińskie tu i tam

Jeśli stosunki pomiędzy dwoma społeczeństwami mierzyć liczbą artykułów prasowych, wzmianek i spotkań towarzyskich, to obserwując życie emigracyjne, można by dojść do wniosku, że sytuacja wygląda nie najgorzej. Istnieją towarzystwa przyjacielni, ukazują się grzeczne artykuły, schlebiające naszemu sentymentalizmowi, a jednocześnie słabnie aktywność grup odbierających na papierze część terytorium sąsiada. Ale kiedy zajrzeć za fasadę wzajemnej adoracji, przemyśleć treść dziesiątków artykułów i zastanowić się nad sensem wzajemnych stosunków w obecnej chwili, to bilans jest raczej niewesoły.

Nie przekreślam ani dotychczasowych osiągnięć wynikłych

z trudnego dialogu ani też zasług instytucji czy poszczególnych osób, które się na tym polu trudzą, ale wydaje mi się, że nastąpiła swoista stagnacja, typowa zresztą dla większości zjawisk w życiu emigracyjnym. Tam gdzie nie ma konkretnej roboty powstają namiastki rzeczywistej dynamiki. Nie twierdzę, że towarzystwa przyjaźni polsko-ukraińskiej nie mają już nic do powiedzenia. W przeszłości odegrały one niewątpliwie pozytywną rolę i mogłyby dalej owocnie pracować, gdyby po pierwsze postawiły sobie jakieś nowe i atrakcyjne cele, a po drugie zajęły się skapitalizowaniem dotychczasowego dorobku czy to w formie wydawniczej czy też poprzez wciąganie młodych, którzy by wnieśli podmuch żywotności.

Jasne chyba jest, że ważniejszą stroną dialogu polsko-ukraińskiego w przeszłości było odważne stawianie spornych kwestii, poruszanie rzeczy niewygodnych, podważanie wszelkich tabu, uświęconych innymi epokami i innymi układami sił i świadomości politycznej społeczeństw, niż tworzenie czysto oficjalnych czy też instytucjonalnych form przez to samo niezdatnych do śmiałych koncepcji rewizji dnia wczorajszego oraz do szukania nowych dróg na miarę zachodzących w świecie przeobrażeń. Śmieszne jest na przykład kiedy w Monachium — gdzie się zarysowały możliwości do twórczego dialogu na bazie dyskusji — niektórzy zwolennicy uśmiercania takich idei drogą kanalizowania ich na szlaki emigracyjnego niebytu, urządzili sobie nowe towarzystwo wzajemnej adoracji ukraińsko-polskiej. Można by ostatecznie na tego rodzaju śmieszności machnąć ręką, bo wiadomo, że z tego i tak nic pożytecznego nie wykiełkuje, ale z drugiej strony niezależna publicystyka musi tego rodzaju machinacje wykrywać i piętnować, choćby z tego powodu, by nie bałamucić ludzi rzetelnie myślących i gotowych do jakiegoś wysiłku umysłowego a nie do czczej i nikomu niepotrzebnej gadaniny.

O wiele pożyteczniejszą, bo właśnie konkretną sprawą jest działalność stałego Seminarium o stosunkach polsko-ukraińskich przy Ukraińskim Wolnym Uniwersytecie w Monachium. Jest to forum, które w dość pomyślny sposób połączyło zadania naukowe z zapotrzebowaniem społecznym. Daje ono możliwość stawiania pod dyskusję wszelkich problemów w całości kształcie stosunków Ukrainy z Polską, nie stosując żadnych ograniczeń typu organizacyjnego czy ideologicznego. Seminarium rozpoczęło swą działalność na początku maja 1976 roku i ma już w swym dotychczasowym dorobku szereg udanych prelekcji i dyskusyj. Do końca lipca 1977 roku odbyło się 14 posiedzeń. Tematyka poruszanych w referatach i w dyskusjach zagadnień sięga od spraw z okresu pierwszej wojny światowej do aktualnych problemów jak np. do analizy sytuacji mniejszości ukraińskiej w Polsce współczesnej. Większość prelekcji poświęcona była systematycznemu przedstawieniu stosunków polsko-ukraińskich w dobie współpracy Piłsudskiego z Petlurą, polsko-ukraińskim konfliktem o Ziemię Halicką i Wołyń, polityce mniejszościowej w okresie międzywojennym, sprawie „prometeizmu”, tragicznym wydarze-

niem podczas drugiej wojny światowej. Jak widać z tego krótkiego spisu akcent Seminarium położony jest na dziejach najnowszych. Dużym sukcesem dla naszej sprawy byłoby wydanie przynajmniej części tych materiałów w formie książkowej. W każdym razie, jak dotąd, to jest jedyna chyba tego rodzaju trybuna, gdzie się stale dyskutuje o stosunkach polsko-ukraińskich. Nie ma czegoś podobnego, niestety, ani w Warszawie ani w Kijowie, a historycy polscy na uniwersytetach w Krakowie i w Warszawie mogą się tym zajmować tylko sporadycznie.

Nie rozwiązuje to oczywiście palących zagadnień dnia dzisiejszego. A do nich należą takie oto sprawy jak konieczność wydania historii stosunków polsko-ukraińskich, oczywiście w obydwu językach: Historii Ukrainy po polsku i Historii Polski po ukraińsku. Jest to rzecz wielkiej wagi, gdyż ani Kijów ani Warszawa nas nie wyręcą, a jak wyręcą, to z wiernopoddańczego ducha Szczerbyckiego i Gierka wobec Moskwy możemy sobie łatwo wyobrazić, jakby ta „prawda naukowa” wyglądała.

Ważna to sprawa również z powodu czego innego. Nie łudźmy się, że jeszcze wielu ludzi może czytać swobodnie w obydwu językach. Z Polakami od czasu wymarcia fali emigracyjnej z Ukrainy Nadnieprzańskiej wygląda to żałośnie. Ale i wśród Ukraińców rzadną powoli szeregi tych, co to jeszcze po polsku umieli. A może by tak wspólnie ufundować jakieś stypendia dla młodych adeptów ukrajinistyki i polonistyki?

Wiele na te i inne tematy będzie miała do powiedzenia Polsko-Ukraińska Konferencja Naukowa pod koniec października w Toronto. Jest to, chyba od czasu spotkań w przedwojennym warszawskim Ukraińskim Instytucie Naukowym, pierwsza impreza tego typu. Już samo zwołanie takiego Zjazdu jest wydarzeniem niecodziennym. Chodzi jednak o to, by nie zmarnować rzadkiej szansy do gruntownej wymiany doświadczeń i ustalenia jakiejś gradacji zadań. W każdym razie należałoby się porozumieć o coś więcej niż tylko o ogłoszenie drukiem referatów i dyskusji.

Konieczność podjęcia starań o wyższy stopień współpracy wynika nie tylko z rosnącego zrozumienia wspólnoty interesów. Jest ona w równym, a może jeszcze istotniejszym stopniu uwarunkowana infantylizmem i ugodowością rządzących współcześnie sił biurokracji komunistycznej na Ukrainie i w Polsce. Wystarczy się przyjrzeć programom wydawniczym, tematyce odbytych spotkań historyków i politologów polskich i ukraińskich w ostatnich trzech latach. Nieomal wszystko, co w tych ramach ustalono, jest drugorzędnym marginesem urzędowej apologetyki mocarstwa i martwych dociekań urzędowej doktryny. Nie ma to nic wspólnego ani z historią ani z teraźniejszością, a już zupełnie nic z przyszłością stosunków polsko-ukraińskich. Dobitym świadectwem tego były kwietniowe dni literatury i kultury polskiej na Ukrainie. Przemówienia działaczy politycznych w skali Trońków, Łukaszewiczów, Syczewskich czy Kuberskich były wyprane syntetycznie z jakichkolwiek istotnych akcentów. Polscy aparatczycy, którzy na pewno mogli sobie pozwolić na bardziej

niezależne słowa, niż zastraszeni gospodarze, wykazali przy wszystkich okazjach — to znaczy w Kijowie, Charkowie, Połtawie, Krzemieńcu i Kaniowie — że reprezentują satelickość najpodlejszego gatunku. Jedynie w późniejszych opisach kilku pisarzy i dziennikarzy polskich, zabrzmiała mniej lub bardziej zakamuflowana prawda o tym jak potężny jest na dzisiejszej Ukrainie prąd ku współpracy i przyjaźni z Polską. Ale zarówno kilku biurokratów ukraińskich, jak też obecna władza w Polsce, trzymająca się kurczowo poły Breżniewa, tępią bezlitośnie każdy przejaw prawdziwej przyjaźni polsko-ukraińskiej. To właśnie za Gierka wprowadzono w Polsce — w odróżnieniu od wielu innych krajów rządzonych przez komunistów — termin rusefikatorski o „narodzie radzieckim” jako powszechnie obowiązujący. Przed laty, na początku ery gierkowskiej, wystąpiłem na łamach *Kultury* z tezą o „neodmowszczyźnie” Gierka. Muszę dziś nie z dumą lecz z goryczą stwierdzić, że ostatnia pięciolatka jego władzy tezę tę w pełni potwierdziła. Mimo to, że wyciąga z Ukrainy dwa razy więcej surowców, niż jest w stanie za to zapłacić, prowadzi w odniesieniu do narodu ukraińskiego, jego narodowych i kulturalnych interesów grę stawiającą go w rzędzie tych polityków polskich, którzy się jak najgorzej zapisali w historii naszych stosunków.

Bohdan OSADCZUK

List w sprawie polsko-ukraińskiej

Ottawa, 19 września 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę przyjąć słowa uznania za opublikowanie w numerze 9/360 *Kultury* dokumentu, który, jak z treści wynika, jest listem otwartym Towarzystwa Zwolenników Umowy w Helsinkach „w obronie narodowych i ludzkich praw Ukraińców znajdujących się pod polską władzą”. Smutny to, zaiste, i okrywający nas rumieńcem wstydu dokument, ów „Głos Ukraińców z Polski”. A ponieważ jest on skierowany nie tylko „do Braci i Sióstr (ukraińskich) w Wolnym Świecie”, lecz także „do wszystkich ludzi dobrej woli”, czuję się i ja uprawniony do zabrania głosu w tej bolesnej sprawie.

Byłoby wyważaniem otwartych drzwi przypominanie zasług *Kultury* w dziele pojednania bratnich a tak tragicznie zwaśnionych i z uporem godnym lepszej sprawy wzajemne winy i krzywdy wytykających sobie narodów, polskiego i ukraińskiego. Pocięchą tylko napawa fakt, że wysiłki zmierzające do obalenia muru uprzedzeń i nienawiści nie idą na marne. Dowodem tego jest szereg akcesów polskich do „ogłoszonej w numerze 5/356 *Kultury* „Deklaracji w sprawie ukraińskiej”, jak również „Deklaracja solidarności”, podpisana przez 28 wybitnych działaczy emigracji ukraińskiej.

Ale, by wrócić do skargi Ukraińców z Polski, sprawa traktowania mniejszości ukraińskiej w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej jest zbyt poważna, zbyt konkretna, aby się można było nawet najszlachetniejszymi deklaracjami zadowolić. Obywateli polskich narodowości ukraińskich spotkała krzywda. Niedosć że w 1947 roku została przesiedlona na Ziemię Zachodnie prawie cała ludność ukraińska, w tym również Łemkowie, od niepamiętnych czasów osiadła na Podkarpaciu i w górach na pograniczu między Polską a Czechosłowacją, ale i na nowych terenach była ona i jest po dziś dzień przedmiotem dyskryminacji językowej, narodowej, kulturalnej i religijnej. Niechaj mi wolno będzie przypomnieć, że już „Memoriał ukraiński do VI Zjazdu PZPR”, z którym czytelnicy *Kultury* mieli możliwość zapoznać się w numerze 5/308 z maja 1973 roku, nie pozostawił zdźbła wątpliwości co do upośledzenia ukraińskiej mniejszości narodowej w PRL. Co prawda po przewrocie „październikowym” 1956 roku przywrócono Ukraińcom własne szkoły (należy raczej mówić o namiastce szkół, jaką są punkty nauczania języka ukraińskiego) i pozwolono pielegnować kulturę narodową w ramach powołanego do życia Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego. Te liberalne zarządzenia reżymu Władysława Gomułki miały jednak charakter, jak się zdaje, koniunkturalny i — nawet w najlepszym wypadku — połowiczny. Pod maską troski o rozwój kultury ukraińskiej ukrywa się zasadniczo niechętnie stanowisko władz administracyjnych i partyjnych względem całkiem oczywistych i słusnych postulatów ludności ukraińskiej. W stosunku do okresu „październikowego” nie tylko nie ma postępu, lecz, przeciwnie, zaznacza się regres do stanu rzeczy z okresu stalinowskiego. Tak jest w dziedzinie szkolnictwa, działalności artystycznej, społecznej itp. „Polityka asymilacji”, stwierdza list Towarzystwa Zwolenników Umowy w Helsinkach, „stałe przybiera na nasileniu”.

Nie dziwnego, że ofiary upośledzenia protestują. Z wydawanego przez MSW Rządu R.P. na uchodźstwie *Przeglądu prasy ukraińskiej* za miesiąc marzec br. dowiadujemy się, że „w związku z trzydziestoletnią rocznicą deportacji Łemków i innych Ukraińców z ich ojcowizny na polskie ziemie zachodnie ambasadą PRL w Waszyngtonie odwiedziła delegacja Światowej Federacji Łemków... protestując przeciw: przymusowej deportacji... i odmawianiu prawa powrotu na ziemię rodzinne; dyskryminacji... i niszczeniu pamiątek kultury ukraińskiej na ziemiach opuszczonych przez wygnanców”.

Czy trzeba uzasadniać konieczność poparcia przez Emigrację polską Łemków i reszty Ukraińców polskich w ich słusznym żądaniu zadośćuczynienia za wyrządzone krzywdy? Czy trzeba dowodzić, że podobnie jak wolność jest niepodzielna tak i prawa człowieka przysługują wszystkim obywatelom jednego państwa — bez różnicy narodowości, rasy, języka, religii itp. Przecież to są powszechnie obowiązujące zasady prawa międzynarodowego, które Akt Końcowy KBWE tylko przyjął do zatwierdzającej wiadomości. Spróbujmy jednak zastosować te normy międzynarodowej ważności praw człowieka do konkretnego wypadku: traktowania mniejszości narodowych w PRL. Nawet pobieżna analiza tego zagadnienia wykaże, że sprawa naszych współobywateli ukraińskich w Ojczyźnie jest naszą własną sprawą, że walcząc o ich równouprawnienie walczymy o nasze własne prawa. I dlatego sprawa ta winna wysunąć się na czoło zainteresowań politycznych Polaków — tak na emigracji jak i w Kraju.

Nie da się zaprzeczyć, że jeśli chodzi o nasz stosunek do narodowości sąsiednich, których spore odłamy zamieszkiwały zwłaszcza Kresy Wschodnie w okresie międzywojennym, to nie cieszyliśmy się dobrą opinią. Praktyka życia codziennego niejednokrotnie klóciła się z literą prawa, które nie czyniło różnicy między Polakiem a Żydem, Ukraińcem, Białorusinem, Litwinem itd. Każda z tych grup narodowych może wystawić nam długi rejestr całkiem usprawiedliwionych skarg i zażaleń. Z perspektywy dnia dzisiej-

szego jest to już dość odległa przeszłość. Gorzej jest, że praktyka dyskryminacji nie-polskich narodowości przetrwała po dzień dzisiejszy. Odwoływanie się do szowinizmu narodu „panującego” było i jest cechą charakterystyczną wszelkich rządów autokratycznych i totalitarnych. Również i komunistyczne władze Polski Ludowej starają się odwrócić uwagę społeczeństwa od spraw istotnie ważnych przez apelowanie do instynktów nacjonalistycznych. Dlatego do starego repertuaru propagandy oficjalnej należą mniej lub więcej intensywne kampanie antyżydowskie, antyniemieckie, antyukraińskie. Kampanie te wydają się mało skuteczne, co nie znaczy, że można je lekceważyć. Bo chociaż zdaniem wielu przybyszów z Polski dawne antypatie narodowe straciły na ostrość a nawet, jak w wypadku stosunku do narodu ukraińskiego, ustąpiły — szczególnie w młodym pokoleniu — uczuciom sympatii, przyjaznego zainteresowania się wymianą dóbr nie tylko ekonomicznych lecz także i kulturalnych z USSR, to jednak ciąży na nas obowiązek przeciwstawienia się wrogiej propagandzie, której zależy na przedstawianiu nas jako społeczeństwa przepojonego szowinizmem i ksenofobią. Uczynimy to najlepiej protestując przeciwko upośledzeniu prawnemu i faktycznemu mniejszości narodowych w PRL.

Występujemy w obronie praw Polaków osiadłych na terenach dzisiejszych republik sowieckich: litewskiej, białoruskiej i ukraińskiej, a także deportowanych w głąb ZSSR; domagamy się dla nich szkół z językiem polskim, prawa pielęgnowania kultury narodowej, prawa utrzymania szerokiemi i swobodnymi kontaktów z Polską, i powołujemy się przy tym na zagwarantowane w szeregu umów międzynarodowych prawa człowieka i obywatela, wskazując że obok praw indywidualnych winny być uwzględnione także prawa kolektywne, których podmiotem są społeczności narodowe. Ale ponieważ prawo jest jedno i to samo dla wszystkich osób czy grup społeczno-etnicznych nie możemy domagać się przestrzegania praw mniejszości polskiej w Związku Radzieckim nie protestując jednocześnie przeciwko gwałceniu tych samych praw w PRL. Sądzę, że nasza pozycja moralna byłaby o wiele silniejsza, gdyby Emigracja polska wypowiedziała się ustami swych najbardziej autorytatywnych przedstawicieli (mam na myśli w pierwszym rzędzie czynniki polityczne) na rzecz równouprawnienia wszystkich mniejszości narodowych w PRL — włącznie z prawem powrotu wysiedlonej ludności autochtonicznej do swych stron rodzinnych.

Opór społeczeństwa polskiego przeciwko narzucanej mu gwałtem sowieckiej zogniskował się, zwłaszcza od debaty nad zmianą Konstytucji a szczególnie od wypadków czerwcowych, dokoła obrony zagrożonych przez samowolę władz wszelkiego rodzaju praw człowieka i obywatela. Już Memoriał 59-ciu domagał się poszanowania podstawowych praw i swobód obywatelskich: wolności wyznania, prasy, informacji i nauki. Odtąd żądania tego rodzaju będą się powtarzać w licznych memoriałach, listach, deklaracjach i petycjach. Działalność Komitetu Obrony Robotników jest wyrazem troski społeczeństwa w Kraju o przestrzeganie tych praw w praktyce funkcjonowania organów bezpieczeństwa, policji i sądów. Pora jest, by społeczeństwo polskie uświadomiło sobie, że chwila bieżąca wymaga zajęcia jasnego i zdecydowanego stanowiska także w obronie systematycznie gwałconych praw narodowych obywateli PRL pochodzenia ukraińskiego. Czy powołany do życia 25 marca 1977 roku Ruch Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce nie uważałby za stosowne interweniować gdzie należy w wypadkach stwierdzonej dyskryminacji i poniżania godności jednostki ze względu na jej pochodzenie narodowe?

Ten ostatni punkt prowadzi w prostej linii do postawienia zagadnienia harmonijnego współżycia Polaków i mniejszości narodowych w ramach jednego państwa na płaszczyźnie politycznej, a nie prawno-administracyjnej.

Od dwóch bodaj lat toczy się na łamach *Kultury* dyskusja na temat polskiego programu politycznego, w której zabierają głos, omijając barierę cenzury, autorzy krajowi i emigracyjni. Powołując się na trudności podjęcia się tego zadania w Kraju, pod czujnym okiem organów bezpieczeństwa, jeden z uczestników tego dialogu domagał się od Emigracji opracowania na użytek Kraju realnego programu akcji politycznej. Sceptycyzm co do możliwości podjęcia się poważnej pracy koncepcyjnej w warunkach krajowych okazał się na szczęście nie uzasadniony; dyskusja na temat „co robić” osiągnęła punkt zwrotny z chwilą ukazania się Programu Polskiego Porozumienia Niepodległościowego w Kraju (*Kultura*, nr 7/346-8/347, 1976), a chociaż nie jest on jedyny, wydaje mi się najważniejszy. Otóż punkt 14 tego programu — nawiasem mówiąc najbardziej kontrowersyjny — zajmuje się sąsiadami wschodnimi Polski — tj. Ukrainą, Białorusią, Litwą, a nie Rosją. Po kapitalnej wagi wyrzeczeniu się — przez osoby lub ugrupowania tworzące Polskie Porozumienie Niepodległościowe — roszczeń terytorialnych wobec wschodnich sąsiadów Polski następuje zdanie, które pragnę zacytować dosłownie: „Domagamy się natomiast od wszystkich rządów, jakie będą sprawować władzę na dawnych terytoriach Rzeczypospolitej — terytoriach oderwanych od niej mocą zewnętrznych decyzji, nie poddanych zatwierdzeniu żadnego z bezpośrednio zainteresowanych narodów, aby zagwarantowały zamieszkującym na tych ziemiach Polakom równe prawa i możliwość swobodnego zachowania języka i kultury narodowej”. Czy Emigracja nie powinna wysunąć ze swej strony żądania pod adresem autorów tego programu, aby „zagwarantowali” — to znaczy, praktycznie biorąc, uroczystie zadeklarowali w imieniu wyzwolonego od jarzma sowieckiego Narodu Polskiego — te same prawa Ukraińcom, Białorusinom, Litwinom i innym narodowościom zamieszkałym w Polsce?

Łączę wyrazy poważania,

J. KORWIN-ŁOPUSZAŃSKI

W sowieckiej prasie

Trzeba niewątpliwie oddać sprawiedliwość sowieckim przywódcom: uroczystości jubileuszowe 60-lecia Rewolucji Październikowej rozpoczęto — jak najbardziej sprawiedliwie i logicznie — od jubileuszu ojca W.Cz.K., Feliksa Dzierżyńskiego i od wystąpienia spadkobiercy żelaznego Feliksa — tow. Andropowa. Powodem uroczystości, na których wystąpił z referatem (*Izwiestia* z 10. 10. 1977 r.) przewodniczący KGB, była 100-letnia rocznica urodzin Dzierżyńskiego.

Przewodniczący KGB odkrywa dwie wielkie zalety przewodniczącego W.Cz.K.: po pierwsze Dzierżyński „gorący patriota polski potrafił wnieść się ponad wąsko-narodowe interesy...”; po drugie Dzierżyński — „żelazny Feliks” — jak go nazywali towarzysze partyjni — „... do ostatniego tchu bronił spraw partii...”. No i — ma się rozumieć — był on szefem W.Cz.K., który „od pierwszych

dni Października zajął stanowisko przestrzegania leninowskiej zasady socjalistycznej praworządności". W krótkim przedstawieniu historii „organów”: W.Cz.K. — O.G.P.U. — N.K.W.D. — K.G.B. — Andropow podkreśla przede wszystkim tę cechę — bezlitosną walkę o przestrzeganie praworządności. „Wrogowie — kontynuował przewodniczący K.G.B. — twierdzili, jakoby dyktatura proletariatu była nie do pogodzenia z praworządnością i przestrzeganiem prawa. To jest kłamstwo”. Zresztą — przyznaje kontynuator dzieła Dzierżyńskiego — „niektóre lata były omroczone nielegalnymi represjami, naruszaniem zasad socjalistycznej demokracji, leninowskich wskazań odnośnie życia partyjnego i państwowego... Ale to nie mogło zahamować całego postępu socjalizmu”. Nie mogło, albowiem „naruszenia te były związane z kulturą jednostki”.

Na tym kończy się krótki przegląd historyczny: „Prawdziwy internacjonalista”, który potrafił wznieść się „ponad wąsko-narodowe interesy”, Dzierżyński, tworzy na polecenie Lenina „organy”, walczą one o „praworządność, prawdziwą demokrację i humanizm”. „Poszczególne lata” — nie powiedziano które — omroczone kultem jednostki — nie powiedziano jakiej. I rozpoczyna się tutaj opowiadanie o świetlanych chwilach, gdy na czele K.G.B. stanął Andropow, a kieruje nim Leonid Iljicz Breżniew. Świetlane dni, radosne życie pod słońcem breżniewowskiej konstytucji zakłócają jednak „tak zwani dysydenci”. Referat Andropowa zajmuje całą stronę *Izwestii* — 8 szpalt. Trzy i pół to „prahistoria” K.G.B. Z pozostałych — trzy poświęcone są dysydentom. Przewodniczący K.G.B. twierdzi, że „sama nazwa dysydent jest sprytnym propagandowym pomysłem, aby wprowadzić w błąd społeczeństwo” Mianowicie — jak wiadomo — „słowo dysydent oznacza inaczej myślenie. Wymyśliwszy określenie 'dysydenci', burżuazyjna propaganda liczy na to, że będzie mogła przekonać opinię, iż ustrój sowiecki rzekomo nie znosi samodzielnej myśli swoich obywateli, że prześladowa każdego, kto myśli inaczej”. Ten obraz — oświadcza przewodniczący K.G.B. — „nie ma nic wspólnego z rzeczywistością”. W Związku Sowieckim — jak wiadomo — można „myśleć inaczej”, można „myśleć samodzielnie” — jeżeli to myślenie ma charakter pozytywny, jeśli nie przeszkadza ludziom sowieckim żyć i pracować spokojnie, jeśli nie przeszkadza działalności partii. Jeżeli inaczej myślący nie lubią K.G.B. to — jak się wyraził jego przewodniczący — „niech w takim wypadku nie mówią o humanizmie”.

Określenie „humanizm” zawsze wywoływało historię przywódców sowieckich — poczynawszy od Lenina i Dzierżyńskiego. I dzisiaj mogliby oni powiedzieć: gdy słyszę słowo humanizm — wyciągam rewolwer... No, ale zdaniem Andropowa słowo „humanizm” specjalnie drażni, jeśli używa go się w odniesieniu do dysydentów. Kim oni są — według przewodniczącego K.G.B.? Ludźmi powodowanymi „politycznymi czy ideologicznymi schizmami, fanatyzmem religijnym, wynaturzeniami narodowościowymi, osobistymi krzywdami i niepowodzeniem... Wreszcie, w wielu

wypadkach, psychicznym niezrównoważeniem”. A więc dysydenci to wszyscy ci, którzy politycznie czy ideowo różnią się od partii, którym nie podoba się jej polityka narodowościowa, którzy występują w obronie wolności religii. W oczach władzy stają się oni fanatykami, wariatami, których przestępczą działalność trzeba koniecznie przeciąć.

Referat Andropowa nie zawiera niczego specjalnie nowego. Zresztą cóż nowego mógłby zawierać referat przewodniczącego K.G.B. — choćby był on nawet członkiem Politbiura? Wszystko to co jest nowe zawarte jest zawsze i wyłącznie w referatach Generalnego Sekretarza. Wystąpienie zatem Andropowa wywołuje pewne zdziwienie jedynie z powodu ilości miejsca poświęconego dysydentom, chociaż — jego zdaniem — jest to tylko „niewiele osób oderwanych od naszego społeczeństwa”. Niewiele osób, a tyle gadania?

Wyjaśnienie jest oczywiście proste: przewodniczący K.G.B. nie może oświadczyć, że wyłowił już wszystkich wrogów. Musiałby wtedy pójść na emeryturę. Jednakże i to wyjaśnienie jest uproszczeniem. Dysydenci w Związku Sowieckim istnieją, gdyż konflikty narodowościowe, ekonomiczne — a zatem i polityczne — nie tylko nie zniknęły w 60 lat od wybuchu Rewolucji, ale się zaostrzyły. I K.G.B., i sowieccy przywódcy rzeczywiście boją się, że „ideologicznym dywersantom” uda się „poderwać, osłabić komunistyczne przekonania ludzi sowieckich, narzucić im poglądy obce socjalizmowi...”. Dlatego Andropow stale wzywa kierowników „organów” do „czujności”, wymagając tej „czujności” od „wszystkich organizacji społecznych i państwowych, od wszystkich komunistów, od wszystkich obywateli naszego kraju”. 55 lat temu Lenin mówił, że każdy komunista powinien być czekiistą. Już od 50 lat mówią, że czekistą — to jest informatorem organów, donosicielem — powinien być każdy obywatel sowiecki.

Słowo donosiciel nie oddaje zresztą tego, czego wymaga od obywateli sowieckich Andropow czy jego poprzednicy. W słowie donosiciel jest pewna ocena moralna. W oficjalnym żargonie K.G.B. donosiciel — „stukacz” — nazywany jest petentem, t.j. tym, który pisze podania. Nazywa się go jeszcze „świadkiem”.

Najbardziej popularną audycją w sowieckiej telewizji jest serial „Śledztwo prowadzą znawcy”. Jest to cykl historii kryminalnych, których bohaterami są majorzy moskiewskiej milicji, wykrywający wszelkiego rodzaju przestępstwa, które się jeszcze zdarzają w kraju rozwiniętego socjalizmu. Główną jednak problematyką tego cyklu są nie przestępcy, ale świadkowie. W każdej z tych historii podkreśla się: tylko świadek, prosty sowiecki człowiek, który przychodzi do milicji i opowiada wszystko, co widział i co wie, daje możliwość wykrycia przestępstwa. Sowieckich widzów przekonuje się, że „świadczenie”, to nie tylko ich obowiązek wobec państwa, że „świadczenie” jest niezbędne obywatelom dla oczyszczenia ich własnych sumień. Milicjant, pracow-

nik K.G.B., przedstawiony jest jako spowiednik. Policjant w roli duchownego.

W Polsce istnieje od dawna tendencja, by władzę sowiecką traktować jako bezpośrednie i naturalne przedłużenie władzy carskiej, a Związek Sowiecki jako prawowitego następcę carskiej Rosji. Swoje wybitne studia nad historią rosyjską zatytułował Jan Kucharzewski „Od białego do czerwonego caratu”. Pogląd ten obecnie bardzo aktywnie uzasadniają liczni sowieccy dysydenci na emigracji (Aleksander Janow, Borys Szragin, Leonid Pljuszcz i in.), twierdząc, że od czasów Iwana Groźnego Rosja się nie zmieniła, jeśli nie brać pod uwagę, że na Kremlu założono telefon. Nie ma wątpliwości, że sporo jest podstaw dla poglądów tego typu. Książkę Markiza de Custine czyta się dzisiaj jak przewodnik po breżniewowskim Związku Sowieckim. Niemniej jednak wydaje mi się, że twierdzenia o identyczności Rosji carskiej i Związku Sowieckiego nie pozwalają na dostrzeżenie głównej sprawy: różnic między Rosją a Związkiem Sowieckim. Jest zbyt uproszczeniem mówić, że „tylko w Rosji mógł powstać taki ustrój”. Jest uproszczeniem mówienie o tym dzisiaj, gdy książka Markiza de Custine stała się przewodnikiem po Pradze, Wschodnim Berlinie, Hawanie, Tiranie, Pekinie, no i wreszcie Warszawie. Bolesław Sulik w jednym ze swoich szkiców opowiada (*Kultura* nr 10/361 z 1977 r.) o tym, jak rozmowy między dwoma osobami na tematy drażliwe poprzedza się dowcipem „Kto z nas będzie to nagrywać?” i kończy się również dowcipem: „Kto z nas zadzwoni teraz na Rakowiecką?”. Bolesław Sulik pisze, że czarny humor i czarna autoironia świadczą o kompleksach, a nie o panice, że w Polsce psychoza strachu nie osiągnęła jeszcze takiej głębi jak w Związku Sowieckim. To niewątpliwie jest jak najbardziej ściśle. Doświadczenie sowieckie wskazuje jednak, że „czarny humor” i „czarna autoironia” nie zabezpieczają psychiki od rozkładu. W najbardziej strasznych latach terroru stalinowskiego powstała sowiecka anegdota: „Człowiek patrzy w lustro i mówi: albo ty, albo ja”. I mimo tego czarnego humoru obywatele sowieccy szli (i dalej idą) donosić na siebie i na innych.

Dzisiaj badać społeczeństwo sowieckie, sowiecką mentalność jest znacznie łatwiej, gdyż można obserwować jak ta mentalność powstaje i w innych krajach. Bolesław Sulik pisze: „Stosunek pogardy do policji jest sam w sobie krzepiącym odruchem obronnym, ale są też w zbiorowej wyobraźni składniki policyjnej psychozy, przeświadczenie, że policja wszystko słyszy i widzi, że obecna jest wszędzie”. I to jest jakby pierwszym etapem. A potem zaczyna się edukacja miłości do policji. Generał żandarmerii Gierasimow pisze w swoich wspomnieniach „Carat a terroryzm” o pogardzie do żandarmów panującej w społeczeństwie rosyjskim. Uważało się podawanie ręki żandarmowi za rzecz niewłaściwą. Dzisiaj w Związku Sowieckim „kagebist”, policjant — to bohater, wzór dla młodzieży. W latach dwudziestych Majakowski zalecał młodzieńcowi, zastanawiającemu się jak żyć, by brał przykład

z Dzierżyńskiego. Dzisiaj ten wzorzec stał się obowiązujący dla całego „obozu socjalistycznego”.

W Moskwie ukazała się książka „Wywiadowcy demaskują”. Zebrane są w niej opowiadania, które były już publikowane w czasopiśmie i pokazywane w telewizji — opowiadania agentów sowieckich, którzy pracowali w radiostacjach „Swoboda” i „Wolna Europa”. Przed nami staje prawdziwa międzynarodówka szpiegów: Polak Czechowicz (rozdział o nim jest zatytułowany „Czechowicz był pierwszym”), Czech — Minarzyk, Bułgar — Christow, Rosjanin — Marin. Każdy z nich miał swoją specjalność, ale każdy z tych szpiegów jest przede wszystkim człowiekiem sowieckim — *homo sovieticus*, dla którego zdrada, przyniewierstwo i podłość są synonimem sławy, szlachetności i bohaterstwa. Nigdy w Rosji nie było kultu szpiegów. W Związku Sowieckim, a za nim i w innych krajach, gdzie kształtuje się *homo sovieticus*, początkowo gardzono szpiegami, współpracownikami „organów”, ale potem zaczyna się — w tym jest cel wychowawczy — ich kochać.

Nie było dotąd w historii takiego społeczeństwa, w którym tak uporczywie zaleca się otwierać duszę, kajać się i skarżyć przed policjantem. Albowiem nie ma już przed kim innym.

Zresztą to nie jest ściśle. W kwietniowym numerze pisma *Białoruś*, ukazującego się w Mińsku, zamieszczono poemat Maksima Łużanina „Bezenny telefon”. Białoruski poeta z naciskiem zaleca, by w wypadku osobistych czy społecznych trudności skarżyć się bezpośrednio Leninowi. Telefonować do niego. Niezłyli czytelnicy mogliby mnie podejrzewać o bluźnierstwo, o zły dowcip. Ale Maksim Łużanin jak najbardziej serio pisze:

„Imiejem prawo my: budi!
Imiejem prawo my: zwoni!
Nie stierpisz ty, a ja nie smółcu.
My wsie pozwonim Iljczu”.

Tak pisze białoruski poeta: wszyscy zatelefonujemy do Iljicza.

Rzeczywiście już nie ma do kogo dzwonić, czy zwracać się... Do policjanta (do Andropowa na przykład), do Lenina... albo do Stalina. Pisarz Anatolij Gładilin, który niedawno wyjechał na Zachód, opublikował w kwartalniku *Kontinent* powieść „Repetycja w piątek”. Punkt wyjściowy powieści jest dziwny — dawniej powiedziałbym fantastyczny. Obecnie jednak, po poemacie Łużanina, wystarczy powiedzieć, że dziwny: tow. Stalin, którego bynajmniej nie spalono — jak zapewniały sowieckie gazety — a zamrożono — obudził się. Jednej pięknej nocy — określmy to w ten sposób — tow. Stalin, leżący w głębokim schronie podziemnym otworzył oczy i zażądał od starszego lejtnanta służby bezpieczeństwa, strzegącego zamrożonych zwłok, żeby zawezwał pewnych ludzi. Wells napisał powieść pt. „Kiedy śpiący się obudzi” — ale to jest powieść fantastyczna. Powieść Gładilina, jeśli nie brać pod uwagę fabularnej koncepcji, jest powieścią realis-

tyczną. Stalin występując na zebraniu partyjnym mówi dosłownie to samo, co mówią dzisiejsi przywódcy, ale mówi to lepiej, tj. otwarcie, jasno, bez niedomówień. Mówi: „Nie można zapominać o otoczeniu kapitalistycznym, które nasyła do naszego kraju szpiegów, szkodników i morderców”. Najzupełniej słusznie krytykuje on „prawie oficjalne pozwolenie” na emigrowanie „niektórym grupom ludności”; czyż z marksistowsko-leninowskiej logiki nie wynika jasno, że „trzeba by każdy obywatel Związku Sowieckiego, gdziekolwiek się znajduje czy pracuje, zdawał sobie sprawę, że komunizm jest osobście dla niego nieunikniony i nieodwracalny. Tylko pod tym warunkiem możemy budować nowe społeczeństwo”. Te słowa Stalina wywołują burzę oklasków. Stalin jest taki sam jak obecni przywódcy, ale twardszy. Obecni wodzowie są tacy sami jak Stalin, ale bardziej miększy. A *homo sovieticus* domaga się twardej ręki. W *Chronikie tiekuszczych sobytii* (nr 44), piśmie samizdatowym, znajduje się informacja o konferencji redaktorów pism, która miała miejsce w Moskwie w lutym-marcu bież. roku. Referent KC wyłożył linię partii następująco: „Do redakcji gazet i periodyków bardzo licznie napływają żądania ludzi sowieckich by wreszcie okazać stanowczość i osadzić dysydentów. W związku z tym zdecydowano aresztowanie 50-ciu spośród najbardziej aktywnych dysydentów i surowe obejście się z sympatykami. Czas już dać dowód siły i nie zwracać uwagi na Zachód”.

Tak też postępuje K.G.B. W październiku, w przededniu konferencji w Belgradzie, został aresztowany pisarz ukraiński Helij Sniehrow*. Aresztowano go za to, że w liście otwartym nazwał konstytucję breżniewowską „kłamstwem od początku do końca” i zrzekł się obywatelstwa państwa, które „pozbawiło go praw i wolności”. Podczas gdy w czasie ogólnonarodowej dyskusji nad konstytucją dziesiątki tysięcy obywateli sowieckich — jak oświadczył tow. Breżniew — proponowało poprawki mające na celu wzmocnienie centralizacji, zaostrenie kar dla tzw. elementów antysocjalnych. Tow. Breżniew zgodził się z tymi postulatami sowieckich obywateli, które wydają mi się najzupełniej prawdopodobne. Były też i inne propozycje — Dr nauk prawnych, W. Patiulin, w *Litieraturnoj Gazecie* (nr 37) dał odpowiedź tym obywatelom, którzy mieli wątpliwości odnośnie § 39, ograniczającego prawa jednostki „interesami społeczeństwa i państwa”. Prawnik sowiecki wyjaśnia, że sowiecka „wolność” jest niczym innym, jak „swobodnym, świadomym obowiązkiem”, a wszystko pozostałe to jest pseudo-wolność. Można więc przypuszczać, że kształtowanie *homo sovieticus* daje rezultaty, że większość obywateli sowieckich „swobodnie i świadomie rozumie swój obowiązek”. Pokochali policjanta.

Adam KRUCZEK

* W nr. 9/360 z 1977 *Kultury* został zamieszczony list Sniehrowa do partii.

Wołanie na puszczę

Moje proroctwo

Panu Zbigniewowi Brzezińskiemu poświęcam.

Mam proroctwo dla Zachodniej Europy na najbliższe 30-50 lat. Do sformułowania tego proroctwa skłoniła mnie lektura wypowiedzi amerykańskiego eksperta od bomb neutronowych Samuela T. Cohena, wypowiedzi, udzielonej tygodnikowi *Der Stern*. Wywiad Cohena ukazał się w *Sternie* 18 sierpnia 1977, ja przeczytałem jego przedruk w warszawskim *Forum* z dnia 8 września i zaraz łapię za pióro.

Cohen mówi, że bomba neutronowa przewidziana jest jako broń defensywna w wypadku, jeśli Rosjanie „celem rozszerzenia ideologicznego i politycznego obszaru swoich wpływów” zaatakują Europę Zachodnią siłami armii konwencjonalnej i przełamiają front na terenie federalnych Niemiec. Otóż założenie, że Rosja zaatakuje zbrojnie w Europie wydaje mi się czystą abstrakcją i absolutnym nieprawdopodobieństwem, przypuszczeniem mylnym, wynikiem z oderwania rozważań strategicznych od polityki. A przecież wiemy od Clausewitza, że wojna jest po prostu przedłużeniem polityki, polityką realizowaną innymi środkami.

Moje proroctwo mówi, że Rosja w ogóle nigdy zachodniej Europy zbrojnie nie zaatakuje. Nie zrobi tego z dwóch przyczyn: pierwsza, bo w ataku takim zawierałoby się zbyt duże ryzyko, druga, bo atak taki jest Rosjanom w ogóle NIEPOTRZEBNY.

Ryzyko ataku streścić można w trzech punktach: a) zniweczyłby on i zmarnował całą wieloletnią, wyrafinowaną, dyplomatyczno-psychologiczną pracę Rosji w Europie Zachodniej; b) groziłby łańcuchowym wybuchem ogólnej wojny nuklearnej, której ostateczny rezultat zawsze jest niepewny; c) mógłby uaktywnić na azjatyckiej granicy ZSSR ogromną masę chińską, a liczebna przewaga ludnościowa potrafi w sytuacji np. wojny atomowej odegrać rolę decydującą. Do tego zaś jeszcze — istnieje przecież Japonia.

Ryzyko jest wielkie i Rosjanie absolutnie go nie podejmą: wielokrotnie pokazali, że ryzykować nie lubią, nie lubią też szybko tracić tego, co zdobyli wieloletnią pracą polityczną. Są cierpliwi, opanowani, mogą czekać, dali tego wielokrotnie dowód. To szachiści, a w szachach przewiduje się wiele ruchów naprzód. W dodatku, od czasów Lenina znają dobrze psychikę Zachodu, jego przywiązanie do dóbr materialnych i, uwarunkowaną systemem parlamentarnym, chwiejność polityczną.

Co więc zrobią Rosjanie na europejskim terenie w ciągu najbliższych 30-50 lat? Nic, po prostu będą TRAWIĆ. Będą trawić i przyswajać to, co zdobyli w rezultacie Drugiej Wojny Światowej. A zdobyli niemało. Mają kraje bałtyckie i zneutralizowaną (czy zhołdowaną?) Finlandię, zlikwidowali Prusy Wschodnie, oddali Polsce Pomorze środkowe i zachodnie, pozbywając się w ten sposób potężnych germańskich gniazd nad Bałtykiem. Mają Polskę, Czechosłowację, Węgry, Bułgarię, moim zdaniem i Rumunię, bo wspólność ustroju zatryumfuje tu w końcu nad ambicjami polityczno-etnicznymi. I wreszcie — rzecz nadzwyczaj ważna — mają NRD, podział Niemiec, „swoich Niemców”.

Rewolucja w Niemczech, Niemcy skomunizowani, to było marzenie i Lenina i Trockiego, nad tym pracowali latami Róża Luksemburg, Liebknecht, Radek (wysłany w 1919 roku do Berlina, aby pokierować tamtejszą rewolucją). Ale dopiero Stalinowi się udało — w warunkach wygranej wojny, pod okupacją, przymusem, izolacją — ale się udało. Istnieją dziś, choćby nawet „za murem” 18 milionowe na razie Niemcy komunistyczne; załatwwszy drakońsko problem milionowego „upływu krwi” okrzepły one jako państwo i jako gospodarka, osiągnęły uznanie dyplomatyczne przez cały świat zachodni, ukształtowały — z początku sztucznie, potem coraz bardziej organicznie — swój charakterystyczny profil, mało sympatyczny, lecz realny. Najważniejsze, że po latach, za militarno-politycznym podziałem Niemiec, poszedł podział psychologiczny. „Byt określa świadomość”, dziś Niemcy wschodnie i Niemcy zachodnie to już dwa światy psychiczne, częstokroć, zwłaszcza wśród młodzieży, nie odczuwające nienormalności podziału. Przyczynia się do tego rodzący się niewątpliwie „patriotyzm NRD-owski”, satysfakcja z osiągnięć gospodarczych (pierwszy pod względem stopy życiowej kraj „socjalistyczny”), szowinizm, podniecany przez niebywałe sukcesy sportowe, osiągnięte z pomocą naukowego i potężnie finansowanego wylęgu mistrzów etc. Co więcej, Rosjanom udało się po latach nie tylko różnicować dwa gatunki Niemców, ale wręcz skłócić je psychicznie — odczuwa się to wyraźnie rozmawiając dziś z ludźmi z NRF'u: pięć lat temu jeszcze mówili o obywatelach NRD per „nasi nieszczęśliwi bracia”, dziś nierzadko słyszy się epitet „ci komunistyczni dranie!”.

Oczywiście, ten stan rzeczy jest jeszcze kruchy i może z dnia na dzień ulec odwróceniu, zwłaszcza, gdy ma się przed oczyma tak oczywisty dowód sztuczności i zniewolenia jak mur berliński

ski czy zakaz wyjazdów na Zachód oraz ucieczkę ludzi kultury. Rosjanie, ludzie wytrawni, wiedzą dobrze o tym niebezpieczeństwie, wiedzą też jednak również, że sytuacje prowizoryczne mają tendencję do utrwalenia się i że, gdy nic nowego się nie dzieje, czas pracuje dla nich. Sporo właśnie owego czasu potrzeba im na TRAWIENIE, czyli utrwalenie tego, co już zdobyli, na zabezpieczenie się w swojej strefie przed wstrząsami takimi jak rok 1953 w Berlinie, 1956 w Polsce i na Węgrzech, 1968 w Czechosłowacji, 1970 w Polsce. Rosjanie wiedzą też dobrze, że mogą trawić (zabezpieczać, ujednolicać, sowietyzować) bez przeszkód ze strony Zachodu, który po wielokroć uznał *status quo* za warunek pokoju i spokoju, a bez tego żyć nie można. Da się więc, powtarzam, trawić i niwelować w spokoju — nikt z Zachodniej Europy nie przeszkodzi, przeciwnie.

A co będą Rosjanie przez te 30-50 lat robić na przedpolu, czyli na niewielkim lecz bardzo uprzemysłowionym półwyspie, zwączęm się szumnie „Europą”, a będącym w istocie kadłubową Europą Zachodnią? Będą rozwijać żywą działalność pozorującą i odwracającą uwagę, a dającą dyplomacji zachodniej okazję do popracowania (jałowego — ale któż się do tego lubi przyznać?). Działalność pozorująca to jedna z wielkich sztuk polityki radzieckiej, niewątpliwym jej mistrzem był Chruszczow, który „rozrabiał”, żądał i przegrażał się na Kubie czy w Berlinie, aby odwrócić uwagę od tego, co już miał w kieszeni. Rezygnując łaskawie z symbolicznych „Niderlandów” zachować dziesięć dawniej już „zaliczonych” i połkniętych krajów — oto polityka zapobiegawcza, przezorna a psychologicznie bezbłędna. Przeróżne konferencje, Helsinki, Belgrad, straszące manewry w Berlinie a potem propozycje rozmaitych paktów, gwarancji, kontaktów, narad rozbrojeniowych, wszystko to jest po to, aby zachodnim politykom i dyplomatom dać zajęcie. A po co to zajęcie? Aby w nawale prac i problemów zapomnieli o tym, co Zachód stracił a Rosja nabyła w rezultacie Drugiej Wojny. Zresztą Zachodniej Europie raczej zapominanie takie przychodzi bez trudu, pomaga im w tym dyletantyzm, niezajomość historii, zastarzała ignorancja na temat spraw i znaczenia Europy Wschodniej. Jedni Niemcy coś o tym wiedzą (bo i sporo tam kiedyś przekrobali), dla normalnego Francuza czy Włocha Wschód Europy poza Rosją, to jakaś mętna fikcja a problem kto i jak rządzi w Polsce czy na Węgrzech dawno przestał być problemem politycznym. Błogosławiona nieświadomość, pozwala jednym żyć w spokoju a drugim trawić to co zjedli czyli zdobyli. Wygodny ten dla obu (na pozór) stan bytowania nazywa się *détente*.

Tak więc będzie politykować Rosja aż do skutku, tj. 30-50 lat. Jednocześnie Zachodnia Europa, pomna na przestrogi pana Samuela T. Cohena będzie się zbroid w ramach „OTAN” i ubezpieczać przed rosyjską agresją. Z tym, że zbroid się będzie nierównomiernie: Niemiecka Republika Związkowa, bardziej zainteresowana, doświadczona i związana z Ameryką będzie się zbroid serio; nieskora do żadnej wojenki (patrz rok 1940) Francja wy-

kręcać się będzie sianem i swoją *force de frappe*, inne kraje postąpią różnie, zależnie od stopnia inflacji i od wyniku ostatnich wyborów parlamentarnych, oraz gdzieindziej, od stanowiska komunistów. Ale jako całość zachodni półwysep bardzo się tym wszystkim zmczy (nader to bowiem męczące nie spać po nocach, czekając na atak, który ani rusz nie nadchodzi), znuży się też amerykańskim przywództwem, bo nic w tym zabawnego ulegać komuś, kto sam nie wie dobrze czego chce, a jutro, być może, skłoniony do tego głosem swego ludu, zwinie manatki i czmychnie za Atlantyk. W dodatku kraje Zachodu żarte będą od środka przez inflację, bezrobocie, kryzysy rynkowe, anarchizm i inne plagi, które nam, mocno doświadczonym wschodnim Europejczykom, wydają się dziecinną zabawką, lecz przez zainteresowanych na Zachodzie przyjmowane są ze śmiertelną powagą. I tak sytuacja będzie dojrzewać przez 30-50 lat aż...

Aż Rosjanie uznają, że moment psychofizyczny jest już odpowiedni, przyjdą i powiedzą: „Widzicie Kochani, po co Wam było to wszystko? Wiecie już, że nie jesteśmy agresywni czy imperialistyczni, że nigdy pierwsi nie zaatakujemy, że wojna, zwłaszcza atomowa, to amerykański straszak. Rzućcie bezużyteczne i przestarzałe zbrojenia, weźmy się wspólnie do pokojowej pracy. Dajemy Wam nasze rynki zbytu, zamówienia, oferty, proponujemy szeroką kooperację przemysłową. Pomyślcie ile zarobicie, jak zlikwidujecie bezrobocie, jak się odprężycie! A płacimy gotówką: miliardy dolarów, dewizy, złoto z Kołomy — to wszystko dla Was. Tylko przestańcie słuchać tych zwariowanych a niepewnych Amerykanów!”.

I tak się stanie. Przy czym ustrój kapitalistyczny Zachodu będzie zachowany: Rosjanie doskonale wiedzą, że on pięć razy lepiej produkuje od komunistycznego, aby tylko produkował dla nich; nie będą też potrzebowali żadnej okupacji, wystarczy perswazja i pobrząkiwanie kiesy.

Oto więc moje proroctwo, nie tyle zresztą proroctwo, co schemat rosyjskiej koncepcji na przyszłe lat 50. Jest to schemat postępowania oczywisty, innego być nie może: tylko ludzie nie-sprawni politycznie myślą, że rzeczy nazbyt oczywiste nie nastąpią, tak jak niektórzy Polacy i Anglicy myśleli w roku 1939, że atak Hitlera nie nadejdzie, bo to za proste. Oczywiście: wyprokował tu intencjonalny schemat czy model rosyjskiego postępowania, co nie dowodzi, że model ten musi być bezbłędnie zrealizowany, że nie zdarzą się żadne niespodzianki czy zakłócenia. W redakcji *Kultury* zwykło się myśleć, że będą to zakłócenia wewnętrzne w Bloku, zakłócenia odśrodkowe, pochodzące od składających się na ów Blok narodów. Osobiście, jako pesymista z Warszawy, nie bardzo w to wierzę: myśmy już nie tacy, decydują nowe, odmienne pokolenia, a ilość przeszła w jakość: o kielbase się ruszą, o wolność nie. Ale nie dyskutujmy — zobaczymy (powiedział ślepy). Mogą też przyjść niespodzianki ze strony światowej polityki, choćby amerykańskiej właśnie — w naszych hipo-

tecznych porochoctwach czy proroczych hipotezach izolowaliśmy wszakże Europę Zachodnią, jakby była sama na świecie, a jest przecież jeszcze jakaś globalna polityka światowa, nie zastąpi jej czekanie na agresję w jednym, jedynym punkcie — wiemy zresztą, do czego takie skondensowane oczekiwanie doprowadziło kiedyś ministra Forrestala. Tylko zresztą wariat uderzałby w Europie, gdzie akurat na niego czekają (co prawda z wariatami w historii też liczyć się trzeba — przykładem Hitler). Ale swoją drogą dziwna to rzecz: mobilizować się przeciw agresji tam, gdzie jej nie ma, a nie reagować na nią tam, gdzie już jest (Afryka). Tego nie pojmuję — a wy?

Kto w ogóle w końcu wygra i kiedy? Bardzo bym chciał dożyć i wiedzieć, bo wszystko wyprorokować trudno. Nie mogę też wyprorokować, czy za niniejsze rozmyślenia na tym miejscu dadzą mi znów w Warszawie po uchu czy nie. Na swoje wytłumaczenie mam supozycję, że u nas by mi przecież tego wszystkiego nie puścili. A poza tym rzecz jest pesymistyczna, czyli po krajowemu — optymistyczna.

KISIEL

Warszawa, wrzesień 1977

STANISŁAW KARPIŃSKI

NA SKRZYDŁACH HURAGANU

Dzieje lotnictwa polskiego w czasie ostatniej wojny.
Opowieść w 4-ch tomach osnuta na tle własnych
przeżyć autora, wydana nakładem:

Katolickiego Ośrodka Wydawniczego

Veritas, 4/8 Praed Mews, London W.2. 1QZ.

Cena za całość w płócienniej oprawie 30 dolarów
lub równowartość.

Książki

Uwagi o nowej książce Konwickiego

„Skłonność literatów, opisujących fikcyjne lub prawdziwe perypetie między poszczególnymi osobnikami i między całymi formacjami społecznymi, a więc skłonność literacka do odrywania się od ziemi i spoglądania na nią z odległości stratosfery czy przestrzeni międzygwiazdnej, ta maniera jest już wytropiona przez badaczy i nazwana jako objaw szczególnej dewiacji. Ale i opisywanie fenomenu życia z wysokości kamienia polnego, albo hydrantu w mieście też jest nagannym zboczeniem. Ponieważ w ogóle literatura to niemoralność, transcendencja i zboczenie” — rozmyśla, stojąc w kolejce przed sklepem „Jubiler”, pisarz polski Tadeusz Konwicki, zarówno przez przyjaciół jak nieznanymi, pieszczotliwie zwany Konwą. Dwa ostatnie zdania cytatu, w których — gdyby tylko polny kamień albo hydrant miejski zamieniło się na kolejkę przed „Jubilerem”, tłumaczyłyby w pewnym sensie los najnowszej powieści Konwickiego. W nocy odautorskiej czytamy: „Stwierdziwszy, że nieokaleczone wydanie przez którekolwiek z oficjalnych wydawnictw krajowych najnowszej książki pod tytułem „Kompleks polski” jest praktycznie niemożliwe, Konwicki zdecydował się na ogłoszenie jej w *Zapisie*. „Kompleks polski” jest właśnie próbą opisania świata z perspektywy kolejki przed sklepem. Kolejki zrazu jak najbardziej realistycznej, w której czeka się na konkretny towar, później zaś, w miarę upływu czasu akcji, coraz bardziej metaforycznej, w której również się czeka, tyle że dochodzą rzeczy nie zawsze tak jak towar konkretne, ale przez to wcale niemniej upragnione.

Sklep, przed którym formuje się owa kolejka znajduje się w Warszawie, gdzieś, być może, przy Alejach Jerozolimskich, może przy Marszałkowskiej; obecność w pobliżu zegara z kuranami wskazywałaby raczej na Marszałkowską. Czas akcji — Wigilia przed rokiem, czy dwoma laty, nie to jest najważniejsze, w każdym razie na pewno jedna z Wigilii ostatnich. Powieść

zaczyna się wcześniej z rana, kończy późnym wieczorem. Kolejka zrazu stoi uformowana przed sklepem, następnie wewnątrz sklepu, rozprasza się chwilami na grupki i znowu skupia, pewni ludzie odchodzą, inni, nowi, przychodzą, przenosi się do jakiejś meliny zaimprovizowanej w mieszkaniu prywatnym na przecioku, mieszczącej się nad państwową restauracją, ląduje na jakichś schodach, potem w bramie, wreszcie znowu na ulicy. Oczywiście, pod koniec, to już tylko to, co z niej pozostało, jakieś dziesięć osób może jeszcze mniej — kolejka metafora.

Jeżeli kolejka stanowić ma główny element architektoniczny powieści, jej konstrukcyjny szkielet, wokół którego obudowano całą resztę, epizody obyczajowe, rodzajowe sceny, nawet drobne wydarzenia natury mniej lub więcej intymnej paru bohaterów, to udział w niej, w roli narratora, samego pisarza, autora książki, wydaje się zabiegiem kompozycyjnym mającym — w jego przynajmniej zamierzeniu — z jednej strony poszerzyć punkt widzenia o perspektywy historyczne, z drugiej zaś przydać relacji osobistego tonu, uzyskać dla niej swobodę interpretacyjną i tę relację pogłębić. Czy Konwickiemu udało się wystąpić w podwójnej od razu roli: pisarza-autora „Kompleksu polskiego” i pisarza — bohatera głównego powieści „Kompleks polski”, to jest już inne zagadnienie, mam co do tego poważne wątpliwości, ale o tym później, pomysł czysto konstrukcyjny z kolejką przed warszawskim „Jubilerem”, uważam za bardzo udany. Czegoż to bowiem ludzie nie mówią w kolejce, i jak otwarcie! Jakież to typy tam się nie spotykają! Właściwie w jakimś sensie kolejka może być przekrojem naszego społeczeństwa, wypadkową nastrojów, można na podstawie jej badań ustalić przeciętną poglądów współczesnego Polaka, można również wiele powiedzieć na temat typowego polskiego charakteru, a poza tym o pragnieniach Polaków, nadziejach, tęsknotach, o tym co cieszy i co serce ściska, no i o kompleksach, właśnie: o kompleksach. Bo kolejka przed sklepem w Polsce, to znakomite studium obyczajowe i psychiki narodowej.

Tak więc, jak zaznaczyłem, kolejka formuje się w Wigilijne rano przed — jak mówi autor — „sklepem zwanym bez finezji Jubilerem” i czeka na godzinę jedenastą, kiedy zostanie otwarty; Konwicki gdzieś w jej połowie, jako dwudziesty trzeci z rzędu — szczególnie bez większego znaczenia w recenzji, przytaczam go jednak dla platyki obrazu. Ludzie przytupują na mrozie niecierpliwie, przestępują z nogi na nogę, gadają — tak następuje pierwsze wydobywanie z anonimowego tłumu późniejszych bohaterów akcji. Konwicki zostaje wkrótce przez paru ludzi rozpoznany. Zarysowują się między nim a nimi jakieś bliższe związki — i w ten sposób paru bohaterów w kolejce z miejsc epizodycznych przesuwają się na bardziej eksponowane.

Oto przykład:

„ — Pan mnie nie pamięta, a ja pana znam.

— Coś jakbym sobie przypominał.
 — Nie męcz się pan. Znam i już. Przyjdzie pora to powiem..."

Niektóre związki zdają się sięgać gdzieś w dość odległe czasy. Może do Wilna okupowanego przez Niemców, może do akowskiej partyzantki niszczonej na Wileńszczyźnie przez sowieckie wojska, może do patriotycznego powojennego podziemia i resztek legalnego życia politycznego likwidowanych już przez rodzime UB — trudno to jednoznacznie ustalić. Wątek wileński pojawia się w powieści parokrotnie, zawsze jednak potraktowany jest w sposób mglisty, niedopowiedziany, zresztą jak cała warstwa tekstu opowiadająca o nie tak dawnej przeszłości. Bo z tych parunastu kart poświęconych okresowi wojny i pierwszych lat po wojnie w rzeczywistości niewiele o życiu w kraju można się dowiedzieć. Chyba tylko, że historia płata czasem złośliwości, odwracając role kata i ofiary. Gdy nierozłączni Korjan i Duszek, to najprawdopodobniej właśnie dawna ofiara — może ktoś z AK i kat-ubek, kabewu'owiec czy ktoś w tym rodzaju; w czasie powieściowym Duszka poznajemy już jako „popychle” i totumfanckiego Korjana. Odwrócenie nie zanadto odkrywczе, ale może (jeżeli oczywiście moje domysły nie są z gruntu fałszywe) mogące w jakimś sensie stanowić coś w rodzaju metafory nie tylko polskich losów, ale w ogóle losów ludzkich w ustroju totalitarnym. Że właśnie to chciał autor wyrazić, pozwala się domyślać pierwsza z dwóch historycznych wstawek — jak gdyby wyodrębnionych nowel — których istnienie w tekście można tłumaczyć wielorako: *primo* — najogólniej rzecz biorąc — próbą zarysowania procesu twórczego, skoro bohater główny jest pisarzem; *secundo* — chęcią oddania swobodnej gry wyobraźni i skojarzeń, a bohaterowi i jednocześnie pisarzowi który jest wilnianinem, wszystko w końcu może kojarzyć się z tamtymi stronami i to również w czasie historycznym; *tertio* — próbą zmetaforyzowania problematyki narodowej. Wydaje mi się, że to trzecie Konwicki miał na myśli, bo owa pierwsza wstawka mówi o beznadziejnej próbie zorganizowania powstania na Litwie, tułaczce po lasach i w końcu o wydaniu desygnowanego naczelnika powstania przez miejscowych chłopów Moskałom. W metaforę powstaniowej noweli można by ewentualnie wpisać zarówno tułaczy, partyzancki los samego autora, jak i jego dwóch towarzyszy z całym ich problemem ofiary i kata. Wszystko to jednak są tylko domysły i jeszcze raz domysły, jak bowiem powiedziałem, to co w powieści dotyczy nie dnia dzisiejszego, staje się dwuznaczne, niedomówione, ucieka jak gdyby w podtekst, a wreszcie — bardzo po polsku i dzisiejszemu — rozpyływa się w zrazu proponowanej, potem rzeczywistości konsumowanej wódce. Bohaterowie zresztą nie są krojeni na miarę herosów, ani tragiczków — są życiowo niezbyt udani, nieco skwaśniałi, nieco zgorzkniali, nieco cyniczni, nieco wycwanieni, życie im się zawaliło albo przeciekło przez palce, zbyt wiele było fałszywych ścieżek, zbyt wiele pomyłek, na nowo, inaczej, zaczynać już za późno. Właśnie tacy oni —

wszystkiego „po trochu” w nich i „nieco”. Ta sama miara dotyczy i postaci centralnej, to znaczy autora Konwickiego identyfikującego się z Konwickim powieściowym, o czym mówi on i myśli w paru miejscach z rozbrajającą szczerością i samokrytycyzmem. Nijakość, która cechuje większość postaci, ich jak gdyby rozdarcie między chęcią działania a rezygnacją, ich wewnętrzzną niemożność, bolesną niepewność, niezdecydowanie dobitnie ukazuje pointa pierwszej historycznej wstawki:

„... Żołnierze otoczyli ciasno wóz, chłop cmoknął na konie. Odwróciłeś mozołnie głowę w bezsensnym pragnieniu, żeby zobaczyć tę leśniczówkę z budzącym otuchę jasnym dymem, co bije prostą strugą w wiosenną niebieskość nieba. I zobaczyłeś leśnika, który cię wydał. Patrzył na twoje sponiewierane ciało, na rozkrącone haniebnie nogi jak u patroszonego kabana, na krwistą pręgę niczym pijawka przyssana do czoła i coś szeptał. A w oczach jego mogła być jakaś wilgoć, a w głosie jakaś niepewność, kiedy poruszał zdrewniałymi wargami, ty zaś, mój bracie, sprzed osiemdziesięciu jeden lat, odczytałeś z drgań ust leśnika to znane nam zawsze pytanie: — Czy warto było?”

Wróćmy jednak po tym podtekstami nabrzmiałym pytaniu do współczesności, bo i autor do niej wraca.

„W ogonku nie nowego — donosi. — Jakby trochę się zmiętosił, rozkleił i odrobinę przemieścił. Ale nie, wszyscy pozostali na swoim miejscu. To skąpe światło świec obrosłych stearynowymi łzami zniekształca proporcje i wynaturza zmęczone twarze. Iwona patrzy wielkimi, wypukłymi oczami, patrzy na nas albo może na mnie, kiedy obstukujemy buty z pacyń śniegu przy wejściu do salonu. Kierowniczką z mężczyzną w czarnym fartuchu wnoszą pierwsze kartonowe pułdo. Ogonek ścieśnia się, przyciska do lady z napisem: proszę się nie opierać”.

Gdyby współczesną warstwę powieści próbować streścić, to okazałoby się, że niewiele się w niej dzieje. Wielkie rozczarowanie, bo w kartonach zamiast oczekiwanych obrączek, pierścionków czy innych złotych precjozów, nadających się zarówno na gwiazdkowy podarek, jak i małą lokatę kapitału, nadeszły sowieckie samowary z blachy, na które nikt nie ma ochoty. Do sklepu przybywa grupa sowieckich turystów, oczywiście, również chcących coś kupić. Autor spotyka wśród nich krewniaka z dalekiego powiatu oszmiańskiego. Podsumowanie ich rozmowy: i tam nijako, i tu nijako; można jakoś (bo trzeba) żyć. Uwaga na stronie: „Jeśli sowieci czekają, to towar na pewno będzie”. Autorowi udaje się zawrzeć znajomość ze sprzedawczynią, piękną dziewczyną Iwoną, alias Basią. Mimo że Sowietci czekają, towar jednak nie nadchodzi. Autor słabnie z wysiłku stania w kolejce, a może z głodu, mdleje. Budzi się z omdlenia na zapleczu sklepowym pod opieką pięknej Basi. Przesypia się z nią. (Trochę to jak z „Disnaylandu” Dygata, tyle że bez tej lekko ironicznej romantyczności, zwiewności i poezji tamtej powieści). Ponieważ towaru ciągle nie ma, a czekający dalej się

ładzą, że jednak będzie, idą po zamknięciu sklepu na wódkę w poblizę. Jak towar przywiozą, to sklep otworzą, rozumują, zamawiając „lornetę z meduzą”, co znaczy w Polsce dwie setki czystej z nóżkami w galarecie na „zagrychę”. Potem rozgadane, rezonujące towarzystwo przenosi się jeszcze w kilka innych miejsc, które wymieniłem na wstępie, streszczanie jednak powieści Konwickiego nie prowadzi do niczego. To, co w niej istotne, co mówi o kraju, jego mieszkańcach i ich życiu, mieści się w niestreszczalnym dialogu między poszczególnymi bohaterami, w dialogu któremu się autor przysłuchuje, lub w którym uczestniczy. Tam właśnie, językiem znanym z Hłaski lub Marka Nowakowskiego — który jest jednak i językiem Konwickiego — czy też po prostu dobrze podsłuchanym językiem ulicy warszawskiej „opukuje się dokładnie kręgosłup naszej historii... wydobywa na jaw wszelkie ułomności, wady i zwyrodnienia... dzikie, zwariowane przywiązanie do swobód pojedynczego obywatela, do autonomii i niepodległości człowieka”. W dialogu również ujawnia się to, co nas jako naród w najsmutniejszych chwilach tak podtrzymuje na duchu: poczucie humoru, umiejętność odpowiedzi na każdą sytuację, na każde wydarzenie i uderzenie władzy żartem, dowcipem, śmiechem, być może gorzkim — to prawda — ale zawsze śmiechem, który jest jednak czymś pokrzedającym.

I jeszcze jedna interesująca warstwa powieści, to rozważania samego autora, niestety publicystyczne, i jako takie — jeżeli nawet nie szkodzą artystycznie całości — to się jednak od niej wyraźnie odcinają. To one chyba przede wszystkim uniemożliwiły wydanie w kraju książki. Ba jakież cenzor mógłby sobie pozwolić na puszczenie takiego oto passusu:

„Cały układ społeczny, ekonomiczny, cywilizacyjny powinien prowadzić, popychać, strącać w przepaść zagłady i niebytu państwo rosyjskie. Ciemny, obskurancki despotyzm, zdziczenie wyższych sfer, nędza ludu, samowola głupich i sprzedajnych urzędników, niewiarygodna indolencja wodzów, najreakcyjniejsze prawa i obyczaje, barbarzyństwo w stosunkach między ludźmi — to wszystko miast zatopić państwo w haniebnej anarchii, miast zdemolować strukturę państwową, miast wykorzenić naród rosyjski ze wspólnoty europejskiej, to wszystko mozolnie budowało potęgę dawnej Rosji, jej supremację, jej wielkość wśród narodów starego kontynentu”.

Albo innego passusu — już w sposób bezpośredni mówiącego o współczesności:

„Dziś niewola stała się niewidzialna. Jakiś biedny naród zachowuje się z pozoru neutralnie, słucha z czcią swego hymnu, wybiera parlament, wysyła posłów, zasiada w Radzie Bezpieczeństwa, jednym słowem postępuje jak każde niezawisłe, suwerenne państwo. I nikt nie widzi, że do pleców przystawiono mu rewolwer, odbezpieczony rewolwer sąsiada albo i nie sąsiada. Taki naród wypowiada słowa rzeczowe, roztropne, głębokie, siakie i owakie, wypowiada je z twarzą pokerzysty i nikt się nie domyśla, że naród ten chciałby z całych sił, z głębi trzewi zaryczeć niczym zarzynane zwierzę...”

Dawniej zniewolonemu przysługiwało prawo krzyku, dziś niewolnikom zapewniono prawo milczenia, niemoty. Krzyk przynosił ulgę... hartował na przyszłość. Milczenie, niemota degenerują, duszą, zabijają. Dawniej zniewolony, kiedy odzyskiwał wolność, mógł bez przeszkód włączyć się do wielkiej rodziny wolnych narodów. Dziś, przypadkiem uwolniony, nie będzie już zdalny do życia. Sam zginie od jądów, które zgromadził w sobie podczas czarnej nocy ubezwłasnowolnienia...”

Tych partii odautorskich jest w powieści kilka i nic nie poradzę na to, że — chociaż jestem wrogiem publicystyki w prozie — przykuwały moją uwagę najżywiej. Może dlatego, że Konwickiemu udaje się w nich powiedzieć w lapidarnej formie wiele rzeczy ważnych i interesujących. Wartościową też i przejmującą częścią „Kompleksu polskiego” jest druga nowelistyczna wstawka historyczna, ukazująca ostatnie spotkanie Traugutta, jedącego do Warszawy by objąć dyktaturę, z żoną i ich noc miłosną. I tę wstawkę można odczytać w najróżniejszy sposób — chyba jednak w zamierzeniu autora jest metaforą polskiego losu.

Należałoby jeszcze odpowiedzieć na pytanie sformułowane na wstępie — czy podwójna rola Konwickiego: pisarza, autora „Kompleksu polskiego” i pisarza, głównego bohatera tej powieści jest wystąpieniem udanym. Wyraziłem co do tego wątpliwość. Wydaje mi się bowiem, że autor decydujący się na wzięcie pod swym nazwiskiem, udziału w akcji własnej powieści winien mieć do zademonstrowania światu więcej, niż tylko swe sfrustrowane oblicze i więcej do zakomunikowania, niż tylko to, że życie mu się nie udało. To, co sobie samemu wkłada w usta, jest mniej ciekawe od tego, co w ogóle mówią inni bohaterowie powieści; jest najuboższe, miejscami nawet mizdrzące się do czytelnika. Jest wśród nich najbardziej skacowanym, mięczakowatym, zakłamanym, upozowanym. Nie budzi ani odrobiny sympatii. Jego charakter jest płacziwy, litujący się nad samym sobą, pragnienia ograniczone, dość płaskie. Oto co mówi pod koniec: „Pani Julio, ja się zmęczyłem udawaniem. Udawaniem mężczyzny, literata, kochanka. Fingowaniem uczuć, zamiłowań, namiętności...”. Słowem Hamlet dla ubogich. Ale tu refleksja: a może to tak właśnie ma być? Bo przez nagromadzenie cech (nieważne, że głównie ujemnych) jest to w konsekwencji postacią najpełniej narysowaną, odróżniającą się zdecydowanie od innych, szkicowo zaledwie scharakteryzowanych postaci. Może to również jakieś zwycięstwo autora nad samym sobą? Odwaga ukazania siebie samego w całej powszedniości niekiedy śmieszającej, niekiedy gniewającej, a nawet odpychającej. Jako symbolu pewnego typu inteligentkiej bezsity i bezpłodności, bezużytecznego cierpiętnictwa? Może. Niech zastanowi się nad tym czytelnik, do którego ręk uda się dotrzeć tej książce, na razie istniejącej tylko w maszynopisie.

Włodzimierz ODOJEWSKI

Wielkie manowce

„Ale czy to nie wszystko jedno, czy Szekspir umiera w ciszy czy na wietrze?”

„Profesją historyków jest dowodzić premedytacji spadającej z dachu dachówki”.

Leopold Buczkowski

W opowiadaniu „U Grottgera” w tomie *Młody poeta w zamku*:

„Słychać skrzypienie butów na śniegu w zimową noc. Grottger stara się iść po cichu. Stróż nocny opowiada historię. Jedną z owych dziwnych opowieści nocnych. Jemu opowiedział ją pewien człowiek, tamtemu człowiekowi jeszcze jeden człowiek, a tamtemu człowiekowi samemu historia przytrafiła się pewnej nocy”.

W opowiadaniu *Romans*:

„Autor siedzi wśród śmieci i szpargałów dotyczących pierwszej wojny światowej i drugiej wojny światowej, a drobna postać dziewczyny posiada potężne serce i mózg nader czynny. Jest przybłądą, przywianą zbiegiem okoliczności. Nie jest skora do udzielania się. Byłoby rzeczą wyjątkowo niegrzeczną wypytywać ją, choćby nieznacznie, o miejsce urodzenia, upodobania, i widoki na przyszłość. Czytelnik zadowolili się musi bardzo niejasnymi odpowiedziami. Jest to dziewczyna ze scen odległych. Gdy raz prysną lody krępujące naszą wymowę, wtedy jesteśmy gotowi prawie o naszych dziewczętach ze scen odległych bez końca, jeżeli słuchacze zdają się nam przychylni. A przyczyną może być widok łba nad studnią miejską”.

Przygotowani w ten sposób możemy przejść do trzech książek, o których będzie tu mowa.

Najwcześniejsza z nich, *Pierwsza świetność*, zaczyna się frazą zapożyczoną z sądu, która się w książce powtarza:

„I dalej zapytany, czy rzeczywiście tak się nazywa, czy tylko przybrał sobie takie nazwisko, oświadczył, że tak się nazywa: jest w stanie wypowiadać zdania ogólne i nikt nie wie, czym jest to, czego potrafi dokonać, ani on sam nie wie tego, aż stanie wobec wzburzenia i uwagi”.

Owo połączenie intelektu z uczuciem, które w opowiadaniu *Romans* nazywa Buczkowski „unią sprzecznych żywiołów” daje tu złudną obietnicę samookreślenia. Wypowiadający te słowa kiedyś powie o sobie więcej. Wcześniej jednak musi poznać — i doznać! — sam siebie.

Przesłuchujący zamienia się w przesłuchiwanego. Opowieść

toczy się w trzeciej, potem w pierwszej osobie liczby pojedynczej. Liczba pojedyncza zmienacka przechodzi w mnogą. Domniemany narrator jest „jednym z nich” albo „jednym z nas”. Nie wiadomo kto opowiada. Hanna Kirchner, autorka wstępu do książki objaśnia, że są to role pojęte symbolicznie, z przemiennością typową dla czasu okupacji. W lekturze jednak wydaje się, że są to ludzie konkretni, świadomi spełnianych funkcji. Postaci, o których pisarz wie wszystko, ale o których dla własnych powodów nie chce powiedzieć więcej. Powody wydają się być bardziej związane z Buczkowskiego filozofią powieści niż z okupacyjną dialektyką kata i ofiary.

Buczkowski opowiada o bitwach, dezertkach, tajniakach, zaszlachtowanych miasteczkach i batalionach śmierci. Wypowiada sądy ogólne zdaniami pełnymi konkretów, opisuje sytuacje konkretne językiem ogólników. Gmatwa, zaciemnia, zacierza wszystkie ślady. Jest poetą, który z pasją układa syllogizmy i logiką, który im precyzyjniej, im ściślej czegoś dowodzi, tym chętniej posługuje się środkami poetyckimi. Jego technika kojarzeń przypominać może Faulknera. Ale zagęszczenie tego, co pominięte i niedookreślone jest u Buczkowskiego bez porównania większe. On sam wydaje się nieobecny, bezcielesny w swych książkach; podobne odczucie, co przy lekturze Kafki albo Brocha. To znaczy obecny w nich jest jego mózg; upiornie precyzyjna — i bardzo swawolna! — maszyna, rozszyfrowująca własne kody, z satysfakcją przyglądającą się własnym obrotom. Strumień świadomości Buczkowskiego jest znacznie bardziej autentyczny niż Joyce'a, i przez to znacznie mniej komunikatywny. To jego własny strumień świadomości, pisarza, a nie podstawianych bohaterów.

Każde zdanie ma tu swój odrębny i, przez niespodziewane konteksty, często odkrywczy sens. Odkrywczy poznawczo, odkrywczy poetycko. W prozie Buczkowskiego, jak w postulatach przedwojennej awangardy poetyckiej, „słowo dziwi się słowu”. Ale pisarz zamyka te sensory w coraz mniejszych cząstkach. Układają się one wprawdzie w motywy, idee i obrazy, które ciągną się przez całą jego twórczość, ale nie układają się w spójne całości. Działają nie jako wizje, lecz jako powtórzenia. Formalną konsekwencją *Pierwszej świetności* była *Uroda na czasie*, która w dwóch trzecich składa się z luźnych zdań-rozmów. Przypominają one na pierwszy rzut oka coś, co Nathalie Sarraute nazwała kiedyś „szpikulcami monologu wewnętrznego”¹. Ale Buczkowski pisze „wszecz”, nie „w głąb”. Jego zdanie zawiera w sobie dokładnie to, co komunikuje, nic więcej. Gdyby pójść o krok dalej — a Buczkowski uczynił to we fragmentach *Kąpiel w Lucca* — kolejna książka składać się powinna z pojedynczych słów. I kto wie, czy z tego dopiero nie powstałaby owa Księga Stworzenia, o której pisarz marzy.

1. Nathalie Sarraute, *Era podejrzliwości*. Pisarka miała na myśli autorkę angielską, Ivy Compton-Burnett, która swoje książki pisała w formie dialogów.

Pierwsza świetność, w każdym razie spora jej część, toczy się za okupacji na Kresach. I w Bełżcu, gdzie Niemcy wymordowali trzy czwarte miliona ludzi. Role za okupacji były wymienne, zatarte — to jedno z tragiczniejszych doświadczeń stulecia. Ale częstotliwość przemian u Buczkowskiego robi wrażenie maniakie. Charakterystyczny już w *Wertepach* sposób opowiadania — mieszanie wątków, równoległość wielu akcji, nieostrość bohaterów — doprowadził pisarz do skrajności o wiele bardziej formalnej, niż psychologicznej. Jakby już nie potrafił inaczej...

Dydoną, założycielką Kartaginy, która popełniła samobójstwo z miłości do Eneasza, jest jedną z dziewczyn, które giną w Bełżcu. Jej pomnik stoi na rynku miasteczka. „Dydoną, Klorynda to imiona namiętności...” — powie Buczkowski w innej swojej książce. Ale imion, za którymi nie kryją się konkretne postaci jest tutaj znacznie więcej. Nie działają jako symbole; zbyt są zatarte w pamięci czytelnika, zbyt niedookreślone w rzeczywistości książki.

W *Pierwszej świetności* nie pada słowo Niemcy, ale pełno w niej aluzji do — równie nienazwanych — ukraińskich nacjonalistów. Na drodze ciągnącej się za hotelem stoi tabliczka z napisem TYFUS. Poszukuje się sześciu tysięcy złotych pierścionków, prawdopodobnie ściągniętych z palców zamordowanych Żydów. Podobnie w *Doryckim krążanku*, gdzie szuka się brylantu ze skarbca miejscowego kahału i w *Młodym poecie w zamku*, gdzie obraz Rembrandta staje się ceną za uratowanie życia żydowskiego dziecka.

W miasteczku roi się od szpiegów, wywiadowców, kontrwywiadowców i szwajcarskich korespondentów. Pod koniec książki, w jej własnym a więc wojennym czasie — kręci się tu film. Podobnie jak w *Doryckim krążanku*, gdzie dwaj Żydzi, Cukier i Chajes, pisali na zamówienie niemieckiego pięknoducha scenariusz o ginącej kulturze żydowskiej. W filmie w *Pierwszej świetności* jedna z poległych dziewcząt ma wymalowaną plamę krwi na plecach. Narrator — człowiek bez właściwości — gra rolę wywiadowcy. Ale nie wiadomo kto kręci film i dla kogo. Sprawy, które jeszcze w *Doryckim krążanku* nie ulegały kwestii.

W opowiadaniu „Psychologia odbioru sztuki filmowej”, w tomie *Młody poeta w zamku*, czytamy:

„Z tłumy — powiada reżyser — wyskakuje jakiś człowiek i gna na oślep, a dopiero za nim żołnierze, policjanci i tajniacy. Równocześnie słychać zadychaną pogonę w zaułkach. To wszystko widać z balkonu. — Czy balkon widział tę scenę? — pyta psycholog odbioru sztuki filmowej. — Czy balkon zapamiętał to sobie. A przecież jeden z zabłąkanych granatów rozbił wówczas balkon w drobne kawałki”.

Mity naszego czasu — pisze Kirchner w przedmowie do książki — nie mogą mieć harmonijnego kształtu, są raczej halucynacją. Ale *Pierwsza świetność* sprawia wrażenie nie tyle halucynacji,

czy scenariusza do filmu, którego nie można nakręcić, co niekończącego się snu. Tylko komu śni się ten sen, ta przeszłość nanizana na jeszcze inną przeszłość?

Gdzie nie istnieje hierarchia wartości, opis karabinu może zastąpić człowieka, w którego karabin został wycelowany. Wisielec, stodoła i wrona są równouprawnionymi częściami pejzażu, a zdanie wtrącone zmienacka — tak jak wszystko w tej książce — „skrzypce zniknęły z powierzchni ziemi”, można odczytać dosłownie. Storturowany, a zarazem olśniony czytelnik, oddycha z ulgą, kiedy odnajduje strzępki „normalnej” opowieści; krótki błysk retrospekcji, obietnicę, że wszystko jednak bierze w czymś swój początek: „Ja stałem w krótkiej koszulce, a on opowiadał mamie, że zastrzelił ojca. Nad głową mojej matki zaszybował jakiś ptak i krzyk ustał”.

Jako mordujących najłatwiej rozpoznaje się Ukraińców, jako mordowanych — Żydów. Dwaj z nich noszą swoje plemiennogeograficzne nazwiska: Aszkenazy i Sefardyjski. Z kogo jednak składa się batalion, dla którego niedookreślony narrator i niejaki Beyzym, „unieważniony towarzysz” — zapewne były komunista — mają zdobyć chleb. Jakiego pochodzenia jest Beyzym? To nie wszystko jedno, skąd się człowiek wywodzi, ani kto i dlaczego zabija. Problemy tożsamości na Kresach, gdzie wymieszało się tyle religii, narodowości i wzajemnych urazów były być może trudniejsze niż w innych częściach Polski². Ale zaciemniona, naszpikowana dygresjami faktografia nie sprzyja budzeniu kojarzeń. *Pierwsza świetność* jest książką, w której pomimo „tematu” nie istnieją racje narodowe, polityczne, religijne. I o to mniejsza. Ale nie istnieją także żadne, bardziej „ludzkie” racje.

Zatarły się różnice między ludźmi, zacierają się i różnica między dziełami sztuki, o których się tu opowiada, a rzeczywistością powieści. Obrazy nachodzą na siebie; w kontekście wspomina się wprawdzie angielskiego rysownika z osiemnastego wieku, Hogartha³, nie wiadomo jednak czy opis odnosi się do jego obrazu, czy do ginącego miasta: „Ten polityczny niewolnik leżący w śmiałym skrócie, bo głową do mnie, nogami w głąb obrazu, był męczony głodem”.

Głodem bywa także męczony narrator: wywiadowca, tajniak, współpracownik kripo, hilfpolicji, być może także partyzant. Dziewczęta karmią go kartoflami. Oto jeden z bardziej wstrząsających opisów w tej książce: „Przychodzi też pies. Dziwna osoba ten pies — trzęsie się nad łupinami, jak gdyby był dzieckiem, i nie rozumie, co do niego mówią”. Dalej żart poetycki, także podszyty głodem: „Placek zadziera nóżki do góry i chowa

2. „We mnie samym płyną cztery krwie” — mówi pisarz w wywiadzie dla *Argumentów*. (Z. Trziszka, *Świat młodości Buczkowskiego*, „Argumenty”, 6. 2. 1977).

3. Kompozycja niektórych obrazów Hogartha przypomina narrację Buczkowskiego: wiele obrazów w jednym, każdy ze swoją odrębną fabułą, a pod spodem wierszowany komentarz, opowiadający ich treść.

pierzynkę pod siebie. [...] Widzieliście jakie przypalony placek ma wstrętne oczy?”

Umiera Muńcie Kindel, jedna z dziewczyn *Pierwszej światłości*:

„Spokojna, cicha i czysta unosi się nad Jejecerowską ulicą: fala karabinów maszynowych porusza lekko jej chusteczką i włosami”

W Dubni, miejscowości sąsiedniej — a znaczy to koło Brodów — czekają na rozstrzelanie dziewczęta:

„Dziewczęta są sumą realnych elementów w przestrzeni — definiuje Buczkowski. — Przed karabinem kłęzało osiemnaście dziewcząt”.

Słowa „romans”, lub „dzieło”, tak często powtarzanego w tej książce — i wszystkich innych książkach — używa Buczkowski w znaczeniu powieści z rozwijającą się fabułą, i historii miłosnej:

„— To wszystko odnosi się do jednego punktu, do niemożliwości przedstawienia romansu w Bełżcu.

— Ależ dlaczego?

— Bo tutaj nie można usunąć realności”.

Jest to polemika z literaturą tradycyjną (dodajmy: tradycyjną i złą), obrona formy własnej. Miejsce, w którym zbrodnia jest jedyną realnością, nie nadaje się do stwarzania fikcji, do opisywania — i przeżywania — miłości. Natężenie realności, a może także niemożność ingerencji w nią, paraliżuje próby — zresztą w tej książce czynione tylko z przekory i na dość szmirowatych przykładach — pokazania ludzi w ich wzajemnych relacjach, co jest w końcu duchem romansu w obydwu jego znaczeniach. Ale przecież nie tylko o „realność” tu chodzi. W *Młodym poecie w zamku*, w opowiadaniu, w którym Maria Antonina swobodnie sąsiaduje z biblijnym Chamem, czytamy:

„Upłynęło tysiąc dziewięćset kilkadziesiąt lat. Zapomniano w powieściach o Chamie i jego dziwnych przygodach. Nędza wkroczyła w powieściową ciupkę, stajenkę na osły przypominającą. Trzeba płacić komorne za ciupkę. Na progu zawsze siedzi jakaś chuda kobieta, szkielet cerujący łach. Jeżeli się natychmiast nie da przyzwolenia na ślub jej przesłicznej jedynaczki, to zaraz rozpoczyna się rozdział drugi”

Ale to przecież nie ta literatura, z którą poważny pisarz ma — w imię „realności” — toczyć boje o własną.

W okolicy ćwiczy batalion niejakiego Siemuszki. W pobliskich lasach rozstrzeliliwuje się „wszystkich robotników”. W domu matki narratora stoi kołyska z dzieckiem Aszkenazych. Matka nazywa narratora „zatrutym”. 3 lipca 1941 roku płonie pomnik Dydony.

Buczkowski wie, że jego pisarstwu zadaje się pytania: kto, kiedy i dlaczego. Powiada:

„Pytania, które się zadawać powinno, zastosuje się zawsze do pojęcia

pytanego. Na przykład: kto to jest Dydona? Gdzie jest to miasteczko? Ile liczy mieszkańców? Ile czasu potrzeba żeby tam dojechać? Czy są mosty? Ile zrabowano korali i dukatów? Przychodzimy do lasu. [...] Na lewo drogi stoi suche drzewo, na prawo stoi słup. Jedziemy dalej. Przed nami las ciemniejszy. Na miedzy widać kwiat 'zmudzinku', świeże groby i duże, samotnie stojące topole”.

Na środku chederowej izby leżą pozabijane dziewczęta. Narrator szuka wśród nich Dydony. On i jego ludzie wchodzą z notesami — dokonuje się tu zapewne ostateczna inwentaryzacja — do sąsiadującej z chederem biblioteki. Czytamy o kłopotach Franciszka Józefa przy wyborze żony. Jest to cytat bez cudzośłowu, lub, w stylu dzieła utrzymane, streszczenie którejs z stojących tam książek. Narrator siada w rzeźbionym, poślacianym fotelu i czeka na wiadomość, czy znaleziono kartofle. Dziewczęta zawija się w papier gazetowy. Morderstwo w chederowej izbie urąga bibliotece, treści jej książek i ozdobnemu krzesłu. W cytowanym już opowiadaniu „U Grottera” Buczkowski powie wprost, czego — jego zdaniem — oczekuje się od literatury, i dlaczego on tych oczekiwań nie spełni:

„Chociaż moglibyśmy dodać wiele szczegółów o kroju ich ubrań, kształcie kapeluszy, uwłosieniu, wieku — bredząc na długich stronicach i burcząc najpospolitsze oklepane zdania — ale nie uczynimy tego w tym miejscu. Rzecz nie znajdzie się w kupie wszystkich czytania godnych romansów. Tylko dla barbarzyńcy pierwszą potrzebą jest ozdoba. Jest to proste odkrycie człowieka, który siedział w obozie koncentracyjnym”.

Ale z drugiej strony jakże często i z jakim upodobaniem cytuje owe romanse.

Im więcej śmierci, tym więcej poetycko uczłowiczonych przedmiotów; krajobraz zagęszcza się znakami zagłady. Oto piekarnia „ze zranionym czołem, rozbitymi oczodołami”. Oto obraz ulicy:

„Wrony stały półkolem na pustej Promenadzie, zgarbaczone poprawiały toalety, ostatki czarujących kobiet”.

Czytając Buczkowskiego rewiduje się bez przerwy swój stosunek do literatury, nie do „realności”. Jego proza działa znacznie bardziej jako pastisz, niż jako forma narracji podporządkowana tragicznej wizji świata. Buczkowski nie jest pisarzem wojny, śmierci i zagłady. To znaczy jest nim także. Ale naprawdę żyją w tej prozie tylko zdania podszyte wyraźną, najczęściej w stronę literatury adresowaną ironią:

„To prawda, że świat nigdy by się nie dowiedział o prawdziwej miłości, gdyby nie wymyślił jej policjanci. Umieją oni dostrzec interesującą twarz i umieją ją umieścić w miejskim krajobrazie”.

Krańcowe rozbitcie świata sprowadza się w końcu do jego krańcowej spójności; Buczkowski osiąga więc prozę jaką chciał,

gdzie wszystko łączy się z wszystkim. Przedmiotem i podmiotem tej prozy jest jego własny mózg, mózg pisarza, który zrezygnował z „punktów widzenia”, sądów i emocji. Ale jeśli pisarz rozbija świat, czytelnik nie ma prawa go składać — w tym wypadku nie ma nawet szansy! — a krytyka do znudzenia powtarza owo zdanie z *Pierwszej świetności*: „Karabin maszynowy rozerwał wszystkie stosunki między faktami”. To prawda, że karabin maszynowy rozerwał stosunki między faktami w świecie Buczkowskiego, w naszym własnym świecie. Ale w nie mniejszym stopniu jego maniackie gadulstwo, w którym wszystkie zdania są równouprawnione. Na co pisarz odpowie po swojemu:

„Z dziełem tak dziwacznie niezrozumiałym jak zabite miasto, nie można będzie iść naprzód, ale w najszcześniejszym razie do tyłu, wybrawszy punkt z uwagą, w taki sposób, żeby można było skoczyć na most, jeżeli ocaleje w stanie wyczekującym”.

Są w *Pierwszej świetności* zdania i fragmenty, które objawiają związki między rzeczami, jakich żaden karabin nie potrafi rozerwać. I są inne; należą do myślopląsu. Można je swobodnie wyjmować, wymieniać, opuszczać. Pierwsze w większym stopniu wymierzają sprawiedliwość „widzialnemu światu”. Drugie — literaturze.

Urodę na czasie otwiera zdanie nie należące do późniejszej rozmowy, nie zamknięte kropką, ale wyraźnie, przestrzennie oddzielone od innych. „NIE JEST KIEDY DRUGIE JEST”. Rozumiem to w ten sposób, iż każde kolejne zdanie odbiera byt poprzedniemu.

Potem następuje rozmowa. Nie wiadomo między kim się toczy, ale stylizowana, odrobinę pretensjonalna fraza pobrzmiwia z wileńska. Jest w niej zamierzchła elegancja, jędrność od dzisiejszej odmienna i literacka parodia:

„Któż to jest ten wojskowy, który tu stał chwilę w sieni? To inwalida. Były narzeczony mojej siostrzenicy. To on tak biedny klaskał za borem. Daremnie się było silić, co by to mogło klaskać”.

Henryk Bereza⁴ nazywa tę książkę „zbiorem kilku tysięcy najpiękniejszych zdań, jakie w polszczyźnie mówionej dadzą się sformułować”. Pisz:

„Zdań tak skończenie pięknych, w takiej ilości, nie utrzymało żadne z arcydzieł polskiej literatury. I w dodatku można mieć prawie pewność, że zdań tych nie wymyślił sam pisarz, lecz wydobył je z oceanu żywej polszczyzny mówionej. [...] *Urodę na czasie* stworzyła indywidualna pamięć językowa, którą podmiot twórczy uruchomił i utrwalił na piśmie jej zasoby”.

Otóż — choć jedno nie wyklucza drugiego — można mieć prawie pewność, iż są to zdania wymyślone przez Buczkowskiego.

4. „Książka miesiąca”, *Twórczość*, 3/71, str. 91-93.

Wszystkie jego książki, w każdym razie wszystkie począwszy od *Młodego poety w zamku* są pisane takimi zdaniami. Są jedną książką.

„Zbiór kilku tysięcy najpiękniejszych zdań” nie obejmuje — jak chce Bereza — całości polskiego języka mówionego. „Podmiot twórczy” zatrzymał się na języku używanym do pierwszej wojny światowej, choć w książce latają samoloty, a raz nawet patrzy się w telewizor. I nie jest to: „epicki monument literacki we wszystkich jego zakresach i przekrojach”. Wielu zakresów brakuje, o przekroju — Bereza ma chyba przekrój społeczny na myśli — nie ma w ogóle mowy. *Uroda na czasie* przypomina sztuki Witkacego: „mózg wariata na scenie”. Surrealistyczny kabaret. Co broń Boże nie znaczy, że Buczkowskiego uważam za wariata.

Czytelnik doświadcza w trakcie lektury czegoś, co normalnie doświadcza się w autobusie: słyszy rozmowy ludzi siedzących za nim i — nie odwracając się — „widzi” ich na swój sposób. W *Urodzie na czasie* „przeziara” zza rozmawiających ich pochodzenie społeczne, krajobrazy w których znajdują się w trakcie rozmowy, przedmioty które ich otaczają. „Przeziara” Polska jaką znamy z literatury pięknej, opowieści zasłyszanych w dzieciństwie, starych pamiętników. *Uroda na czasie* jest czystym dziwołagiem, ale dziwołagiem niemal nieskażonym pozorem „normalności”. I niemal jednolitym w stylu. Czytelnik czuje się uwolniony od syzyfowego trudu szukania narratora, związków postaci z faktami, czasu i miejsca akcji. Przyjmuje rozmowy w sposób oczywisty, jak obyczaje Japończyków na przykład.

Rozmawiający spełniają czynności o których rozmawiają. Jest to więc proza akcji bezpośrednio, lecz bardziej teatr radiowy, niż sztuka teatralna. Lub rodzaj komiksu, do którego sami dorabiamy rysunki. Płec konwersujących zmienia się dowolnie. Rozmawiają, kupują dom, przechadzają się, jedzą. O wódce mówi się tu, że jest „tęga”, a zestawy drugich śniadań przypominają Nawłoc, „Polskę przeżuwającą” z „Przedwiośnia” Żeromskiego. Rozmowy w *Urodzie na czasie* są rozmowami zamożnej, często do miasta zjeżdżającej szlachty. Lub może hreczkosiejów, z koneksjami i rodzinami w mieście. Pudełkowa kompozycja rozmów, pozorna oczywistość zupełnie absurdalnych powiązań przypominają ostatnie filmy Bunuela.

W rozmowach zmieniają się dni, pory roku, pogoda. Zmieniają się także miejsca: raz jest to mieszkanie, innym razem polna droga, jeszcze innym teatr. Opowiada się — forma rozmowy zaciera się z tej okazji — treść sztuki właśnie oglądanej. Jest to smutna historia wróbla, który przeniósł się ze wsi do miasta. Rozmawia się o aktorach, o wiewiórkach, o malowaniu wiewiórek. Forma rozmowy zmienia się w lekcję, w rodzaj lekcji szkolnej. Potem znów o ślubach i o spowiednikach. O sprzedaży wsi, którą ktoś odziedziczył po matce, o oddaniu obrazu Tycjana do lombardu, o zabawie w las za pomocą układania zapalek. Hreczkosieje-surrealiści rozważają, czy człowiek zjadając

gruszkę wyrządza jej szkodę. Rozmowa o polowaniu przechodzi w polowanie, aby zamienić się w baśń historyczną. Ktoś wspomina jak przywiązał się do koguta, a skończył jako pies u okolicznych pasterzy. Kto bywał w Krakowie, w kabarecie „Piwnica”, ten wie, że przez długie lata właśnie podobny styl obowiązywał jako „uroda na czasie”.

Jest tu traktat o koniach i kupowaniu koni. Wszystko jak w innych książkach Buczkowskiego. Ktoś — znów w stylu lekcji szkolnej — żąda wymienienia wszystkich przedmiotów znajdujących się w karczmie. Buczkowski z cudzych języków tworzy język własny. *Uroda na czasie* sprawia wrażenie antologii polskiej literatury od osiemnastego wieku począwszy, ale antologii w której wszystkie teksty wyszły spod pióra tego samego pisarza.

Obracamy się w kręgu tych samych przedmiotów i stylistycznych form: kupno domu, zegarek, który stanął, opisy obrazów, których treść wsiąka w narrację, fragmenty pamiętników z życia koronowanych głów. Plotki, anegdota, parodie dzieł naukowych. Obok fachowych rozważań z zakresu chemii i farmakologii opisy wymaginowanych inscenizacji teatralnych, fantazje na temat życia Szekspira i Byrona. Ze znanych postaci: dezertter i żołnierz-inwalida:

„— Jak się macie. Oto przyjechałem.

— Jak się masz. To widać, że przyjechałeś. Ale dlaczego nie przyjechałeś cały?

— Ano tak. Już nie mam nogi.

— Idź i powiedz to mamusi ostrożnie.

— Mamusiu, on ma tylko jedną nogę”.

Nie są to rozmowy niewinne, przytaczane dla samej urody polszczyzny. Podgłupiasto-genialne i absurdalnie-praktyczne, tkwią w stereotypach polskiej literatury. Wałęsają się po *Urodzie na czasie* szczątki biblioteki „Bluszczu”, romansów obyczajowych, romansów z wyższych sfer — cytowane i streszczone z prawdziwym upodobaniem, nie w celach polemicznych. *Uroda na czasie* jest zapisem zbiorowej, szlachecko-mieszczańskiej mentalności. A raczej pastiszem zapisu. Nie nadarmo mówi się tu o czyichś córkach: „Umiały one na pamięć pewien kodeks mówienia”.

Snują się po *Urodzie na czasie* cienie powieści, które się nie spełniają, opowiadane przez kogoś, kto może mógłby stać się bohaterem, ale kto woli malarski skrót od rozwiniętej fabuły, i ma rację, bo ów skrót mieści w sobie archetypy życia narodowego i — jeśli to można tak nazwać — archetypy twórczości pisarza:

„Matka wstaje, aby przywitać swoje dziecko, które weszło do izby wiejskiej w stroju miejskiego lokaja. Ojciec pozostaje na ławce i patrzy na przybyłego, zjadając wciąż kartofle. Potem jestem cieślą, którego goli wiejski misiarz, innym razem jestem rotmistrzem, wróciwszy z wojny do domu rozmawiam ze swoją córeczką, podczas gdy mama przygotowuje herbatę. Jakieś postaci otaczają kołyskę. Dziadek przy blasku świecy w szyjce

flaszki czyta kartę powołania wnuka. Krzesła są połamane. Nie ma wskazówek na zegarze ściennym. Doniesienie o mającej nastąpić mobilizacji”.

Gdzieś pada określenie „zatruta” ziemia, jak „zatrutym w *Pierwszej świetności* nazywała matka głównego narratora. Kończy się „zbiór najpiękniejszych zdań”, jesteśmy w środku wojny. Pojawia się ktoś, kto jakby przyjechał tu z obcego języka:

„Teraz bardzo lubię wieś. Mieszkańcy spokojni, pobożni, żywią się kartoflami, maszczą je olejem. Kościół na wsi stoi zwykle na dużym placu, zwanym ementarzem. Często się zdarza, że na tym ementarzu chowają umarłych”.

Dezertter powraca do domu, rozmawia z narzeczoną, którą ojciec wypcha do bocznego pokoju i sadza przed telewizorem. Był niedawno w drodze do Genewy, spotkał w burzy dziewczynę. Obok matka ubiera martwego syna. Płonie folwark, z którego wychodzą dzieci: „Podbiegłem i mówiłem im o śmierci ze swobodą, jaką daje głębokie przekonanie”. Narrator zabiera dzieci ze sobą i prowadzi je do Nietrzeby, a stamtąd do Monachium. Dziewczyna, która niedawno utraciła kaprała, wkłada czarne rajstopy w niedzielę przed sumą:

„... z wielką ochotą wysłuchałaby kazania, lecz nad jej siły jest dziś pokazać się wśród artylerzystów. To mówiąc w obie ręce ujęła swoje piersi, że powinny mieć jeszcze trochę cierpliwości, że kogo pan Bóg kocha, temu wszystko na dobre obraca”.

W *Urodzie na czasie*, podobnie jak w *Pierwszej świetności*, pluton czy też batalion posuwa się naprzód. Kobietom zwidują się żołnierze, którzy właśnie polegli o setki kilometrów od miejsca, w którym się ukazali, żołnierzom kobiety w podartych sukniach ślubnych. Widzenie na odległość, rzutowanie w przeszłość i przyszłość to przecież także formuła tej prozy.

„Stan człowieka — pisze Buczkowski — tym się różni od stanu zwierzęcia, że ma do czynienia nie tylko z chwilą obecną lub przeszłością. [...] Człowiek przez swoje wspomnienia robi z przeszłości teraźniejszość, a przez przewidywanie dodaje przyszłość do niej, a więc łączy wszystko w jedno”.

Zakończenie wypcha książkę na powrót w wymiar tragedii, lub raczej tragifarsy. Pozostają elementy teatralno-malarskie, cały czas natrętnie obecne w tej książce i motyw polowania na człowieka:

„Dobrze nam tutaj. Siedzimy szczęśliwi, zadowoleni ze swojej roli statystów, będzie można coś zarobić, nowe przedstawienie, nowe role. Znowu przez lasy, pola, łąki, ogrody do domu dezerttera. Strzelamy w jedno okno. Jeśli nie się tam nie porusza, strzelamy w drugie”.

Oficer na nieszporach rozpoczyna się jak wzorowy utwór epicki. Jest listopad roku 1914, odkomenderowany porucznik dra-

gonów austriackich jedzie do Przemyśla. Bezosobowy, obiektywny tok opowieści przechodzi rychło w narrację w liczbie mnogiej. Jesteśmy w sercu bitwy, w środku równie wyrazistego, co abstrakcyjnego obrazu:

„Och! jesteśmy odkryci. To Radko Dmitriew oblega Przemyśl. Nie pozostawało zatem już nic innego, jak z bagnetem rzucić się na nieprzyjaciela. Oto ziemia błotnista, która wydaje błonkowate pęcherze, te zaś pokrywają się koleczastą korą i wreszcie pękają, a z nich jakby z jajka pryskają granaty. [...] A strzelec pospolity w kształcie wcale niedoskonałym, owszem, został wyrzucony w postaci brudnej świni i tak żył w wodzie błotnistej dopóki nie uzdolnił się do suchej ziemi”.

To bardzo podobny obraz do sekwencji z okopów pierwszej wojny w filmie Truffaut — „Jules i Jim”.

Na moście w Koropcu Żyd i porucznik rozmawiają o kartce papieru, która jest trzy tysiące dwieście razy większa od całego świata. Jest to kartka zapisana po obu stronach, lecąca. Żyd ma na imię Anaksagoras⁵, pochodzi z Horozanki. „Całe ziemskie istnienie rozciągnięte w czasie” — dowodzi — „jest trzy tysiące dwieście razy większe od bitwy pod Przemyślem”. Pustą przestrzeń zapełnia poezja:

„Pomiędzy jednym a drugim fortem sprzęgają się: chłód, barwa, ogień, złoto, ołów, żyto, szpik, krew, mięso z mięsnych, kości z kościstych, złoto ze złotych, drzewo z drzewnych”.

Dezerterski, szpicel, strzelec. Zabite, i w majakach żyjących snujące się dziewczyny. Dzieci w kołyskach, dzieci przed rozstrzelaniem. Dowódcy różnych armii. *Oficer na nieszporach* toczy się w czasach wszystkich wojen i bitew, które pośrednio lub bezpośrednio toczyły się na tej ziemi. Niedokreślony narrator powołuje się znów na „dzieło”:

„Myśmy zaś szli prosto przed siebie — pisze tam w dziele — drogą gęsto obsadzoną drzewami, tak żeśmy nic nie widzieli z wielkiej łąki, na której wydana została jedna z największych bitew naszych czasów”.

Porucznik, który na pierwszej stronie jechał do Przemyśla, na trzynastej udaje się do Warszawy. Wojny i bitwy mieszają się ze sobą, współistnieją w czasie i przestrzeni. Fakty historyczne i anegdoty osnute na ich tle, cytowane lub wymyślone, tworzą jedną, prawem zupełnego chaosu trzymającą się całość. Wszystko działo się kiedyś, o wszystkim opowiada się teraz. Czas narracji, nie jednej lecz wielu, wchłonął w siebie czas akcji.

Buczkowski pisze strumieniem swobodnym rozkojarzeń Spois-

5. Buczkowski we wspomnianym wywiadzie: „Przyjaciel mego ojca, wspaniały filozof, ja mu dużo zawdzięczam. Ten domorosły filozof nauczył mnie filozoficznego rozpatrywania rzeczy...”.

tość nadaje im poezja i ironia. Samoistne zdarzenia nie istnieją w tej prozie; zastąpiła je pigłowa relacja, dygresje, omówienia z dziesiątych ust. Wszystko miesza się z wszystkim. Buczkowski wyrwa przedmioty i pojęcia z ich zwyczajowego kontekstu, miesza razem, układa obok siebie. Dokonuje więc swoistej strukturalizacji, chociaż na materiałach do siebie niepodobnych. Jest to praktyka znana z surrealistycznego malarstwa, z współczesnych sztuk plastycznych. Przede wszystkim jednak z poezji.

Oficer na nieszporach przypomina w swojej formie „Opowieść”, dziwną, nietypową książkę Faulknera, historię o Chrystusie i apostołach w okopach pierwszej wojny. Ale naprawdę istnieje tylko jeden pisarz z którym Buczkowskiego łączy faktyczne pokrewieństwo. Albert Gütersloch, z pokolenia Brocha i Musila, autor książki „Słońce i księżyc”. Równie genialnej jak „Człowiek bez właściwości”, jeszcze bardziej nieznosnej w czytaniu.

Bitwa jest żywiołem, wojna trwa od zawsze:

„Przecież cały wschód był pokryty lasami, wśród których tu i ówdzie świecił się klasztor lub karczma. Znikał prawie zupełnie rodzaj ludzki, zresztą nie było żadnej przyczyny politycznej, która by powoływała ludzi do życia, nie było pobudki dla ludzi do rozmnażania się. [...] Łatwo więc z tego wywnioskować, że w starym świecie ogień, woda, psy i wilki przeznaczone były do skracania życia ludzkiego. Dlatego miejmy się za naród wybrany od Boga tak, że wszyscy ludzie są dziećmi Bożymi, mniemajmy, że nie tylko tu, ale na wszystkich ziemiach i że kiedyś cały świat będzie z samym tylko żołnierzem złożony”.

Uniwersalny żołnierz-dezerterski wędruje przez wschodnią Polskę, ziemię zakorzenionych urazów, wzajemnych oczarowań. Galicyjski Ulisses rządzony przez Austriaków, sprzymierzony z Prusami: „wymowa austriacka, zeszepecona galicyjskim akcentem, blond włosy i cwikiery nadające pozory Prusaka” — tak opisuje siebie. Miłośnik ruskiego folkloru, znawca światowego malarstwa, wielki przyjaciel Żydów. Rotmistrz, ułan, kapitan, kapral, wywiadowca, dezerterski, inwalida, nauczyciel. Znajomy Maty Hari, bliski współpracownik Bismarcka. Żołnierz spod Przemyśla, dygnitarz spod Sedanu.

Twórczość Buczkowskiego przypomina infernalną bibliotekę, gdzie wszystkie dzieła świata kopulują ze sobą. Najbardziej zdumiewającym fenomenem tego pisarstwa jest to, że odczuwa się je jako spontaniczne i niewykonywane. Jako jedyny dostępny pisarzowi sposób mówienia, myślenia i pisania. I wszelkie uzasadnienia, dlaczego pisze tak, a nie inaczej, prowadzą na manowce.

Jest on zaś przede wszystkim poetą-humorystą. Pomimo rzezi, trupów, wojen, dezerterskich i kalek. Bawi się możliwościami języka, igra ze stylami, nawet kiedy opisuje dogorywanie miasta czy człowieka. Spod wszystkich tragicznych wizji Buczkowskiego wyziera śmieszność i absurd:

„Inny młody strzelec, który mnie ujrzał i poznał, przywlokł się po

śniegu, oparł głowę na moim ramieniu i wyszeptał wielką tajemnicę. "Że mianowicie w Paryżu niedorzeczna moda niejedzenia ryby nożem".

Oficer na nieszpiorach kończy się zapisaniem recepty na zapalenie nerek. Poprzedza ją „opis odpisu” bitwy zwanej tutaj mazurską. Oryginał jest własnością „wnuczki po strzelcu konnym”, który w tej bitwie poległ:

„Weszła z rękami wyciągniętymi i patrząc mi w oczy rzekła: — Ona przyszła opowiedzieć mi, jak było na Mazurach. Że mój dziadek został tam zabity. A matka widziała go tak wyraźnie, jak żywego, aż do najdrobniejszych szczegółów, ale wnuczka nie widziała nic. Widziała tylko, że mama musiała coś zobaczyć. Wiedziała o tym już wtedy, gdy pomagała jej podnieść się ze wzgórką, na który ta była upadła po zniknięciu widziadła. Była ona tak silna jak chłop i pracowała od świtu”.

Pominałam *Kąpiele w Lucca*, napisane po *Urodzie na czasie*. Jest to owa Księga Stworzenia, o której wspominałam wcześniej. Książka skupiająca całe szaleństwo i wielkość zamiaru Buczkowskiego, jedyne, moim zdaniem, pisarza po śmierci Gombrowicza, który naprawdę zasłużył na nagrodę Nobla. Ale Buczkowski jest nieczytelny, lub dla niewiele czytelnicy. A i tych niewielu zyczyłabym sobie zobaczyć w trakcie lektury.

Myślę o nim w kontekście Samuela Becketta. Obydwaj przegrywają. Buczkowski — poszerzając obszar literatury, Beckett — konsekwentnie zważając jej granice. Przegrywają na rzecz realizmu — choć sami mają się być może za skrajnych realistów — najbardziej tradycyjnej, najbardziej elastycznej form yliteratury. Pisarzy, jak Saul Bellow, Sołżenicyn, Doris Lessing, problemy zakresu literatury nie dręczą. Potrafią oni w formę realistyczną, dla czytelnika przystępną, włączyć to wszystko, co niegdyś, niedawno jeszcze, było domeną pisarzy awangardowych: poezję, fantazję, świat idei. Ich uroda literacka jest łatwiejsza niż Buczkowskiego, znacznie mniej finezyjna. Ale tak było zawsze; rewolucje w prozie toczyły się w imię realizmu. W imię tradycji, która na nich później pasożytowała.

Janina KATZ-HEWETSON

NOTA BIOGRAFICZNA

Leopold BUCZKOWSKI, syn stolarza-snycera urodził się w roku 1905 w Nakwasy, na Podolu. Maturę zdawał w Brodach jako ekstern. Studiował przez rok polonistykę w Krakowie, następnie przeniósł się do Poznania, gdzie współpracował z *Kurierem Poznańskim*. Wrócił do Krakowa, zamieszkał u Juliana Fałata i rozpoczął u niego naukę malarstwa. Przeniósł się do Warszawy, gdzie studiował na Akademii Sztuk Pięknych. Wrócił na Podole, uruchomił warsztat stolarski ojca. Zajmował się folklorem, współpracował z amatorskimi teatrami ludowymi.

Brał udział w kampanii wrześniowej, dostał się do niewoli. Uciekł, przedostał się do Lwowa. Niemcy aresztowali go w Złoczowie. Uciekł z więzienia,

wstąpił do „dzikiej” grupy partyzanckiej. Po jej rozbięciu przez Niemców przedostał się do Warszawy. Brał udział w Powstaniu Warszawskim. Po upadku Powstania znalazł się wraz z innymi w obozie pruszkowskim. Stamtąd także uciekł.

Po wojnie mieszkał przez jakiś czas w Krakowie, zajmował się grafiką i pisaniem. Przeniósł się do Warszawy. Zygmunt Trziszka informuje we wstępie do wywiadu z Buczkowskim, że pisarz znany jest także ze swoich ucieczek z Konstancina, gdzie obecnie mieszka. („Świat młodości Buczkowskiego”, *Argumenty*, 6. II. 1977).

Pierwsza książka, *Wertepy*, napisana w roku 1937, ukazała się w roku 1947. Kolejno wyszły: *Czarny potok* (1954, data powstania 1946), *Dorycki kruzganek* (1957), *Młody poeta w zamku* (1959), *Pierwsza świetność* (1966), *Uroda na czasie* (1970), *Kąpiele w Lucca* (1974) *Oficer na nieszpiorach* (1975). W rękopisie znajdują się powieści: *Urpen* (lata powstania 1947-1949) i *Traktiernia London* (1953-1956). W maszynopisie — informacja A. Falkiewicza (*Twórczość I/1977 — Dezercja Leopolda Buczkowskiego*) — proza pt. *Kamień w pieluszkach*. (Informacje o życiu na podstawie *Słownika współczesnych pisarzy polskich*, t. I. Warszawa 1963, str. 311-313).

Pamięć i myśl

Czytałem tę książkę nie-książkę* dwukrotnie, za każdym razem niemal jednym tchem i z tą samą koncentracją: po raz pierwszy w 1969 roku w rękopisie, po wstępnych retuszach poczynionych przez Czesława Miłosza, po raz drugi teraz, po ośmiu latach i po dodatkowej obróbce, jaką po Czesławie Miłoszu przeprowadziła na tekście Lidia Ciołkoszowa. Retusze były konieczne a polegały głównie, jak rozumiem, na usunięciu powtórzeń i na prostowaniu anakolutów, jakich wszyscy dopuszczamy się nieuchronnie w mowie improwizowanej. Była to dla redaktorów praca ogromna: dwa tomy, ponad 700 stron druku. Tekst zupełnie surowy, tj. nieretuszowany zapis z taśmy magnetofonowej, na którą Miłosz w 1965 roku nagrywał opowiadanie Wata, czasem pytaniami naprowadzając go na jakiś temat lub pobudzając pamięć, byłby trudno czytelny; z drugiej strony chodziło o to, by nie zatracić osobliwości słowa bez przygotowania mówionego, z wszystkim, co doń należy: swobodą skojarzeń najrozmaitszych, brakiem ładu chronologicznego, swobodą od taktycznymi względami narzuconych sobie, nadmiernie wyważonych ocen, budową zdań literacko niewystylizowaną. Wydaje się, że powiodła się ta

* Aleksander Wat, *Mój wiek*. Pamiętnik mówiony. Przedmowa Czesława Miłosza. Do druku przygotowała Lidia Ciołkoszowa. Tom I, str. 273, tom II, str. 392. Polonia Book Fund, 1977.

praca w zupełności. Mamy tekst nie tylko czytelny, ale fascynujący, przy czym nie jest łatwo powiedzieć, czemu on zawdzięcza swoją siłę przyciągania.

Z pewnością nie tylko i nie głównie bogactwu rozmaitych szczegółów biograficznych, wzmiankom o różnych ważnych i mniej ważnych wydarzeniach, których autor był świadkiem albo uczestnikiem. Można z góry założyć, że, jak wszyscy pamiętnikarze, którzy z jakichkolwiek powodów nie mogą swojej pamięci wesprzeć innymi źródłami, autor w jakichś szczegółach, dających się inaczej sprawdzić, coś niedokładnie zapamiętał czy coś przeoczył. Niemniej dla wszystkich, którzy lubią najnowsze nasze dzieje — zwłaszcza wojenne i międzywojenne — rekonstruować, opowiadanie to roi się od interesujących detali, spostrzeżeń i ocen. Autor był mistrzem słowa, pisarzem i poetą, mało wydanym, jeśli objętość jego pisarstwa zmierzyć, za to niezrównanie wnikliwym, metafizycznie wyczulonym i wykształconym, zdolnym do delikatnych rozróżnień, prawdziwym *doctor subtilis* polskiej poezji. Pewnie trudno by było odtworzyć osobliwą chemię rozmaitych duchowych sił, które formowały mu umysł i o których wspomina: żydowsko-rabiniczne zaplecze, słabo już zaznaczone w rodzinnej edukacji, ale obecne; literatura i sztuka futurystyczna, przez którą jako młokos do literatury przystąpił; komunizm i marksizm; rozmaite filozoficzne doświadczenia; chrześcijaństwo wreszcie, które mu jakoś w sekrecie i z podziemia w życiu towarzyszyło, a z którym się wreszcie utożsamiał (mamy nadzwyczaj ciekawe sprawozdanie z tej długiej i osobliwej konwersji).

Wat nie był nigdy członkiem partii komunistycznej, ale w latach międzywojennych współpracował z nią blisko jako redaktor *Miesięcznika Literackiego*. Reprezentował w tej pracy wraz ze Stawarem, jak pisze, linię sztywno-doktrynalną, komunistyczną, podczas gdy właśnie partia, w epoce taktyki „frontu ludowego” wołała własną ideologię zaciemniać „ogólnodemokratycznymi” hasłami. Wat był wyznawcą komunistycznej ideologii, lecz właśnie przez to, iż upierał się przy jej możliwie najbardziej otwartym wykładaniu, udowodnił (to już komentarz piszącego niniejsze), że nie przyswoił jej sobie należycie: albowiem przyswoić sobie tę ideologię to znaczyło nade wszystko przyjąć zasadę posłuszeństwa *sicut cadaver*; kto chciał być komunistą w sensie trzymania się na własną rękę komunistycznych zasad, komunistą już nie był. Wat znał wielu działaczy partii i znał, oczywiście, doskonale całe lewicowe środowisko literackie i artystyczne. Na tyle był blisko komunizmu, w każdym razie, by móc później znaleźć się na statusie wyklętego renegata, co zarówno zaważyło na jego losach wojennych (mniej może, bo po to, aby przejść, jak on, kolejno przez jedenaście sowieckich więzień, nie trzeba było koniecznie być renegatem ani ex-komunistą; powodów było nieskończenie wiele i każdy dobry), jak też spowodowało jego wieloletnie powojenne zawieszenie w kulturalnym niebycie czy też w tabuicznym i magicznie skażonym limbo apostatów (Stawar był w podobnej sytuacji). Czytelnik żałuje, że Wat nie

rozcignął swoich wspomnień na powojenne lata, które tu i ówdzie w ułamkach są obecne. W 1959 r. Wat, już powalony ciężką chorobą, osiedlił się na Zachodzie, zastępując sobie, jak trzeba było, na plugawo wyzwicka jakichś policjantów od literatury, nie inaczej zresztą, niż znaczna większość ludzi, którzy przez powojenne lata cokolwiek w słowie polskim zdziałali wśród hałasu państwowotwórczej paplaniny sowieckopolskiej.

Ani jednak perypetie *Miesięcznika Literackiego* (włącznie z dwukrotnym krótkim uwięzieniem i konfliktami z partią) ani opis sowieckiego życia w czasie wojny — w więzieniu za kratami czy w więzieniu poza kratami — są w tym opowiadaniu najważniejsze, ale raczej autorska świadomość, która przez sposób tego opisu przeliera. Jest to relacja analityczna i filozoficzna, wolna zupełnie od nienawiści, wolna także od samo-ocznienia czy samo-usprawiedliwiania, ale bynajmniej nie obojętny wykaz zdarzeń, raczej komentarz i dociekania, kiedyś poczynione na dnie udręki i nędzy, a potem powoli, przez lata dojrzewające do wyrazu. W sumie jednak — choć może to brzmieć obelżywie — czytelnik jak gdyby jest kontent, że dostał tekst, którego autor opracować nie mógł; kilkadziesiąt stron na początku drugiego tomu, które Wat doprowadził do formy skończonej, są piękne, ale zanadto literacko wystylizowane. W spontaniczności mówionego słowa, w pozornej chaotyczności przypomnień, w przeskokach pamięci, przechowywały się wartości, które tekst do brze przemyślany i napisany niechybnie traci; w przeciwieństwie do pracy literackiej, mówienie do drugiej osoby (a więc do Miłosa, który z tej racji nie jest tym, co magnetofon obsługiwał, ale współautorem raczej) nie jest budowaniem trwałego dzieła, ale samym aktem porozumiewania się, a zapisane następnie, nadal przechowuje ślad tego, czym na początku było; przy czytaniu słyszy się głos autora. (Zacytujmy przy okazji samego Wata, tom I, str. 200-201: „Wiele bied naszej intelektualnej cywilizacji, naszych intelektualistów, pochodzi stąd, że się nie czyta na głos. Olbrzymi procent literatury odpadłby, gdyby autor czytał zawsze tylko na głos. Po prostu wstyd by mu było, kłamstwo byłoby oczywiste. Kiedy człowiek czyta tylko oczyma, wszelkie kłamstwa mogą przejść niepostrzeżenie, przy najbardziej krytycznym oku. Usta są od mówienia prawdy albo nieprawdy, ale oczy są właściwie estetyczne”). Z drugiej strony taka „spontaniczność” ma wartość tylko wtedy, gdy nie jest spontanicznością całkiem, gdy opiera się na uprzednim długim przetrwaniu wydarzeń i byłaby bez tego trudna do zniesienia, stałaby się mieszaniną plotek i emocyjnych wylewów; umysł mniej sprawny i mniej zaprawiony w dociekaniu filozoficznym, niż Wat, nie mógłby zapewne stworzyć czytelnego i arcyciekawego tekstu w takich warunkach. Mamy prawdziwy *exemplar humanae vitae*, życie nie tylko przecierpiane, ale i przemyślane, cierpienie przefiltrowane przez refleksję, ale nadal własne, nie zredukowane do obojętnego przedmiotu analizy.

O czymże w końcu są te wspomnienia? Setki nazwisk, opisy

charakterologiczne, wyraziste, w pamięć wpadające migawki, w których rozpoznaje się osobowości: pisarze i policjanci, więźniowie i ich nadzorcy, widoki z salonów, z cel więziennych, knajp i sal szpitalnych. Z pewnością nikt, kto się najnowszą literaturą polską interesuje, nie będzie mógł już tej książki pominąć; skazana na ciemnicę bibliotecznych prohibitów, jak wszystko, co w Polsce sieje zarazę prawdy, niechybnie znajdzie sobie drogę do wielu takich, co będą w niej głównie łowić przyczynki historyczne i biograficzne, a także takich, których ciekawi najbardziej krystalizacja doświadczeń autora w samo-ocenach, samo-krytykach, samo-odbudowie duchowej. Po latach udręk i rozmyślań, przywrócony jak gdyby sobie i pogodzony z istnieniem — głównie chyba przez chrześcijańskie rozumienie jego sensu — Wat do końca zdawał się nieprzekonany, że odkupił należycie swoje lata komunistyczne; komunizm jako doktryna dawno już nie był dla niego sprawą intelektualną, stale jednak zastanawiał się nad psychologicznymi formami jego działania. Znał, rzecz jasna, wielu komunistów — kiedy tacy jeszcze istnieli w Polsce czy w Rosji — i znał wśród nich ludzi wszelkiego rodzaju: szlachetnych, dzielnych i bystrych, a także typy mściwe, odrażające; w tym, oczywiście, nie ma nic dziwnego, rozkład charakterów w różnych ruchach politycznych jest chyba w znacznym stopniu, choć nie całkowicie, losowy, słabo związany z treścią doktrynalną ruchu. Interesowała go jednak osobiwa zdolność szmatławiąca komunizmu, ilustrowana przykładami ludzi zacnych i mądrych, których komunizm (zwłaszcza u władzy, ale nie tylko) przeobrażał w tchórzów i lizusów.

Sprawy te mogłyby się zdawać mało aktualne w obliczu zgonu komunistycznej ideologii w sowieckim obszarze panowania; są one jednak aktualne i ważne z racji ogólniejszych, nie związanych ze swoistymi właściwościami tej właśnie ideologii, która, jako wybitny przykład świeckiego obskurantyzmu okazała się nie tylko znacznie bardziej złowroga od obskurantyzmu religijnego, ale nade wszystko nienaprawialna.

Pretekstów do rozmyślań jest bez liku w tej książce, przez autora w tak dziwny sposób stworzonej, ale już od pierwszej chwili nieodwołalnie wciągniętej do katalogu biblioteki kulturalnych fundamentów polskość.

Leszek KOŁAKOWSKI

Socrealizm

Jak wszystkie doktryny formułowane przez ludzi w butach z cholewami teoria tzw. realizmu socjalistycznego stanowi odstre-

czający melanż prostactwa, mglistości i półinteligentnego żargonu, niemniej w inwentarzu idej współczesnych musi być uwzględniona na tej samej zasadzie, na jakiej porządnym plan terenu musi podawać rozmieszczenie rynsztoków. Niepociągającego zadania eksploracji tego regionu podjął się polski sławista Edward Możejko (obecnie profesor literatury porównawczej na *University of Alberta* w Kanadzie) w pracy pt. *Realizm socjalistyczny. Teoria, rozwój i klęska pewnej metody literackiej*, wydanej w roku bieżącym w dwóch językach: duńskim i niemieckim*, i która stanowi pierwszą monografię na ten temat na Zachodzie (krótka praca: V.C. James, *Soviet Socialist Realism: Origins and Theory*, Londyn 1973, pomija zagraniczne rozgałęzienia doktryny). Książka Możejki nie jest historią literatury socrealistycznej, lecz próbą określenia zawartości teoretycznej samej doktryny w różnych jej fazach: jest to więc raczej historia dyskusji wokół niej w Sowietach, na Zachodzie (głównie oczywiście we Francji) i w krajach wschodnio-europejskich; równocześnie jest to przegląd kluczowych postulatów socrealizmu takich jak „partyjność”, „typowość” czy „pozytywny bohater”. Założenie autora jest następujące: doktryna socrealizmu została wprowadzona w celach politycznych (totalna kontrola produkcji literackiej, cele propagandowe), ale z racji jej zakorzenienia w marksizmie — systemie już istniejącym i posiadającym kanon Pism Świątych — od momentu jako takiego pierwszego sformułowania (na I-szym Wszechzwiązkowym Zjeździe Pisarzy w Moskwie w sierpniu 1934; promotorzy: Żdanow, Radek, Bucharin, Gorki) zaczęła żyć własnym życiem i można ją rozpatrywać jako jedną z możliwych teorii literatury, dedukowalnych z marksizmu. Podejście takie można by nazwać historyczno-teologicznym, gdyż autor koncentruje swą uwagę na samej strukturze wewnętrznej doktryny i jej ewolucji w ramach przyjętych dogmatów przyjmując, że czytelnik ma własne zdanie na temat religii, której teologia ta dotyczy, a także, że zna on historię kościoła, który ją wyprodukował. Z tego punktu widzenia książka jest interesującym przyczynkiem do dziejów „nadbudowy” komunistycznego totalitaryzmu.

Uderzającą cechą totalitarną socrealizmu (do dziś *nota-bene* nie wiadomo, kto naprawdę wymyślił określenie „realizm socjalistyczny”, choć naturalnie przypisano je Stalinowi) było określenie go od samego początku jako „metody”; termin ten obowiązywał zarówno w kolebce doktryny, jak i w krajach szczeplonych (por. artykuł Sokorskiego „Realizm socjalistyczny jako naukowa metoda twórczości artystycznej”, *Nowa Kultura* Nr 40, 1950), choć jego dokładne znaczenie dalekie było od precyzji i po-

* E. Możejko, *Den socialistiske realisme. En litterær metodes teori og historiske udvikling*. Kopenhaga: Gyldendal 1977, 272 str.; *Der sozialistische Realismus. Theorie, Entwicklung und Versagen einer Literaturmethode*. Bonn: Bouvier 1977, 306 str. (Niniejsze omówienie oparte jest na wersji niemieckiej).

ciągnęło za sobą lawinę definicji i kontrdefinicji. Można sądzić, że chodziło o zawartą w słowie „metoda” sugestię naukowej jedynie-słuszności i związaną z tym inherentną pogroźkę, że kto się wyłamie, wylądaje na śmietniku literatury. Możejko przypuszcza, że był to rodzaj kompromisu pomiędzy alternatywami takimi jak „styl” i „światopogląd”, które były nie do przyjęcia, jako że „styl” jest pojęciem za mało monopolistycznym („jeden z...”), a światopogląd implikuje pewną swobodę formalną (np. socjalistyczny modernizm). Tak czy owak słowo „metoda” określiło od początku normatywny charakter doktryny i posłużyło do wymuszania posłuszeństwa: skoro istnieją normy — i to wywiezione prosto z klasyków marksizmu — to można o nich dyskutować, ale nie odrzucać (rewizjonizm!).

Mimo rzekomo obiektywnego istnienia takich norm istota czy też mówiąc teologicznie *kerygme* socrealizmu była dość mglista i sprowadzała się do kilku składników-postulatów o niejasnej treści takich jak: *partyjność*, *narodowość* (rosyjskie *narodnost*), z całym bagażem konotacji słowianofilijskich), *typowość*, „*bohater pozytywny*”, *historyczność* i *rewolucyjny romantyzm*. Ich niejasność wynika zdaniem Możejki z podstawowego „pęknięcia” doktryny, która z jednej strony domaga się, by literatura stanowiła realistyczne *odzwierciedlenie świata* (a więc narzędzie poznania), z drugiej zaś żąda, by zawierała *ideologię*, tzn. by mówiła, jak powinno być, choć nie jest. Stąd spory o to, czy np. „typowość” ludzi i sytuacji ma się odnosić do aktualnej rzeczywistości, czy też ma zawierać poprawkę na szczęśliwe jutro; stąd sprzeczność pomiędzy postulatem historyczności, a „romantyzmem”, czyli propagandowym optymizmem; stąd dyskusje, czym różni się „partyjność” (termin rzucony kiedyś przez Lenina, więc święty) od „tendencji” (za wyraźne) i „zaangażowania” (za ogólnikowe), itd., itp.

Obszerne cytaty z przeróżnych wypowiedzi teoretycznych, zwłaszcza sowieckich, jakie zawiera książka są cennym materiałem do badań nad językiem totalitaryzmu: istotnym źródłem tej pretensjonalnej bryi słownej jest niemożność powiedzenia pewnych rzeczy wprost (np. „macie chwalić Rosję i partię, zrozumiano!?”), tylko sugerowanie ich drogą omówień, eufemizmów i inwektyw, np. „partyjność jest kategorią estetyczną, kształtującą strukturę obrazowania dzieła, jego skalę wartości i jego najsubtelniejszą uczuciowość” (Nowiczenko); „partyjność jest najwyższą formą *narodnosti*” (Timofiejew); „tendycyjność jest burżuazyjnym eklektyzmem, podczas gdy partyjność nie jest sprzeczna z obiektywizmem, gdyż stanowi dialektyczną jedność obiektywnego i subiektywnego, teorii i praktyki” (G. Lukács).

Ta charakterystyczna niedookreśloność terminologiczna, przepływanie jednego pojęcia w drugie (świetnie sparodiowane ostatnio w „Przepasnych wyżynach” Zinowiewa) wynika niewątpliwie z wewnętrznych sprzeczności socrealizmu, jak chce Możejko (*obraz świata contra ideologia*), ale jest też typową cechą dok-

tryn totalitarnych w ogóle. Totalitaryzm jest najwyższym stadium tyranii, czyli systemu władzy nieskrępowanej niczym, nawet własną „teorią”; z punktu widzenia interesów totalitaryzmu każda obowiązująca doktryna powinna być wewnętrznie sprzeczna, jako że ze sprzeczności wynika *quodlibet* (stąd marksistowska „dialektyka” jest darem niebios). Nie sądzę, by Stalin, Żdanow i plejada ich „teoretyków” zdawali sobie w pełni sprawę z tej logiki systemu; można przypuszczać, że w wypadku socrealizmu chcieli po prostu mieć ciastko i zjeść ciastko, tzn. mieć prawdziwą literaturę, która byłaby równocześnie propagandą — rzeczywistość jednak zwyciężyła i praktyka socrealizmu nie dała ani jednej wartościowej książki, a „teoria” sprowadziła się do cetnarów nudnej sofistyki, do której zaliczam też „Dzieła wszystkie” Georgy Lukács'a (któremu Możejko poświęca cały rozdział). Wymieniam to nazwisko osobno, ponieważ widok ochotników w armii Dżyngis Chana zawsze jest przykry, a w konkretnym wypadku instaurowania socrealizmu na obszarach pojałtańskich naiwni inteligenci-lewicowcy jego pokroju odegrali rolę harcowników, maskujących manewr główny. Przegląd wydarzeń literackich we Wschodniej Europie w latach 1947-50 zawarty w IV-tej części książki Możejki wykazuje, że akcja socrealizacji wszędzie przebiegała według tego samego schematu: najpierw zaczynała się ni stąd ni zowąd szczerza, uczona, zaangażowana, etc. dyskusja na temat realizmu w literaturze w ogóle, prowadzona przez dudków-entuzjastów, następnie wkraczali na arenę półprofesorowie-półaparaczczy, gęsto cytujący Marksa i „doświadczenia kolegów radzieckich”, aż w końcu rzecz zostawała przypieczętowana z trybuny takiego czy innego zjazdu przez totalistów *pur sang*; w Polsce role te odegrali — w wymienionej kolejności — pp. Jan Kott, Stefan Żółkiewski i Włodzimierz Sokorski.

Siła przywarcia przeszczepu nie była wszędzie jednakowa i Możejko wyróżnia dwie wersje socrealizmu w Europie Wschodniej: „polską” (oporną) i „bułgarską” (potulną). W Polsce był otwarty sprzeciw (Turowicz, Kisielewski) i rodzaj cichego bojkotu, tak że wkrótce po śmierci Koryfeusza socrealizm stał się otwartym pośmiewiskiem; w Bułgarii nawet w okresie odwilży można było jedynie dyskutować ostrożnie o „niedociągnięciach”. Odejście od socrealizmu typu stalinowskiego okazało się jednak koniecznością nawet w Rosji z dwóch względów: 1° — rozpaczliwego poziomu produktu własnego, 2° — trudności z zaszeregowaniem „produktu cudzego”, tzn. literatury światowej, której mimo wszystko nie można było ograniczyć do Fieldinga, Dickensa i — z dużym wahaniem — Anatola France'a. Na II-gim Wszechzwiązkowym Zjeździe Pisarzy w Moskwie w 1954 napiętnowano „schematyzm” i dało to początek poprawkom pogłębiającym i poszerzającym, jak antyschematyczny referat tegoż samego Jana Kotta, „realizm bez granic” Garaudy'ego, „alienacja socjalistyczna” Schaffa, itd. Jak każdy system z pretensją do nieomylności komunizm nie może odzegnać się od tej skompromitowanej doktryny w sposób jednoznaczny, toteż socrealizm znika od dłuż-

szego czasu metodą cheshirekiego kota z „Alicji w Krainie Czarów”: do pewnego stopnia już go nie ma, choć w powietrzu wciąż jeszcze unosi się jego promienny uśmiech. Był to smutny epizod w dziejach myśli ludzkiej na dużym obszarze przestrzennym i czasowym i dobrze się stało, że książka Mozejki przypomniła jak duży nakład głupoty, złej wiary i fatalnej składni został zainwestowany w tę imprezę.

M. BRONSKI

Nadesłane nowości wydawnicze

- STYPUŁKOWSKI (Zbigniew). *Zaproszenie do Moskwy*. Przedmowa prof. H. R. Trevor-Ropera; wydanie drugie przejrane i uzupełnione. T. I — str. 249 i 7 nlb.; t. II — str. 239 i 1 nlb. (Wyd. Odnowa, Londyn, 1977).
- TARNAWSKI (Wit). *Pisarze chrześcijańskiej rozpacz*. Mauriac, Graham Greene, Bernanos. Str. 79 i 1 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).
- Wybór prac nadesłanych na konkurs imienia Józefa Wyrwy (pseudonimy Furgalski, Stary) ogłoszony dla uczczenia 30-letniej rocznicy zakończenia działań oddziałów partyzanckich*. Do druku przygotował i wstępem poprzedził Tadeusz Wyrwa. Str. 133 i 3 nlb. (Wyd. Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn, 1977).
- Biesiada Krzemieniecka, zeszyt 1*. Str. 92 i 4 nlb. (Wyd. Komitet Biesiady Krzemienieckiej, Londyn, 1977).
- KATELBACH (Tadeusz). *Wódz i poeta. Lechoń o Piłsudskim*. Str. 32. (Wyd. Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1977).
- Rzeczpospolita Podchorążacka*. Nr 14. Str. 44 (powielacz). (Wyd. Koło S.P.P., Londyn, Listopad 1977).
- Historia nagrody im. Anny Godlewskiej 1963-1973*. Opracował Kazimierz F. Vincenz. Str. 79 i 1 nlb. (Nakładem Fundacji Nagro-

dy im. Anny Godlewskiej, Londyn-Solura, 1974).

Antoni Gładysz — 50 lat w służbie narodu polskiego. Praca zbiorowa pod redakcją Adama Ciołkosza. Str. 199 i 1 nlb. (Wyd. Komitetu Uczczenia 50-cioletniej Pracy Publicystycznej, Społecznej, Wydawniczej i Naukowej dr inż. Antoniego Gładysza, Filadelfia, 1977).

Institut National des Langues et Civilisations Orientales — Livret de l'Etudiant 1977-1978. Str. 275 i 1 nlb. (Wyd. w Paryżu, 1977).

White Paper on Czechoslovakia. Str. 269 i 1 nlb. (Vary-tiper). (Wyd. International Committee for the Support of Charter 77 in Czechoslovakia, Paryż, czerwiec 1977 — wydanie angielskie i francuskie).

KORBOŃSKI (Andrzej). *Leadership Succession and Political Change in Eastern Europe*. Komentarz Myron Rush. (Nadbitka z *Studies in Comparative Communism*, vol. IX, Nos 1 and 2, Spring/Summer 1976, str. 3-26).

LUPINSKA ROSSILIANO (Elly). *My Sins*. Str. 163 i 5 nlb. (Wyd. Vantage Press, New York - Washington - Atlanta - Hollywood, 1976; cena Dol. 5,95).

MARCH (J. G.). *Aged Wisconsin*. Str. 134 i 2 nlb. (Wyd. Poets' and Printers' Press, Londyn, 1977).

Harvard Ukrainian Studies. Volume I, Number 1, March 1977. Str. 136. (Wyd. Harvard Ukrainian Research Institute, Cambridge, Mass.; cena w prenumeracie (4 numery) — Dol. 28,00 w USA i Kanadzie, Dol. 32,00 w innych krajach).

CARLINER (David). *The Rights of Aliens — The Basic Guide to An Alien's Rights*. Str. 255 i 1 nlb. (Wyd. A. Discus Book) Publ. by Avon Books, New York, N.Y., 1977; cena Dol. 1,50).

STANKIEWICZ (W. J.). *The Future of Political Theory*. (Nadbitka z *Contemporary Review*, Vol. 229, No 1328, September, 1977, str. 146-151).

STANKIEWICZ (W. J.). *Sovereignty as Political Theory*. (Nadbitka z *Political Studies*, Vol. XXIV, No 2, June 1976, str. 141-157).

From behind Prison Bars. — *A Letter from Adam Michnik*. Str. 7 (powielacz). (Wyd. Association of Polish Students and Graduates in Exile, Londyn, June 1977).

The Tamarack Review, Issue 71 (Summer 1977). Drukuje m.in. poezje 7-miu poetów z Quebecu m.in. 8 utworów Wacława Iwaniuka w tłumaczeniu autora, Krystyny Piórkowskiej, Zbigniewa Folejewskiego, Stanleya Kunitza i Gustawa Linke. (Cena numeru Dol. 1,95; wyd. The University of Toronto Press).

BRZESKI (Andrzej). *Poland's Uncertain Five-Year Plan*. Str. 139-147. (Nadbitka z *The Future of Agriculture in the Soviet Union and Eastern Europe. The 1976-1980 Five Year Plans*. Pod redakcją Roy D. Laird, Joseph Hajda, Betty A. Laird; Westview Press, Boulder, Cal., USA).

MATEJKO (Aleksander, Prof.). *The Polish Blue Collar Worker*. Str. 21 i 7 nlb. (powielacz). (Wyd. The North American Study Center for Polish Affairs, Ann Arbor, Mich., August 1977).

DROZDYŃSKI (Alexander). *Ge-*

sammelte Witze aus aller Welt. Rysunki Szymona Kobylńskiego. Str. 200. (Wyd. Droste Verlag, Düsseldorf, 1977).

LAEUEN (Herald). *Fronten gegen Gierke*. Nadbitka z *Osteuropa*, Heft 6/77, str. 465-486; wyd. Deutschen Gesellschaft für Osteuropakunde, Deutsche Verlags-Anstalt, Stuttgart).

Europäische Ideen, Heft 33, 1977. Str. 33 i 7 nlb. W numerze m.in. prace Leszka Kołakowskiego, Witolda Wirpszy, Tadeusza Nowakowskiego oraz bibliografia L. Kołakowskiego. (Wyd. Andreas W. Mytze, Berlin).

Walter Maas 1901-1976. Str. 107 (vary-tiper). (Wyd. przez Madeleine Mass, Braunschweig, 1977).

KARPOWICZ (Tymoteusz). *Das abgewandte Licht*. Str. 19 + str. 5 — *Vade Tecum*. (powielacz). (Poezje w tłumaczeniach na jezyk niemiecki Karla Dedeciusa, Marii Kureckiej i Richarda Pietrassa, czytane przez autora w Galerie Diogenes, 7. 9. 1977 r. Wyd. Deutscher Akademischer Austauschdienst, Berliner Künstlerprogramm, Wrocław, Chicago, Berlin).

PIEKUT (Stanisław). *Grammatica Polacca*. Str. 22 i 4 nlb. (Wyd. Edizioni Studium, Roma, 1977).

BIŁYK (Iwan). *Mecz Areja*. Roman. Str. 436 i 4 nlb. (Wyd. United Kingdom by Ukrainian Publishers Ltd., Londyn, 1977; cena F. 40).

Bohosłowia. Tom XL. Str. 227 i 5 nlb. (Wyd. Ukrainske Bohosłowske Naukowe Towarystwo, Rzym, 1976).

Dzwony. Literaturno-naukowyj zurnak. Cz. 2 (101) — 1977. Str. 81 i 3 nlb. (Wyd. Universitatis Catholicae Ucrainorum S. Clementis Papae, Rzym).

Błahowisnyk Patriarcha Kijewo-Hatyckoho i wsijeji Rusi. Kn. 1-4, rik XI. Str. 124 i 4 nlb. plus 36 ilustracji. (Wyd. in Castello Gandulphi, 1975).

KRAJ — BLOK WSCODNI

11-9-77

W 1976 roku w PRL wystawiono 30 sztuk francuskich, sprowadzono z Francji książek za F. 1.300.000, a czasopism za około 3 miliony. Na liście zakupów książek francuskich PRL znajduje się na 44 miejscu. W tymże roku wyjechało do Francji 40.143 Polaków, a 80.087 Francuzów odwiedziło Polskę. ■ W Warszawie ukazał się *Rocznik Statystyczny 1977*. ■ W PRL zarejestrowano nową organizację religijną „Kościół Jezusa Chrystusa Świętych Dni Ostatnich” — zwaną potocznie Mormonomi. Władze sekty znajdują się w Szczecinie. Grupa Mormonów, według radia warszawskiego, liczy zaledwie w Polsce kilkadziesiąt osób. ■ W sezonie teatralnym PRL 1976-1977 99 teatrów dało 358 premier, w tym 91 polskich sztuk współczesnych. Najczęściej grywano Różewicza, Gombrowicza, Redlińskiego i Latkę. Kłasyka polska to 70 premier 55 sztuk, w tym 12 komedii Fredry i 9 sztuk Słowackiego.

20-9-77

PLL LOT uruchomiły nową linię Warszawa - Bangkok. Przelot na trasie 10.300 km. trwa 18 godzin.

28-9-77

Jurgis Skulme, pracownik estońskiej Akademii Sztuk Pięknych, został skazany na 2 i pół roku więzienia za korespondencję prowadzoną ze swymi przyjaciółmi zachodnimi. ■ Czasopismo *Trud* zorganizowało dyskusję na temat braku kartofli w ZSSR. Brak ten wynika przede wszystkim z złego przechowywania zbiorów, transportu etc. W bież. roku kółchozy powinny dostarczyć około 16 milionów ton kartofli państwu, ale niektórzy eksperci przypuszczają, że 3/4 zbiorów ulegnie zniszczeniu.

29-9-77

Zmarł w Warszawie, w wieku 87 lat, Jan Nepomucen Miller, znany krytyk i eseista. Za swoją niezależność był bojkotowany przez władze PRL.

1-10-77

W Muzeum Narodowym w Warszawie została otwarta wystawa monograficzna Artura Nachta-Samborskiego; wystawiono 234 obrazy olejne, akwarele, gwasze i rysunki. Niezależnie od tej wystawy Muzeum Narodowe wraz z wydawnictwem *Arkady* przygotowuje obszerną monografię albumową.

4-10-77

Zmarła w Warszawie, w wieku 62 lat, popularna aktorka Jadwiga Andrzejewska. ■ W latach 1944-1975 na polskich półkach księgarskich ukazało się 12.270 książek autorów z różnych krajów. Jak wynika z danych Zakładu Statystyki Biblioteki Narodowej w Warszawie, najpoczytniejszymi pisarzami byli: Jack London (3.894.000 egz.), Maksym Gorki (3.079.000 egz.), Juliusz Verne (2.802.000 egz.), Honoriusz Balzac (2.756.000 egz.), Joseph Conrad (2.300.000 egz.), Ernest Hemingway (2.166.000 egz.). Nakłady w granicach 1-2 milionów osiągnęły książki trzynastu pisarzy, między nimi: Lwa Tołstoja, Antoniego Czechowa, Karola Dickensa, Wiktora Hugo, Stendhala. Poniżej miliona egzemplarzy osiągnęły książki takich pisarzy jak m.in. Antoni Saint-Exupery (742.000), Anna Seghers (618.000), Albert Camus (444.000), François Mauriac (391.000).

5-10-77

W Warszawie odbyła się kolejna „Warszawska jesień poetycka”. Jej *clou* stanowiła wystawa „Rewolucja 1917 roku w poezji światowej”.

8-10-77

Zmarła tragicznie w Warszawie Wanda Leopold (z Iwanowskich), żołnierz A.K., krytyk literacki.

9-10-77

Zmarł w Warszawie, w wieku 92 lata, Wincenty Jastrzębski, działacz socjalistyczny, więzień Szlisselburga. W okresie międzywojennym wielokrotny wiceminister Opieki Społecznej. Autor wielu prac z zakresu ekonomii i organizacji pracy. ■ W PRL tylko 12 % nauczycieli większych posiada wyższe wykształcenie. W miastach — 34 %. ■ W Akademii Ekonomicznej w Krakowie rozpoczęły się zajęcia na 3-miesięcznym studium specjalistycznym współczesnych problemów ekonomicznych gospodarki socjalistycznej dla studentów amerykańskich. Jest to rezultat umowy między AE a Grand Valley State College, USA.

17-10-77

W Pradze rozpoczął się proces 4-ch czeskich intelektualistów: Ornesta, Lederera, Pavlicka i Havela — w ramach represji przeciwko sygnatariuszom „Karty 77” oraz za konspiracyjną współpracę z Pavlem Tigridem, redaktorem wydawanego w Paryżu pisma *Svedectvi* i z Jirim Pelikanem, redaktorem „Listów”, wydawanych w Rzymie. Na proces ten władze czeskie odmówiły wizy wjazdowej korespondentowi paryskiej *Humanité*. Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” ogłosił protest, wyrażając swoją solidarność z sygnatariuszami „Karty 77”.

19-10-77

Zapadł wyrok w procesie praskim. Oskarżonych skazano: Ota Ornest na 3½ roku więzienia, Jiri Lederer na 3 lata, Frantisek Pavlicek na 17 miesięcy a Vaclav Havel na 14 miesięcy z zawieszaniem.

KRONIKA WIADOMOŚCI Z PRL

Dziennikarze i pracownicy redakcyjni otrzymali w czerwcu 1977 podwyżki od 600 do 1.200 zł. Podniesiono również dodatki dla naczelnych redaktorów o 2.000 tys. zł. ■ Na wiosnę bież. roku wojsko objęło „opieką” rozgłośnie radiowe i telewizyjne, spowodowało to utajnienie niektórych funkcji, np. obsługi dalekopisu. Przedstawiciele wojska wprowadzono na szczeble kierownicze. ■ 24 września wyprowadzono z pociągu do Lublina członka KOR'u Bogdana Borusewicza. Miało to miejsce na dworcu wschodnim. Po rewizji podczas której skonfiskowano mu materiały KOR'u przeprowadzono z nim „pouczającą rozmowę”. ■ Po programie TV „Parada blagierów” gdzie karykaturowano Gierka, zawieszony został na kilka dni szef działu kultury TV Janusz Rolicki. ■ Wszyscy członkowie KOR'u więzieni byli w XII-tym pawilonie na Mokotowie. Jest to pięciokondygnacyjny budynek. Na ostatniej kondygnacji znajdują się pokoje przesłuchań. Pawilon ten podlega SB i obowiązuje w nim ścisła izolacja poszczególnych cel. Strażnik wprowadzający więźnia naciska znajdujący się przy każdej celi przycisk uruchamiający

sygnały świetlne. W tym czasie nie wolno wyprowadzać innego więźnia (w 1968 robiono to jeszcze stukając w poręczę kluczem). Druga osoba w celi to z reguły kapuś, przeważnie więzień (choć czasami posyłano etatowych pracowników SB). Ciekawy okaz siedział z A. Macierewiczem. Przedstawił się jako znajomy Borsewicz, którego biografię znał dość dobrze. Twierdził, iż siedział z nim w marcu 1968, pomagał kiedy był pobity i wyniósł mu gryps.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-9-77

W Londynie odbyło się zebranie założycieli Komitetu Funduszu Kazimierza F. Vincenza. Postanowiono kontynuować inicjatywę Kazimierza Vincenza pod nazwą „Szukamy Poloników” (konkurs w dwu grupach: dla młodzieży do lat 18 i między 18 a 25 rokiem życia). Ustalono dwie nagrody: Czesławowi Maliszewskiemu z New Britain, Conn. (USA) przyznano 3.000 franków szwajcarskich za wydawanie miesięcznika *Listy do Polaków*, a rtm. Zygmuntovi Godyniowi z Londynu 500 Fr.szw. za publikację pt. „Straty spośród kawalerzystów i pancernych z rąk sowieckich w drugiej wojnie światowej”. ■ Spis 80 tysięcy Żydów francuskich, którzy zostali wywiezieni przez nazistów do obozów zagłady w Polsce, otrzymał przewodniczący „Jad Waszem” od Serge'a i Beaty Klarsfeld. Tylko 2 tysiące wywiezionych pozostało przy życiu. Państwo Klarsfeld odmówili udzielenia informacji, jaką drogą udało im się uzyskać dostęp do oryginalnego wykazu wywiezionych.

20-9-77

Na XXVII konferencji PUGWASH na przewodniczącego Rady wybrano ponownie prof. Macieja Nałęcza, sekretarza wydziału nauk technicznych Polskiej Akademii Nauk. ■ W Londynie została utworzona Społeczność Akademicka Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie i Łodzi. Zadaniem Społeczności będzie utrzymywanie łączności z wychowankami i profesorami WWP, znajdującymi się na emigracji.

25-9-77

Zmarł w Sztokholmie, w wieku 80 lat, płk Witold Szymaniak, w czasie wojny oficer łącznikowy między szwedzkim a polskim Sztabem Generalnym, w okresie powojennym czynny działacz niepodległościowy i społeczny na terenie Szwecji. ■ W Kopenhadze odbyło się zebranie poświęcone Januszowi Korczakowi. W spotkaniu wzięli udział: reżyser Aleksander Ford, ks. prof. dr Józef Grochot, dr Eugeniusz S. Kruszewski, prof. dr Józef Parnas.

1-10-77

P. Eugeniusz Romiszewski, były starszy redaktor programowy sekcji polskiej Radia Wolna Europa, objął redakcję *Orla Białego* na miejsce zmarłego Stanisława Zadroznego.

4-10-77

W Belgradzie rozpoczęła się konferencja ministrów spraw zagranicznych 35 krajów, które podpisały układ w Helsinkach. Zasadniczo 22. 12. br. ma być ogłoszony dokument reasumujący obrady, ale najprawdopodobniej — ze względu na przeciążony porządek dzienny i trudności negocjacyjne — dalszy ciąg będzie miał miejsce w połowie stycznia przyszłego roku i to

co najmniej na okres jednego miesiąca. ■ Szwedzki Uniwersytet w Uppsali mianował doktorami *honoris causa* prof. Kazimierza Michałowskiego, archeologa z Warszawy, prof. Mieczysława Klimaszewskiego, geologa i geografę z Krakowa, Zygmunta Lanowskiego, tłumacza literatury szwedzkiej na polski i prof. Antoniego Zygmunta, matematyka z USA. ■ Szwedzka Akademia Umiejętności zorganizowała w dn. od 3 do 5 października Sympozjum na temat stosunków literackich polsko-szwedzkich. Ze strony polskiej w Sympozjum wzięło udział 18 osób reprezentujących nie tylko uczelnie polskie ale także i pracowników naukowych z emigracji polskiej w Szwecji.

5-10-77

Zmarł w Cannes, w wieku 56 lat, Didier Depret, siostrzeniec Andrzeja Bohomoleca, jak i on żeglarz. W 1960-1966 r. przepłynął na małym jachcie dookoła kuli ziemskiej. Wyprawę swoją opisał po francusku w książce „Podróż naokoło świata w ciągu 80 miesięcy”. ■ Stanisław Suwała ofiarował Towarzystwu Historyczno-Literackiemu w Paryżu kwotę F.10.000 z zaleceniem użycia jej przede wszystkim na założenie urządzeń dźwiękowych w sali odczytowej Biblioteki Polskiej w Paryżu.

7-10-77

Zmarł w Paryżu, w wieku 81 lat, płk Tadeusz Rudnicki. W okresie wojennym był szefem Oddziału VI. Sztabu Głównego, attaché militaire w Kujbyszewie i w Teheranie.

8-10-77

Na posiedzeniu Rady Narodowej w Londynie na przewodniczącego Rady wybrany został p. Scibor-Rylski na miejsce p. Bohdana Podoskiego. Na wniosek p. Teresy Affeltowiczowej Rada jednogłośnie uchwaliła: „Komitet Obrony Robotników po roku swej działalności i osiągnięciu zamierzonych celów w dniu 23 września 1977 rozszerzył zakres swych zadań i przekształcił się w Komitet Samoobrony Społecznej. Niezlomna postawa i wielka odwaga jego członków mimo stałych represji i pogróżek ze strony władz bezpieczeństwa stała się wzorem postawy obywatelskiej dla ludzi w Kraju i zyskała rozgłos i szacunek na całym świecie. — Rada Narodowa R.P. wyraża najwyższe uznanie dla dotychczasowej działalności Komitetu i bezprzykładnej odwagi jego członków”.

9-10-77

W Kopenhadze obchodzono uroczyste 65-lecie Biblioteki Polskiej w Kopenhadze.

12-10-77

W uniwersytecie Lille III w Villeneuve d'Ascq (Francja) odbył się wieczór komemoracyjny z okazji 50-lecia szkolnictwa polskiego.

13-10-77

W Wiedniu odbył się XI Światowy Kongres Prasy Katolickiej, w którym wzięło udział około 500 dziennikarzy z całego świata. Z Polski przyjechali: ks. Stanisław Walkowiak (*Przewodnik katolicki*, Poznań), ks. Stanisław Tkocz (*Gość niedzielny*, Katowice), ks. Jerzy Bagrowicz (*Ateneum kapłańskie*, Włocławek), ks. Jan Szurlej (*Apostolstwo chorych*, Katowice), ks. Czesław Kudroń (*Homo Dei*, Warszawa), ks. Michał Kamiński (*Msza święta*, Poznań), ks. Stanisław Hejmo (*W drodze*, Poznań), Rudolf Buchała (*Chrześcijaństwo w świecie*, Warszawa), ks. Alojzy Orszulik, dyrektor biura pras-

wego Konferencji Episkopatu Polski. Redaktor *Więzi*, Tadeusz Mazowiecki i Bogdan Cywiński, redaktor *Znaku* nie dostali paszportów, wobec tego na znak solidarności nie pojechali do Wiednia: Stanisław Stomma i p. Józefa Hennelowa z *Tygodnika Powszechnego*. Obecny w Wiedniu Władysław Bartoszewski również nie wziął udziału w pracach Kongresu, ograniczając się do statusu obserwatora. Warszawa przystąpiła bez zgody i wiedzy Episkopatu Jerzego Nowakowskiego (*Słowo Powszechne, Pax*) i Wojciecha Kętrzyńskiego, kierownika wydziału zagranicznego Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, instytucji specjalizującej się w dywersji wśród wyznań chrześcijańskich. Na Kongresie grupa polska zgłosiła oświadczenie (będzie ono zamieszczone w grudniowym numerze *Kultury*). ■ Zmarł w Londynie, w wieku 65 lat, dr inż. Ludwik Angerer, jeden z założycieli i wieloletni prezes Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźstwie.

14-10-77

Zmarł w Paryżu, w wieku 83 lat, Zygmunt Dygat, pianista, uczeń Ignacego Paderewskiego, wieloletni prezes Skarbu Narodowego we Francji. ■ Zmarł w Londynie, po ciężkiej chorobie, w wieku 64 lata, Ryszard Kiersnowski, poeta autor dramatyczny, dziennikarz, radiowiec i aktor — popularny „Wincuk Markotny”. W czasie wojny był korespondentem wojennym 1-ej Dywizji pancerniej PSZ.

17-10-77

Związek Harcerzy Polskich na Uchodźstwie w Londynie zorganizował w „Ognisku Polskim” spotkanie z Wacławem Iwaniukiem z Kanady. ■ Nagrodę londyńskich *Wiadomości* za „najwybitniejszą książkę pisarza polskiego na emigracji w 1976 r.” otrzymał Stanisław Swianiewicz za wspomnienia pt. „W cieniu Katynia”, wydane przez Instytut Literacki w Paryżu. Nagroda wynosi 500 dolarów. Nagrodę za utwory prozą ogłoszone w *Wiadomościach* otrzymał Włodzimierz Ledóchowski za 2 opowiadania „Spór o błogosławioną ciotkę” i „Podzwonne dla optymisty”. Nagroda wynosi — 250 dolarów. ■ Francuski minister Poczty i Telekomunikacji p. Norbert Segard wręczył krzyż kawalerski *Ordre National du Mérite* doktorowi Stefanowi Legierskiemu. Doktor Legierski, popularny lekarz w Lille, jest synem górnikarza; urodził się w Ostricourt. Odznaczenie dostał on nie za swoją — przykładową zresztą — pracę zawodową, ale za działalność wśród Polaków. Wystąpiła o nie Wspólnota Polsko-Francuska, w której Radzie zasiada.

Fakt, że członek rządu Francji odznacza Polaka za jego polską działalność nie zdarza się po raz pierwszy. Podkreślić jednak należy fakt, że min. Segard (o którym już *Kultura* pisała) wygłosił przy okazji przemówienie wzywające Polaków we Francji do pielęgnowania ich kultury i języka i podkreślające, że dzieje się to w dobrze zrozumianym interesie Francji.

Uroczystość odbyła się z udziałem kilku członków parlamentu (w tym b. min. spraw zagranicznych M. Schumanna), przedstawicieli sfer uniwersyteckich, różnych grup politycznych, społecznych itd. Wśród przeszło 300 osób było ok. 100 Polaków, w tym kilku prezesów organizacji starej emigracji.

22-10-77

W związku z 300 rocznicą urodzin Stanisława Leszczyńskiego w Château de Luneville odbyła się akademie, prezentacja *lumières de Luneville* oraz *le madrigal de Luxembourg* (Muzyka na dworze króla polskiego).

KRONIKA AMERYKAŃSKA

30. 9. br. Fundacja Kościuszkowska zorganizowała wernisaż wystawy portretów i karykatur zmarłego niedawno Zdzisława Czernańskiego. ■ 4. 9. br. odbył się w Chicago XIV zjazd delegatów Okręgu A.K. w Stanach Zjednoczonych. Przewodniczącym zarządu został wybrany ponownie J. F. Morelewski. Korespondencję dotyczącą Okręgu A.K. należy kierować do sekretarza W.S. Jastrzębskiego na adres: 6754 N. Ionia Avenue, Chicago, Ill. 60646. ■ Polska Fundacja Kulturalna w Nowym Jersey przyznała swoją doroczną nagrodę Blance Rosenskiel, założycielce i prezesce Amerykańskiego Instytutu Kultury Polskiej w Miami na Florydzie. ■ Prof. Andrzej Korboński z University of California w Los Angeles został mianowany członkiem delegacji amerykańskiej na konferencję w Belgradzie. ■ W pierwszych dniach sierpnia br. odbyła się Konwencja Amerykańskiej Rady Polskich Klubów Kulturalnych (American Council of Polish Cultural Clubs — ACPC) na Campusie De Paul University w Chicago. P. Anna Chrypińska z Detroit została wybrana na prezesa tej organizacji. ■ The National Endowment for the Humanities, instytucja rządu federalnego w Waszyngtonie, przyznała Instytutowi Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku subsydium w wysokości \$39.124,00 na zmikrofilmowanie i konserwację archiwów i zbiorów historycznych Instytutu. Instytut Józefa Piłsudskiego jest polską placówką naukową, istniejącą w Stanach Zjednoczonych od 34 lat, poświęconą badaniom najnowszej historii Polski. Przez ten długi okres czasu Instytut zdołał zgromadzić obok obszernej biblioteki, niezwykle bogate i bezcenne zbiory dokumentów historycznych, które z upływem lat wymagały coraz bardziej odpowiedniej konserwacji. Sprawa ta stanowiła stałą troskę kierownictwa Instytutu, które pragnęło zapewnić tym archiwom odpowiednie warunki aby przekazać je w dobrym stanie przyszłym pokoleniom. Rezultatem starań podjętych w tej sprawie było skierowanie do Instytutu eksperta National Endowment for the Humanities, który po dokładnym zapoznaniu się z archiwami wydał opinię że zbiory dokumentów historycznych Instytutu obejmujące najnowszą historię Polski stoją pod względem ich rozmiarów i znaczenia, na drugim miejscu w Stanach Zjedn., po Hoover Institution w Kalifornii. ■ Prezydent Carter nadał obywatelstwo amerykańskie nielegalnym emigrantom, których liczba sięga 7-miu milionów.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Melbourneński literat Andrzej Chciuk pisze obszerną pracę na temat Polonii australijskiej. Praca ta będzie zawierać takie tematy jak wydarzenia, osoby, aspekty socjologiczne tutejszej Polonii. Całość składać się będzie z dwóch 300-stronicowych tomów. Autor pisze swą pracę na zamówienie firmy Carinia (wytwórcia płyt gramofonowych), która w roku bieżącym obchodzi 25 lat istnienia oraz tygodnika *Wiadomości Polskie*, którego redaktor p. J. Dunin-Karwicki również obchodzi srebrny jubileusz swej pracy dziennikarskiej w Australii. Dyrektorem i właścicielem firmy Carinia jest p. M. Kułakowski. ■ 10. 10. br. odbył się w centrum Melbourne antykomunistyczny wiec, zorganizowany przez pravicową organizację *People Against Communism*. W wiecu tym wzięło około 300 osób, w tym również Polacy. ■ W maju roku bieżącego przypadła piętnasta rocznica istnienia „Polskiego Towarzystwa Historycznego”, którego siedzibą jest Adelaida w stanie Połud-

niowa Australia. Organizacja ta prowadzi archiwum, akcję odczytową i wydawniczą, której główną pozycją była praca zbiorowa pt. „Polacy w Południowej Australii 1948-1968” pod redakcją założyciela i prezesa Towarzystwa p. M. Szczepanowskiego. ■ Dwadzieścia pięć lat pracy społecznej i kulturalnej wśród Polaków w Hobart (Tasmania) obchodził p. Bohdan Burbo. Pan Bohdan Burbo był m.in. wieloletnim kierownikiem Polskiej Audycji Radiowej transmitowanej przez stację 7HT Hobart. ■ W bieżącym roku akademickim nie został wznowiony kurs języka polskiego przy Queensland University. Jak doniósł korespondent melbournieński *Tygodnika Polskiego* Eugeniusz Stulięwa: „Powodem była sugestia rektora uniwersytetu pod adresem Polonii brisbańskiej, że kurs powinien odbywać się pod protektoratem konsulatu PRL w Sydney”. ■ Delegat Naczelnictwa ZHP na Australię hm. H. Ostrowski zaapelował w prasie polonijnej do niektórych osób i organizacji o niewciąganie Harcerstwa do osobistych lub wewnętrznych rozgrywek. Oświadczył on również, iż Harcerstwo „...zawsze stało, stoi i stać będzie na stanowisku wybitnie niepodległościowym”. Chodzi oczywiście o ZHP poza granicami Polski. ■ W Adelaide 17. 9. br. odbyła się polska manifestacja, której punktem szczytowym było odsłonięcie Pomnika Żołnierza Polskiego i Ofiar mordu katyńskiego. Pomnik ten stanął przed gmachem Centralnego Domu Polskiego. Projekt pomnika opracował Stanisław Ostoja-Kotkowski. Centralnym elementem pomnika jest hełm i stylizowane skrzydła husarskie. W uroczystości wzięło udział półtora tysiąca Polaków oraz liczni goście innych narodowości. Poświęcenia dokonał ks. biskup Szczepan Wesoły, przybyły specjalnie w tym celu z Rzymu. Okolicznościowe przemówienia wygłosili delegat Rządu Polskiego na Uchodźstwie Stefan Nowicki oraz prezes Federacji Światowej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów Stefan Soboniewski, który wizytuje obecnie polskie ośrodki w Australii i Nowej Zelandii. Inicjatorami akcji budowy pomnika byli członkowie Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w Australii. SPK kierowało również zbiórką funduszy na ten godny cel. ■ Kwestia złego traktowania Żydów w ZSSR będzie przedmiotem dochodzeń specjalnej komisji powołanej przez federalny parlament Australii. Przewodniczącym komisji jest poseł Kim Beazley (Labour Party). W związku z tym rzecznik ambasady ZSSR w Australii oskarżył Australię o mieszanie się w sprawy wewnętrzne Związku Sowieckiego.

Jerzy DOBROSTAŃSKI

PRZEMIANY

PISMO POLSKIEJ PARTII SOCJALISTYCZNEJ
Wydaje Komitet Główny PPS w Niemczech.

ARTYKUŁY, OPINIE, WIADOMOŚCI I OCENY Z KRAJU.

Ukazuje się od roku 1974 raz na dwa miesiące.

Prenumerata roczna razem z przesyłką DM 15,00 lub równowartość.
Przesyłka lotnicza do USA i Kanady — dopłata DM 10,00
Do Australii — dopłata DM 15,00.

Cena numeru pojedynczego (16 str.): DM 1,00, podwójnego: DM 2,00

Zamówienia prosimy kierować:

T. PODGÓRSKI — 8 MÜNCHEN 40, UNGERERSTR. 47.
W. GERMANY

Listy do Redakcji

Melbourne, 17 września 1977.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z interesującymi uwagami Jerzego Dobrostańskiego o prasie polskiej w Australii (*Kultura* numer z września br.) chciałbym uzupełnić kilka pominięć i wyjaśnić nieścisłości.

W roku 1953 przez wiele miesięcy wychodził w Sydney tygodnik *Forum*, redagowany przez B. Korpowskiego i J. Suskiego, a wydawany przez A. Maruszewskiego z licencji otrzymanej od władz australijskich przez panią doktorową Goldschlagową. Było to chyba najlepiej redagowane pismo polskie w Australii.

W latach 1965-66 Jerzy Bielski wydawał i redagował pismo *Polonia* (ukazujące się nieregularnie mniej więcej raz na miesiąc). Miało ono bardzo staranną stronę graficzną i było ciekawe. Bielski to działacz związków zawodowych i założonej przez siebie *New Settlers League*.

W latach 1958-1968 nieregularnie i z dużymi przerwami istniał tu magazyn społeczno-literacki *Nurt*, zbliżony do ówczesnego „Zamku”, redagowany przez przybyłego z Polski M. Iwańczaka. Nad imponującą szatą graficzną czuwał jego brat. Jedynym piórem które można było w *Nurcie* czytać był Józef Mackiewicz. Miejscowe artykuły pp. Iwańczaka, Nowickiego i Nordana-Schmidta (to ci ważniejsi) to piękny przykład patriotycznego bełkotu.

W latach 1963-1965 M. Kałuski redagował kwartalnik *Merkuryusz Ziemi Wschodnich R.P.* Pisma tego nie miałem nigdy w ręku, ale znając inteligencję i styl redaktora można założyć, iż nie była to publikacja wysokiego lotu, toteż wkrótce zmarła.

Należałoby dodać, wspominając o polskiej stronie w *Le Courier Australien*, że założył go Polak, potomek powstańca, Wróblewski ożeniony z Francuzką. Kilkanaście lat temu rozmawiałem z jego córką Mlle de Wróblewski, dom miała pełen pamiątek polskich, a pomimo podeszłego wieku posiadała umysł bardzo żywy.

Autor również pominął ciągle wychodzące od kilku lat *Wiadomości Adwentystów*. W Australii żyje obecnie ponad 8.000 polskich adwentystów, głównie w zborach Adelajdy, Melbourne, Sydney i Newcastle. Pisują tam pastorzy Skrzypczek, Lipski i Machrowski (zresztą działacz tutejszego *Polskiego Towarzystwa Historycznego*) i liczna inteligencja tej sekty, głównie o sprawach religijnych, organizacyjnych, o wstrzemięźliwości i zdrowiu.

Dobrostański nie wspominał również spośród wielu biuletynów organizacyjnych na dobrym poziomie chyba dwóch najważniejszych. Są to: ciągle ukazujący się *Biuletyn Domu Polskiego w Adelajdzie* pod redakcją S. Gotowicza, i drugi *Po prostu*, redagowany przez W. Romanowskiego. Ostatnia pozycja już przestała wychodzić w grudniu ub. roku. Oba biuletyny używały powielacza i ofsetu.

Wątpliwa wydaje się mi kwalifikacja *Sportowca Polskiego w Australii* jako oddzielnego pisma. Była to właściwie wkładka do *Wiadomości Polskich* w Sydney. Redaktor J. Dunin-Karwicki za rok będzie obchodził XXV-lecie swej działalności wydawniczej i redaktorskiej. Należy podkreślić, że jego niemal co tygodniowe artykuły polityczne i na tematy emigracji propagujące koncepcję Polonii Światowej sygnowane JDK, były wysokiej próby. Nigdy nie zaciętrzewiał się on ani po linii „Zamku” ani „Zjednoczenia”. Tak samo *Kombatant Polski w Australii* ukazywał się jako dodatek w tym piśmie, oraz później w *Tygodniku Polskim* Gronowskiego, ale przez jakiś czas pod redakcją S. Łuk-Koziki wychodził jako oddzielne pismo, miał też swój żywot powielaczowy pod różnymi redakcjami.

Wspomniane w artykule Dobrostańskiego nazwisko powinno brzmieć W. Romaszkiwicz, był to Polak z Litwy. Obok Myszkowskiego (nie Mystkowskiego) należy dodać też nazwisko X. J. Janusa T.J. jako założyciela *Głosu Polskiego*, oraz S. Zarzeckiego, który to ciekawe pismo redagował wraz z J. Grot-Kwaśniewskim.

Wspomnianego przez Dobrostańskiego pisma *Margines* nigdy nie było. Był to redagowany przeze mnie dodatek literacki do *Tygodnika Polskiego*. Ukazało się tego kilka numerów, dalsze dwa redagował sam Gronowski. Podobnym dodatkiem literackim były *Widnokreśli w Wiadomościach Polskich*, też nie ukazało się ich wiele, mimo że oba dodatki gromadziły dobre pióra jak Z. Jasiński, A. Nasielski, Z. Marek, R. Krygier, W. Romanowski, T. Sobolewski, E. Żagiell, S. Urban, Z. Przybyłkiewicz i przybyli z Kraju L. Rydzyska i J. Wasowski. Zredagowałem też kilka numerów tego dodatku, a dalsze dwa zrobili Suski i Karwickim.

Trudno z odległości lat i z innych warunków wartościować te wszystkie nasze wydawnictwa i to czy były pismami, czy nie — niemniej należy podkreślić, iż *Naszą Droga* po Z. Postusznym przejął szybko J. Sobolewski, były policjant używający zaraz po wojnie tytułu magistra, a później doktora, obecnie zaś nawet generała; jest on „ministrem oświaty i propagandy” w „rządzie” p. Sokolnickiego. Pan minister oświaty wytrwale propagował „Trędowatą” w swym piśmie. Nakład tego pisma nigdy nawet w okresie szczytu nie przekraczał 1.000 egzemplarzy, a ukazywało się ono dość nieregularnie. Podobno dalej istnieje.

Na zakończenie kilka danych jeśli idzie właśnie o nakłady. Otrzymałem je od drukarzy, gdyż redaktorzy zazwyczaj podają wyższy nakład. *Tygodnik Katolicki* pod X. Trzeciakiem przez pewien czas miał najwyższy nakład 3.400 egz., za Gronowskiego, jako *Tygodnik Polski* wahał się od 2.900 do 2.200, za Kałuskiego schodził poniżej 2.000 sztuk, obecnie pod Kwaśniewskim następuje stały powolny wzrost rozprowadzanych egzemplarzy. Nakład *Wiadomości Polskich* (obecnie mocno poniżej 4.000 w okresie 1962-1964 osiągnął ponad 5.000 egzemplarzy i osiągnął to, o czym marzą wszyscy nasi redaktorzy: *audited circulation* (powyżej 5.000), za czym idą wyższe stawki ogłoszeniowe. Zdarzyło się to w polskiej prasie w Australii tylko raz; w chwili obecnej wśród około 30 pism obcojęzycznych ukazujących się w Australii *audited circulation* mają tylko pisma włoskie, greckie, holenderskie, niemieckie i jugosłowiańskie (serbo-chorwackie w łacińskim alfabecie) a te grupy etniczne są wiele razy większe niż polska.

Polskie pisma — z małymi i dorywczymi wyjątkami z okazji jakichś

zdarzeń które należy wśród obcych propagować, albo zgodnie z ówczesnie obowiązującymi przepisami, nakazującymi druk pewnej części tekstu po angielsku (Trzeciak drukował „Quo Vadis”) — nie miały nigdy zawartości angielskiej, co jest może i szkoda, gdyż z odchodzącą od polskości młodzieżą i wymieraniem starszych, baza czytelnicza się zwęża.

Z poważaniem,

Andrzej CHCIUK

8 października 1977.

Drogi Panie Redaktorze,

Przeczytałem notę polemiczną pani Janiny Katz Hewetson w październikowej *Kulturze*.

Najpierw tzw. kwestia gustu. Rzadko nadaje się ona w ogóle do polemiki, trzeba po prostu przyjąć, jako rzecz naturalną, różnicę gustów. Pani Hewetson podoba się bardzo *Białe małżeństwo* Różewicza; mnie nie. Pani Hewetson podoba się bardzo (i próbowała to nawet w sposób dość mętny „uzasadnić” w *Kulturze*) *Garbus* Mrożka; mnie nie. Możliwe że w wypadku sztuki Różewicza działa mechanizm specyficzny, na który nie ma rady. Pani Hewetson wspomina mianowicie, że *Białe małżeństwo* jest „sztuką dla kobiet” i wymaga specjalnej wrażliwości „kobiecej”. Chylę więc głowę przed przyrodzoną właściwością polemistki, wycofując się pokornie na pozycję mojej ułomnej wrażliwości „męskiej”. W każdym razie, żeby skończyć z tym punktem, nadmienię że podczas antraktu przedstawienia sztuki Różewicza w Yale wyszła z teatru połowa publiczności; reszta dosiedziała do końca i gorąco spektakl oklaskiwała. Podobnie, jak słyszę, dzieje się w Teatrze Małym w Warszawie. Znaczy to, że pani Hewetson ma zwolenników swoich gustów; a ja mam zwolenników moich gustów. No i bardzo dobrze, jak lubi powtarzać Konwicki w *Kalendarzu i klepsydze*.

Gorzej, znacznie gorzej, z drugim punktem polemiki. Pani Hewetson „domyśla się”, że nie podoba mi się *Białe małżeństwo*, bo Różewicz nie podpisuje rozmaitych memoriałów i protestów. Nigdzie tego nie napisałem. Nie interesuje mnie alergia „podpisowa” Różewicza, uważam ją za jego sprawę osobistą, jak każdą zresztą alergię. Muszę więc ten punkt polemiki uznać za skłonność do insynuacji, bardzo brzydka cecha ludzka (także u osób obdarzonych specjalną wrażliwością „kobiecą”). „Domyślanie się” jest procederem dozwolonym, ale pod warunkiem że nie odbywa się kosztem zwykłego myślenia.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Sydney, 13 września 1977.

Panie Redaktorze!

W notatce „Prasa polska w Australii” (*Kultura* nr 9/360), Jerzy Dobrostański schlebia mi, jakobym tu redagował aż dwa wydawnictwa. O dwa za dużo. Czytelnikom *Kultury* w innych częściach świata jest to obojętne, ale kilku czy kilkunastu w Australii mogłoby słusznie pomówić mię o próżność, gdybym tej wiadomości nie sprostował. Miałem propozycję redagowania *Kombatanta w Australii*. Na propozycji się skończyło. Natomiast *Wiarus* nie zasługuje na miano wydawnictwa. Był to rodzaj okólnika, w

którym próbowałem zniechęcić pewnego grafomana do publikowania na powielaczu prostackich wypocin, w niegramatycznej polszczyźnie. Niestety jest tak gruboskórny, że grzeczna perswazja nie dociera mu do świadomości. Po dziesiątym okólniku, zaprzestałem rzucać grochem o ścianę.

Z poważaniem,

Bolesław KORPOWSKI

Edmonton, 14 września 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 5/356 *Kultury* Bolesław Sulik opowiada o pobycie w Radomsku i wizytach do tamtejszych przedsiębiorstw przemysłowych. Przy okazji wymienia „białe mury barokowego kościoła Franciszkanów” (str. 58) i umieszcza je na skraju głównego skweru miasta. Pomyłka: jest to kościół parafialny. Franciszkanie są kilkaset metrów dalej, w kierunku Piotrkowa, przy jednej z głównych ulic, ale nie na centralnym placu miasta.

Z Etiopią też wyszło niedokładnie. Różnie można opisywać mieszkańców Etiopii, ale nie jako Murzynów (str. 60). To tak jakby Rumunów albo Węgrów nazwać Słowianami.

Z poważaniem,

Karol KRÓTKI

Szanowny Panie Redaktorze,

Ealing, 12 października 1977.

W związku z bardzo ciekawym artykułem p. Z. S. Siemaszki o obecnym Wilnie (Nr 9 *Kultury*) pozwałam sobie dodać uwagi i wrażenia otrzymane od znajomych, którzy tego lata odwiedzili Wilno:

„Ogromny pomnik Lenina stoi na dawnym placu Łukiskim. Z tyłu widać piękną sylwetkę kościoła św. Jakuba, który jest obecnie zapleczem szpitala położniczego, mieszczącego się w starej zabudowie poklasztornej wokół tego kościoła.

Kościół św. Rafała jest czynny, ale otwierany jest tylko na czas nabożeństw. Jest bardzo starannie utrzymany i niedawno został odrestaurowany. Nieduża kapliczka P. Jezusa zwana „na Snipiskach” nie istnieje. Kościół św. Jerzego i dawne seminarium zamienione na archiwum.

Kościół św. Jana koło uniwersytetu był właśnie w remoncie. Po odrestaurowaniu ten kościół pozostanie „zabytkiem”. Część kościołów jest nieczynna, a zagadnięci przechodnie odpowiadają *nie robotajet*. Na wielu budynkach były płyty z napisem, że jest to zabytek. Seminarium jest w Kownie. Bardzo piękny kościół Dominikański jest restaurowany pod kierunkiem pani prof. Stankiewicz ze składek parafian i innych pomocy.

W kaplicy w Ostrej Bramie nabożeństwa są na przemian po polsku i po litewsku. Cała kaplica mieni się od wot.

Kościół św. Anny jest stale otwarty. Za nim stoi kościół Bernardyński zamknięty i opuszczony. Niedaleko również nieczynny i zamknięty kościół św. Michała.

Na górze Zamkowej odrestaurowana jest wieża. Góra „Trzechkrzyska”, tuż obok, jest porośnięta drzewami, a Krzyży (dzieło Wiwulskiego) nie ma śladu. Pojechaliśmy na cmentarz „Rossa”. Tam pod wielką płytą z czar-

nego marmuru spoczywa serce Piłsudskiego i jego Matki. Na płycie leżały świeże kwiaty.

W katedrze jest teraz galeria dawnego malarstwa, głównie szkół francuskich i holenderskich, których ekspozycja zajmuje miejsce dawnych ołtarzy. Na szczęście zachowana jest kaplica królewska, zwana dawniej św. Kazimierza, pod narożną kopułą. Jest tam 8 srebrnych postaci królów, po dwa w każdym rogu. W środku pozostał srebrny baldachim, pod którym była dawniej trumna św. Kazimierza, znajdująca się obecnie w kościele św. św. Piotra i Pawła na Antokolu. W miejscu dawnego głównego ołtarza jest wejście do krypty, gdzie są urny ze szczątkami króla Aleksandra i Barbary, żony Zygmunta Augusta. Pod drugą kopułą katedry są zbiory muzealne.

Najwięcej słyzy się języka rosyjskiego, potem litewskiego, a najmniej polskiego. Chodziliśmy po sklepach chcąc kupić poszukiwane w Polsce towary. Trudno znaleźć coś atrakcyjnego. To co poszukiwane od razu jest wykupione. Zostały ograniczone zaproszenia do Polski i z powrotem, bo (jak mówiono) 'pociągi łamali się' od spekulantów”.

Z poważaniem,

Kornel KRZECZUNOWICZ

Monachium, 20 września 1977.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem czytam Pański miesięcznik, który odznacza się rozmachem, wysokim poziomem, szerokim horyzontem i obiektywnością w traktowaniu spraw zarówno międzynarodowych, jak i spraw sąsiadujących z Polską narodów. Te walory cechowały przede wszystkim artykuły śp. Juliusza Mieroszewskiego. Duch jego dalej działa w tym kierunku. Te wytyczne stosowane są także w artykułach o stosunkach polsko-ukraińskich, które można obserwować również w artykułach *Kultury* Nr 9/1977.

Ale w bardzo ciekawym i wnikliwym artykule Brukselczyka (Nr 9/1977) zauważyłem pomyłkę na str. 42 i nast. Brukselczyk pisze, że Aleksander Zagirniak, lat 19, i Genadi Seluzko, lat 21, którzy zmusili pilota sowieckiego do lądowania w Helsinkach, są Rosjanami. To twierdzenie jest mylne. Obaj młodzieńcy, nie są Rosjanami, tylko Ukraińcami, na co wskazują nazwiska, które są typowo ukraińskie. Taka jest ogólna opinia ukraińska (*Schlach Peremohy* z dnia 24. 7. 1977).

Chciałbym przy tej sposobności zwrócić uwagę Szanownego Pana Brukselczyka, że pierwsze nazwisko ukraińskie powinno być napisane „Zahirniak”, nie „Zagirniak”, albowiem Rosjanie wymawiają „h” jak „g” a za nimi inni transkrybują ukraińskie „h” jak „g”.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Włodimir MAKSYMOWYCZ

Monachium, 1977.

Szanowny Panie Redaktorze.

Nie po raz pierwszy w życiu p. Klaudiusz Hrabek pisze nieprawdę twierdząc, że dwukrotnie „odrzucił” współpracę z Komitetem Wolnej Europy

(Kultura Nr 9/360, 1977). W rzeczywistości stosując jego własną terminologię był pierwszym kandydatem na „najemnika amerykańskiego” płatnego w dolarach. Każdy może się o tym naocznie przekonać sięgając do pisma *Na Antenie* (wrzesień 1969), gdzie zamieszczone zostało zdjęcie podania K. Hrabyka do „National Committee for Free Europe” z dn. 20 listopada 1949 z dołączonym życiorysem kandydata oraz listem do J. A. Morrisona, urzędnika powstającej organizacji. Znalazło się w nim następujące zdanie:

„*Podam wyżej krótką charakterystykę moich kwalifikacji w nadziei, że mogą być dla Panów użyteczny. Jestem gotów w każdej chwili zaoferować swoje usługi jak również entuzjazm i wiarę w sprawiedliwość tej sprawy, o którą od tak dawna walczę.*”

Po ogłoszeniu zdjęć oryginalnych dokumentów Hrabyk przestał już wypierać się, że ubiegał się o pracę w Wolnej Europie, wystąpił natomiast z twierdzeniem, że podanie wycofał. I to również okazało się nieprawdą. W aktach personalnych FE, do których miałem dostęp, znajduje się ręczna adnotacja: „*podanie odrzucono z uwagi na negatywne opinie o przeszłości i charakterze kandydata. F.R.D.*” (Inicjały: Frederic R. Dolbeare, ówczesny wiceprezes Komitetu).

Po roku 1968, kiedy Hrabyk znalazł się w czołówce nagonki antysemitycznej, twierdził, że przez całe życie pozostał wierny swoim poglądom. W reży-mowej *Kronice* ukazującej się w Londynie pisał:

„*[...] jak długo, od pół wieku, jestem politycznie czynny nigdy nie sprzyjałem ani nie popierałem liberalizmu i demokracji parlamentarnej zawsze niezmiennie byłem zwolennikiem rządów monopartyjnych, nigdy rządów wielopartyjnych. [...] ...dlatego również powróciłem do Polski w roku 1959, gdzie rządy i odpowiedzialność spoczywają w ręku jednej partii. Pozostawałem i pozostaję bez przerwy od lat już pięćdziesięciu zdecydowanym przeciwnikiem liberatów wszelkiej maści i demokracji parlamentarnej w jakiegokolwiek, nawet najbardziej pośredniej postaci.*” (Kronika z 11 maja 1968).

Po powrocie do Polski Hrabyk znęcał się w paszkwilanekich, oszczerczych artykułach nad ofiarami prześladowań politycznych oraz w atakach na emigrację, *Kulturę* i RWE. Wystarczy przypomnieć jego nikczemną napaść na śp. Pawła Jasienicę (*Głos Pracy* z 27 marca 1968). Ataki na *Kulturę* i jej zespół wolał ogłaszać pod pseudonimami albo anonimowo. Tak więc w artykule „*Na dnie moralnym*” w *Kronice* podpisanym „*The Same*”, *Kultura* określona została jako ośrodek syjonistyczny rozwijający propagandę antypolską.

W maju 1975 *Kultura* zamieściła czarną listę polskiego dziennikarstwa zestawioną przez Stefana Kisielewskiego. Figurował na niej Klaudiusz Hrabyk. Wydaje się, że dopuszczenie go obecnie do głosu na łamach *Kultury* jest honorem o wiele mniej zasłużonym.

Prawie każde słowo Hrabyka w jego liście mija się z prawdą, nie wyłączaając informacji o jego „skromnych” dochodach w Polsce Ludowej. Nie zamierzam wdawać się w szczegóły. Wystarczy na zakończenie porównać słowa zawodowego paszkwilanta w podaniu do Komitetu Wolnej Europy w roku 1949, z tym, co pisał w 19 lat później.

„*[...] kiedy doszedłem do przekonania, że tylko komuniści polscy reprezentują obecnie rzeczywisty interes Polski i polską rację stanu, wróciłem do Polski Ludowej aby tu służyć sprawie mojej ojczyzny... Nie należąc do partii komunistycznej i wyznając nadal zasadnicze tezy mojego światopoglądu z dawnych lat — współdziałam z całym prze-*

konaniem i z całą stanowczą energią na rzecz dobra mojego kraju i narodu tak, jak współdziałalem na rzecz tego dobra przez całe długie moje życie.” (Kronika z 11 maja 1968).

Chyba wystarczy.

Łączę wyrazy szacunku,

Jan NOWAK

Londyn, 10 października 1977.

Szanowny Panie Redaktorze,

Artykuł p. Dominika Morawskiego „rozprawiający” się z jego dawnymi kolegami politycznymi wymaga wielu sprostowań, gdyż cytowane rzekome fakty mijają się z prawdą.

Trudno odpowiadać na cały długi artykuł krótkim listem. Ograniczę się więc tylko do kilku spraw, w których brałem udział, a które p. Morawski mylnie relacjonuje.

Prezes Popiel brał czynny udział w życiu politycznym o wiele dłużej niż „kilka lat temu” — można by powiedzieć prawie do końca 1976 roku, to znaczy do momentu, gdy się wyprowadził z mieszkania przy via A. Poerio. P. Morawski skraca skalę czasu pisząc o kryzysie personalnym p. M. Kwiatkowskiego i prof. Gläsera. Redaktor Kwiatkowski nie żyje już chyba około 10 lat i nigdy z Stronnictwa Pracy nie wystąpił. Prawdą jest, że istniały różnice zdań między nim a innymi członkami SP — z kim się p. Kwiatkowski nie różnił? Nie przynosi to zresztą ujmy ani jemu ani członkom SP, odwrotnie — może świadczyć tylko o dojrzałości politycznej i tolerancji obu stron.

Inaczej miała się sprawa z prof. Gläserem. Incydent miał miejsce około dwóch lat temu, kiedy prof. Gläser zawiadomił prezesa Popiela, że został honorowym członkiem Stronnictwa Ludowego. Nie wiedzieliśmy jak można być równocześnie w dwóch ugrupowaniach politycznych. O ile mi wiadomo, po wymianie listów między obu Panami prof. Gläser zrozumiał, że trudno jest pogodzić oba członkostwa i zrezygnował ze Stronnictwa Pracy. W tym samym zresztą czasie z zupełnie innych powodów w opalach był też sam p. Morawski. Tylko moje osobiste rozmowy z prezesem Popielem i innymi członkami oraz z p. Morawskim spowodowały, że pozostał on w SP. Prezes Popiel uważał, że nawet dziennikarzy-członków SP obowiązuje dyscyplina wewnętrzna i nie powinni poufnych rozmów osobistych poruszać w artykułach. Pan Morawski uważał inaczej. Tak sami obaj określali w rozmowach ze mną swoje stanowisko. Z aktywnego zespołu SP wszyscy poparliśmy prezesa Popiela. Byłem jednym z tych, który mimo to ten kryzys starał się załagodzić.

I jeszcze dwie inne sprawy. Na zebraniu w Brukseli nie było żadnego głosowania na temat wotum zaufania dla p. Sieniewicza. Odwrotnie, wszyscy uważaliśmy, że zebranie wyrównało różnice zdań jakie narosły w ciągu roku przedtem. P. Sieniewicz też bardzo jasno opisywał stan zdrowia Prezesa Popiela oraz stanowisko lekarzy, sprzeciwiających się nie tyle jego powrotowi do Polski, co odbyciu samej podróży, której mógłby nie wytrzymać bez względu na to jaki byłby rodzaj transportu. Rozważaliśmy na zebraniu możliwość wynajęcia części samolotu i odgrodzenia jej, tak aby można było utrzymać ciśnienie powietrza na poziomie jakiego wymagali lekarze, co w normalnym samolocie pasażerskim nie jest możliwe. P. Morawski widocznie ma krótką pamięć, skoro o tym już nie pamięta.

I ostatnia sprawa. Ani p. Sieniewicz nie usuwał mnie z zarządu wydaw-

nictwa „Odnowa” ani ja p. Sieniewicza. Nie było też żadnego kryzysu na temat kolportażu książek rosyjskich i ukraińskich. „Odnowa” nie zajmuje się żadnym kolportażem, nawet własne wydawnictwa rozprowadzane są przez księgiarnię „Orbis”, która nie ma nic wspólnego ze Stronnictwem Pracy. Prawdą jest natomiast, że w zarządzie „Orbisu” powstała różnica zdań na temat sprzedaży książek ukraińskich. Pan Sieniewicz uważał, że jest to finansowo ryzykowne, ja zaś że nie. W wyniku tej różnicy zdań p. Sieniewicz ustąpił z „Orbisu”. W perspektywie czasu muszę przyznać mu handlową rację. Próba sprzedaży w księgiarni książek ukraińskich nie dała oczekiwanych rezultatów. Inne sprawy pozostawiam kolegom z Stronnictwa Pracy, którzy lepiej je znali.

Łączę wyrazy szacunku i poważania,

J. KULCZYCKI

DO TYCH CO W DRODZE Z FRANCJI DO WOJSKA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII PRZESZLI PRZEZ HISZPANIĘ

Pragnąc opracować historię obozu w Miranda del Ebro oraz wyników ewakuacji przez Hiszpanię w ogóle, zwracam się z prośbą do byłych więźniów w Mirandzie lub innych więzień Hiszpanii, oraz do tych którzy zdołali przez ten kraj przejść bez „kwarantanny”, o przysłanie pod niżej podanym adresem opisu zaznaczonych, albo z wiarogodnych ust zasłyszanych faktów.

Opublikowane dotąd wspomnienia z pobytu w obozie Miranda przez Alfonsa Jacewicza i Bolesława Wysockiego są niepełne i zawierają nieścisłości, wydaje się więc potrzebne dokładniejsze opracowanie tematu.

W szczególności chciałbym skomunikować się z mjr. SNARSKIM, inż. LANGIEM, por. PASZKE, por. MATYJASZEWSKIM.

Zygmunt KIERSNOWSKI

Brasil 126

161 — Don Torcuato, BA, Argentine.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Karol Z., *Polska*. Przesłane sztuki teatralne są bardzo słabe. Nie wykorzystamy.

Stanisław R., *Polska*. Wiersze bardzo słabe. Nie wykorzystamy.

Aleksander R., *Polska*. Wiersze bardzo słabe. Nie wykorzystamy.

Dokumenty

LIST PRYMASA POLSKI NA XXXIII TYDZIEŃ MIŁOSIĘRDZIA w dniach 2-8 października 1977

Trzydziesty trzeci Tydzień Miłosierdzia w Kościele świętym w Polsce pragniemy spędzić w rozważaniach, modlitwie i czynnej miłości bliźnich, zgodnie z programem duszpasterstwa ogólnego — „Człowiek w Kościele”. Ten program chcemy uszczegółowić w słowach: „Miłosierdziem budujemy Kościół Boży”.

1. Może powstać pytanie: czy rzeczywiście tak jest, że światu współczesnemu ciągle potrzeba miłosierdzia?

Wiemy przecież, że Ojciec Niebieski „w mądrości i miłości stworzył wszystkie swoje dzieła... stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje i powierzył mu cały świat, aby służąc Bogu, jako stwórcy, rządził wszelkim stworzeniem” (IV Modlitwa Eucharystyczna). Z tego pokrewieństwa ze Stwórcą człowiek wnosi z istoty Boga wielkie właściwości i potrzeby: pragnienie prawdy i mądrości Bożej; pragnienie miłości z istoty Boga, który jest Miłością; pragnienie sprawiedliwości i pokoju. Te moce nieustannie dochodzą do głosu w życiu ludzkim. Mogłoby się więc wydawać, że powinny wystarczyć, jako wielkie siły Boże, porządkujące świat w miłości, sprawiedliwości i pokoju.

I tak mogłoby być, gdyby życie człowieka nie ulegało zniekształceniu, na skutek nieposłuszeństwa. Dobry Bóg i Ojciec nie chciał nas jednak pozostawić bez pomocy. I wtedy Ojcowej miłości i sprawiedliwości przyszedł na pomoc Boże miłosierdzie: „W miłosierdziu pośpieszyłeś z pomocą wszystkim ludziom, aby Ciebie szukali i znaleźli” (IV Modlitwa Eucharystyczna). Ojciec posłał na świat swojego Syna, aby nas zbawił. On to „ubogim głosił dobrą nowinę, o zbawieniu — jeńcom wyzwolenie, a smutnym radość”. Dokonał tego przez śmierć i zmartwychwstanie swoje, przez które zwyciężył śmierć i odnowił życie” (IV Modlitwa Eucharystyczna).

Gdy więc pełna miłość jest dla nas tak trudna, że ograniczamy ją do wąskiego grona najbliższych; gdy wysiłki ludzi, by zapanowała na ziemi sprawiedliwość, zawodzą — trzeba uruchomić Boże miłosierdzie, które rodzi się na pograniczu miłości i sprawiedliwości.

2. Krytyczni obserwatorzy postępowania Chrystusa pytali ongiś Jego Uczniów: „Czemu to Nauczyciel wasz jada z celnikami i grzesznikami?” (Mt 9, 11). Nie wiedzieli, że „zamysły Jego Serca trwają przez pokolenia, by wyrwać ich dusze od śmierci i w czasie głodu ich żywić” (Ps 32, 11, 19). On to wzywał rzesze: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i uginacie się pod ciężarem, a Ja was pokrzepię” (Mt 11, 29-28).

Chrystus sam o sobie mówił, że Bóg posłał Go, aby przepowiadał Ewangelię ubogim, aby „leczył chorych i skruszonych sercem”. Chociaż więc „Bóg jest Miłością”, chociaż „przez Miłość posłał Syna swego na świat”, aby zapanowała tu Boża sprawiedliwość, to jednak są to moce Boga, które Jego naśladowcom udzielają się w skromnym wymiarze. A życie wymaga, by zanim te cnoty przyjmą się i rozwiną w pełnym wymiarze, już działał na świecie owoc, który Bóg wyprowadził z pogranicza swojej miłości i sprawiedliwości — z miłosierdzia.

3. „*Miłosierdziem budujemy Kościół Boży*”. Przeciwno tej cnotce zawsze buntowały się duchy ożywione dobrą wolą zabezpieczenia własnymi siłami wszystkim sprawiedliwości na świecie. A jednak, jakoś to nam nie wychodzi do dziś dnia. Raz po raz podrywają się przewroty społeczne, pod hasłem sprawiedliwości i równości dla wszystkich. Chociaż może postąpimy krok naprzód, daleko nam do ideału, który sobie wymarzyli społeczni reformatorowie.

Kościół nie czekał na wyniki wysiłków ludzkich. Czerpiąc z miłości Ojca do ludzi, łagodził od początku niesprawiedliwość społeczną przez to, że chciał naprzód doprowadzić ludzi do sprawiedliwości fundamentalnej — wobec Ojca Niebieskiego. Tak zaczął Chrystus na Krzyżu, a przez swój Kościół stale pogłębia w dziejach ludzkości miłość i sprawiedliwość społeczną. Trwa to wieki całe, bo Kościół „zbawia świat dwudziesty już wiek”.

„*Miłosierdziem budując Kościół Boży*” — usiłujemy przekonać się wzajemnie, że chrześcijanin wtedy jest prawdziwym uczniem Chrystusa, gdy w życiu kieruje się miłością, pełni uczynki miłosierdzia i w ten sposób buduje wspólnotę Kościoła.

4. *Wielka Miłość znajduje swoje przybliżenie do ludzi przez uczynki miłosierdzia*. To miłosierdzie łagodzi także bezwzględną sprawiedliwość. Jest to bolesna tajemnica świata, który bez pomocy Chrystusa nie jest zdolny dać ludziom ani upragnionej miłości, ani zaprowadzić sprawiedliwości. Równowagę między tym programem Bożym a rzeczywistością świata wprowadza nieustannie Kościół, który od początku widział niedolę ludzką i zaradzał niedostatkom, wywołanym brakiem pełnej miłości i sprawiedliwości.

I oto widzimy od początku w Kościele Chrystusa *dzieła miłosierdzia*. Uzupełniały one niedostatki i nieudolność ludzkiego działania. Tak również wygląda w pracy Kościoła całe dzieło *pojednania z Bogiem*, w Chrystusie Jezusie — sprawowana Ofiara pojednania, oraz pokuta sakramentalna, w której ludzie otrzymują przebaczenie i zachętę: „Idź w pokoju, nie grzesz więcej”.

Tym również tłumaczy się, że Kościół nie opuszczał rozległego pola niedoli ludzkiej. Chociaż przepowiadał Ewangelię miłości, sprawiedliwości i pokoju — wiedział, że najlepiej urządzony świat „będzie miał zawsze ubogich pośród siebie”, pokrzywdzonych, chorych, nieudolnych, obciążonych skutkami grzechów, niepowodzeń, pomyłek i ofiar nieładu życia osobistego czy też społecznego. Wiemy, że nie tylko wojny mnożą szeregi ludzi nieszczęśliwych, ale też przemiany społeczne, gospodarcze i polityczne. W tych sytuacjach *miłość współczująca niedoli ludzi*, płynąca z Boga i dla Boga, mająca wymiary nadprzyrodzone, jest niezastąpionym narzędziem wyrównania życia i współzycia. A to jest właśnie miłosierdzie *chrześcijańskie*. Nie trzeba

uważać go za rzecz zbędną, wstydlivą, jakby niegodną naszych czasów. Wprost przeciwnie, bo różne przemiany nie wszystkich ludzi chronią przed niedolą. Ktoś musi stawać przy tych ofiarach, podać im rękę, dodać otuchy, by nie mieli, że idą na straty życia publicznego.

5. *Rozliczne są tereny życia, na których widać te ofiary*. Bo jeśli weźmiemy pod uwagę teren reform ideologicznych, to już tutaj widzimy mnóstwo ofiar. Do nich należą ludzie, którzy nie chcą się rozstać ze swoim światopoglądem, wyznawaną wiarą w Boga, w przekonaniu, że zachowanie *wolności sumienia* jest podstawowym prawem i obowiązkiem człowieka. I właśnie tutaj spotkać można ludzi bez środków do życia, często dlatego, że mieli „*odwagę myśleć samodzielnie*”. Tu spotykamy *rodziców*, których dzieci są ateizowane przez programy szkolne, a nawet demoralizowane przez doświadczenia wychowawcze. Tu spotykamy *młodzież i dzieci*, które wychowywane są bez Boga dlatego, że ich rodzice albo sami nie znają Boga, albo boją się przyznać do Niego, albo też wręcz zabraniają dzieciom kontaktu z Kościołem, z religią, z katechizacją, z modlitwą w świątyniach. Gdy kapłani przysłuchują się wypowiedziom proszących o chrzest młodych ludzi, mają możliwość widzieć całe okrucieństwo tych, których zadaniem jest zasłonić młode pokolenie przed Bogiem i Kościołem. Ciężko o tym mówić, bo nieraz trudno znaleźć wiarę, że tak jest!

6. *Przejdźmy na inny odcinek współczesnego życia ludzkiego*. Są to udręki ludzi wysiedlonych z własnych siedzib, skromnych domków podmiejskich, gdzie ma powstać wysoka zabudowa czy fabryka, zaplanowana bez względu na ludzkie skromne, życiowe osiągnięcia. Ile płaczu, łez, narzekań, a może i przekleństw sływa na pozbawionych serca ludzi, którzy planują rozbudowę, a dla których wyburzenie całych osiedli nie ma żadnego znaczenia, chociaż w wielu wypadkach można by to rozwiązać mniejszym kosztem łez i męki ludzkiej. Kapłani, którzy odwiedzają z posługą duszpasterską wieżowce, lub osiedla skazane na wyburzenie, wiedzą, ile tutaj mieści się męki, a nawet samobójczych odruchów. Ileż serca potrzebują ci ludzie, ile współzucia, ujęcia się za nimi, a może i głośnego wołania — by konieczne plany budowlane przeprowadzać bez krzywdy i łez.

7. *Jeszcze jeden teren codziennego życia ludzkiego: to warunki zaopatrzeniowe obywateli*. Bodaj na żadnym odcinku nie nagromadziło się tyle upokorzeń, poniżeń, co właśnie tutaj, i to na co dzień. Umiemy podejmować *wielkie plany gospodarcze*, umiemy budować luksusowe *gmachy reprezentacyjne*, umiemy pracować *na eksport*, na wszystkie krańce globu. Ale nie zawsze pomyślimy o tym, że ludzie muszą co dzień jeść, wobec czego muszą istnieć przyzwoite miejsca sprzedaży żywności i musi być łatwy dostęp do chleba, mięsa i mleka, bez straty wielu godzin czasu, zdrowia i sił. To przedziwne widowisko długich ogonków, stojących całymi godzinami kobiet, niekiedy z małymi dziećmi na rękę, te brudne sklepy, w których zdenerwowani sprzedawcy oganiają się przed zagniewanymi ludźmi — to wszystko wymaga rychłej odmiany. Czy myślimy, jak tym ludziom ułatwić życie i przyjść z pomocą?

8. *Sama organizacja pracy jest terenem, gdzie niedoceniona jest miłość bliźniego, czy sprawiedliwość społeczna, gdzie pozostaje tylko jedna moc duchowa — współzucie, litość, miłosierdzie*. Przecież od nas zależy ochrona i organizacja pracy we własnej Ojczyźnie! Od nas zależy czuwanie, by ludzie nie wyniszczali sił i zdrowia przez to, że normy, eksport i kontrakt więcej znaczą, niż możliwości fizyczne człowieka, z naruszeniem przepisów o czasie pracy. Od nas zależy, by ludzie nie byli pobudzani do pracy w godziny nadliczbowe, czy w niedzielę i święta, jak w górnictwie, w nadziei na większe zarobki. Bo cóż pomogą te zarobki, jeśli człowiek zniszczy zdrowie i

przedwcześnie pomnoży liczbę inwalidów, czy ofiar źle zorganizowanej pracy? Wołamy więc do organizatorów, kierowników i nadzorców pracy milionów ludzi: miejcie litość nad własnym ciałem! Nie dopuszczajcie do takiego marnowania sił ludzkich, by pracownicy nie byli już zdolni do niczego, chyba do biernego oporu, lub do niesumienności w pracy.

9. *Wróćmy na odcinek życia rodzinnego.* Ileż tu jest sposobności do okazania współczucia i miłosierdzia, gdy zabraknie miłości i uczuć ludzkich, gdy zacznie władać samolubstwo. A tak często bywa! Raduje nas widok ojca z dzieckiem na ręku, ale smuci ojciec nietrzeźwy, tyran domowy, przed którym drży żona i dzieci. Raduje nas liczna rodzina, jako największe bogactwo Narodu, ale smuci wygasłe ognisko i pusta kołyska. Radują nas rodzice, którzy umieją podzielić swój czas między pracę zawodową i wychowanie dzieci w rodzinie, ale smucą takie matki, które wyżej stawiają pracę poza domem, niż uruchomione serce macierzyńskie dla owoców swego łona. Zapewne, Polska potrzebuje rąk do pracy, ale Polska potrzebuje też i matek!

Szczególne współczucia i pomocy wymaga rwący się w świat mały człowiek, który oczekuje samodzielności pod sercem matki. Trzeba uznać za okrucieństwo i pospolite morderstwo tak zwane „spędzanie płodu”, dokonywane przez bezmyślne matki, niektórych ginekologów, lub też położne. — Nauka coraz bliżej ujawnia nam tajemnice życia małego człowieka w łonie matki, który już w kilka tygodni od poczęcia, jest w pełni rozwoju. Serce burzy się na myśl, że ta istota, mająca prawo do życia i do własnych dziejów, musi zginąć. Wzruszają nas „Listy do Matki” i „Listy do nienarodzonego dziecka”, ogłaszane w prasie (*Życie i myśl*).

10. *Dziś współczucia i litości „nad samym sobą”* oraz pomocy naszej wymaga niejeden człowiek, który zabrnął w nałogi i stał się niewolnikiem alkoholizmu, nikotynizmu, narkomanii czy też rozwiązłości. Gdy człowiek nie jest już zdolny sam bronić się przed sobą, musi go otoczyć „sprzysiężenie miłości”, by podać mu rękę i wyprowadzić z niedoli. To są też ludzie, dla których Bóg jest Miłością. Jeśli nie chcemy, by Bóg stał się samą sprawiedliwością — musimy z sercem zbliżyć się do ludzi nieszczęśliwych, udręczonych warunkami bytowania i pracy, czy też własnymi nałogami i złymi upodobaniami. Choćby w oczach otoczenia ci ostatni nie zasługiwali na współczucie i pomoc — pamiętajmy, że Bóg z nikogo nie rezygnuje, dla wszystkich jest Miłością, i ktoś musi stać się dla nich życzliwym przewodnikiem w drodze powrotnej do Ojca i do nowego człowieczeństwa. Może najwięcej miłosierdzia potrzebują ci ludzie, którzy już nie wierzą w Miłość i boją się sprawiedliwości Bożej. Jeżeli Chrystus nie chce nikogo się wyrzec i wybrać śmierć wśród ludzi nieszczęśliwych to i nam nie wolno unikać ludzi zablakanych i wydawać na nich wyroków, jakbyśmy zapomnieli, że nikt z nas nie jest bez grzechu. Jeżeli „miłosierdziem budujemy Kościół” — to właśnie do Chrystusowego Kościoła trzeba doprowadzać tych „złe się mających”, dla których tylko Chrystus jest Lekarzem.

11. *Dziś miłosierdzia Bożego potrzebuje także nasz ochrzczony Naród, odwołany od miłości Boga i nieraz wątpiący w to, czy jest jeszcze na świecie sprawiedliwość między narodami.* Nie każdy ma odwagę upomnieć się dla Narodu o prawo do Boga, do miłości, do wolności sumień, do dziejów, kultury i dziedzictwa rodzinnego. Nie każdy poczuwa się do obrony tyłu zagrożonych wartości naszej kultury chrześcijańskiej, którą usiłuje się przemleć w młynie bezdusznej dialektyki materialistycznej. Nie każdy pamięta o tym, co zawdzięczamy każdemu Narodowi i co powinniśmy mu świadczyć. A przecież nie wolno tworzyć „dziejów bez dziejów”; nie wolno zapomnieć o Tysiącleciu naszej ojczyzny i chrześcijańskiej drogi; nie wolno sprowadzać Narodu na poziom „zaczynania od początku”, jak gdyby, tu w Polsce,

dotąd nic wartościowego się nie działo; nie wolno milczeć, gdy na ostatni plan w wychowaniu młodego pokolenia spycha się kulturę rodzimą, jej literaturę i sztukę, jej wypróbowaną moralność chrześcijańską, oraz związek Polski z Kościołem Rzymskim i z przyniesionymi do Polski wartościami Ewangelii, Krzyża i mocy nadprzyrodzonych. Nasza godność narodowa wymaga, byśmy oparli się tej zarozumiałości, z jaką lekceważone jest wszystko, co polskie, na rzecz tak nam obcego importu.

Jeżeli w czym mamy okazać sprawiedliwość Ojczyźnie, to właśnie w tym, by nie odchodzić od niej w chwilach próby, ale mężnie stać na straży wspólnych nam wartości, wypracowanych przez wieki w pracy rolników, robotników i rzemieślników, mężów nauki, mistrzów i artystów, kapłanów i wychowawców, pracujących piługiem, młotem, piórem, żywym słowem i na kolanach.

12. *Rzetelność w naszej codziennej pracy jest także wielce doniosłym wkładem w nasze życie,* które musi żyć z miłości i sprawiedliwości, a uzupełniane ma być miłosierdziem.

Pomyślcie, jak daleko jest do stosowania tej cnoty w pracy zawodowej, wychowawczej, czy politycznej?

A jednak, proszę pamiętać o tych, którzy za ciężko zapracowane pieniądze otrzymują bezwartościowe produkty, wbrew umowie społecznej: — „daję ci, byś i ty dał”. Wszyscy pracujemy wzajemnie za siebie. Jeżeli oddajemy społeczeństwu nasze trudy i doświadczenia, naszą rzetelną wiedzę, czas i siły, mamy prawo otrzymywać wszędzie dobra równowartościowe. Grzechem jest wyrządzać krzywdę bliźnim, pozbawiając ich prawa do rzetelnych owoców pracy zawodowej i społecznej. Wszędzie tu trzeba pamiętać o przykazaniu Bożym, byśmy „pracowali nie jako sobie, lecz jako Bogu”; abyśmy pracując pamiętali o Braciach, którzy będą posługiwali się owocami naszej pracy, jak my posługujemy się owocami ich pracy. Rzetelność za rzetelność, uczciwość za uczciwość, wartość za wartość — to wymiana sprawiedliwości, która też musi rządzić się zasadami moralności chrześcijańskiej oraz zwykłej uczciwości życia i współżycia.

13. *Wreszcie — na zakończenie tego rozszerzonego tematu —* trzeba powiedzieć i to, że ani najwierniej pracujący Kościół, jego Biskupi i kapłani, ani najlepiej zorganizowane Państwo, ani ci wszyscy, którym stawiamy wymagania — nie są w stanie dokonać odnowy naszego życia domowego, gdy sami staniemy z boku, w pozycji krytyki i gdy będziemy beczynnie oczekiwać, aż inni wszystko za nas zrobią.

To my musimy przyłożyć rękę do pług. To my musimy zdobywać się na rzetelniejszą miłość w Bogu, ku ludziom; to my — na każdym odcinku życia — musimy rządzić się sprawiedliwością. Tylko to da nam prawo do wymagania miłości i sprawiedliwości wobec nas.

Tylko wtedy możemy liczyć na miłosierdzie, gdy nie zdołamy własnymi siłami wypełnić uczynków miłości i sprawiedliwości. Tylko wtedy „Miłosierdziem budujemy Kościół Boży”, tylko wtedy pomagamy dzieciom Ojczyzny, rodziny, domownikom wiary, wszystkim oczekującym pomocy, współczucia i wyrozumienia.

Oto, Najmilsi, właściwy sens naszej pracy w Tygodniu Miłosierdzia. Musi ona jednak przedłużyć się i ogarnąć współczesne potrzeby naszego życia.

Gożąco pragnę, aby te myśli były rozwijane w ciągu „Tygodnia Miłosierdzia”. W tym celu, proszę, aby ten list był w urawkach odczytywany w czasie różnych spotkań w modlitwie Ludu Bożego. Przyniesie to większą korzyść, niż jednorazowe odczytanie całego Listu.

Wszelkim, szlachetnym poczynaniom Duchowieństwa i Wiernych zmierzającym do zbliżenia miłosierdzia chrześcijańskiego do codziennego życia z serca błogosławie.

Warszawa, w miesiącu sierpniu 1977.

(—) † *Stefan Kardynał Wyszyński*
Prymas Polski

Zarządzenie

Aby myśli tu zawarte mogły spokojnie dotrzeć do Wiernych, proszę Przewielebnych Duszpasterzy, aby List Prymasa Polski był odczytany w części pierwszej w niedzielę 2 października br., a reszta w czasie nabożeństwa w ciągu tygodnia.

Warszawa, 2 września 1977 r.

(—) *Biskup Jerzy Modzelewski*
Wikariusz Generalny

KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

29 września 1977 r.

UCHWAŁA

Komitet Obrony Robotników powstał 23 września 1976 roku w celu niesienia pomocy prawnej, finansowej i lekarskiej represjonowanym po czerwcowych strajkach i demonstracjach. KOR domagał się bezwarunkowego amnestionowania skazanych za udział w demonstracjach, przywrócenia do pracy zgodnej z kwalifikacjami wszystkich wyrzuconych, przywrócenia im ciągłości pracy i wszelkich innych uprawnień zawodowych i społecznych, ujawnienia pełnych rozmiarów zastosowanych represji i wszystkich innych okoliczności związanych z protestem robotniczym 25 czerwca 1976 roku, ujawnienia i ukarania osób winnych naruszenia prawa, torturowania itp. powołania przez Sejm PRL Specjalnej Komisji Poselskiej do bezstronnego zbadania budzących niepokój społeczny problemów. Po spełnieniu tych postulatów KOR straci rację dalszego istnienia.

Wszyscy aresztowani uczestnicy wydarzeń 25 czerwca 1976 roku znajdują się już na wolności. Większość wyrzuconych ponownie zatrudniono, jednak poza nielicznymi przypadkami na znacznie gorszych warunkach, bez zachowania ciągłości zatrudnienia. Nie został spełniony postulat oficjalnego ujawnienia zakresu represji i osób odpowiedzialnych za torturowanie i inne formy łamania praworządności. Sejm PRL pozostał głuchy na głosy opinii publicznej, domagającej się powołania Specjalnej Komisji Poselskiej dla bezstronnego zbadania wszystkich okoliczności związanych z czerwcowymi zajęciami. Głównym celem KOR'u było niesienie pomocy prawnej, finansowej i lekarskiej ofiarom represji poczerwcowych. Akcja ta została w znacznej części zakończona, jakkolwiek w pewnej liczbie przypadków pomoc jest nadal konieczna. Równocześnie jednak w toku działania KOR'u zgłosiło się do niego wiele osób represjonowanych z powodów politycznych, nie związanych z wydarzeniami czerwcowymi, szukających pomocy w walce o swoje prawa. Nasunęło się szereg problemów związanych z niepraworządnym działaniem Służby Bezpieczeństwa, Milicji Obywatelskiej, wymiaru spra-

wiedliwości, więziennictwa itp. KOR nie mógł się uchylić od podjęcia tych ważnych społecznie zadań. Znalazło to między innymi wyraz w powołaniu Biura Interwencyjnego i zapowiedzi utworzenia Funduszu Samoobrony Społecznej.

W tej sytuacji my, niżej podpisani uznajemy za konieczne rozszerzenie zadań i działalności Komitetu. Postanawiamy przekształcić KOR w Komitet Samoobrony Społecznej. Komitet Samoobrony Społecznej „KOR” domagać się będzie spełnienia niezrealizowanych do chwili obecnej postulatów Komitetu Obrony Robotników, udzielać pomocy tym spośród ofiar czerwcowych represji, którzy pomocy tej nadal potrzebują.

Zadaniem Komitetu Samoobrony Społecznej „KOR” będzie:

1. Walka z represjami stosowanymi z powodów politycznych, światopoglądowych, wyznaniowych, rasowych i udzielanie pomocy ludziom z tych powodów prześladowanym.
2. Walka z łamaniem praworządności i pomoc pokrzywdzonym.
3. Walka o instytucjonalne zabezpieczenie praw i wolności obywatelskich.
4. Popieranie i obrona wszelkich inicjatyw społecznych, zmierzających do realizacji praw człowieka i obywatela.

Roczna działalność KOR'u udokumentowała tragiczny stan samorządności w Polsce. Odnosi się to przede wszystkim do nadużyć władzy przez organa ścigania, więziennictwo, także sądy i kolegia. Będziemy kontynuować nasze działania ponieważ jesteśmy przekonani, że najskuteczniejszą bronią w obliczu przemocy rządzących jest czynna solidarność obywateli. Głównym bowiem źródłem samowoli władzy i bezbronności społeczeństwa jest brak instytucji niezależnych od państwa a chroniących prawa jednostki i grup zgodnie z ich interesami.

- Jerzy Andrzejewski, Warszawa, ul. Świerczewskiego 53 m. 4, tel.: 19-82-61.
 Stanisław Barańczak, Poznań, ul. Kościuszki 110 m. 9, tel.: 55-441.
 Bogdan Borusewicz, Sopot, ul. 23 Marca 96 m. 24.
 Mirosław Chojecki, Warszawa, ul. Sarbiewskiego 2 m. 47, tel.: 33-25-07.
 Ludwik Cohn, Warszawa, Koszykowa 14 m. 6, tel.: 28-51-50.
 Ks. Zbigniew Kamiński, Milanówek, ul. Kościuszki 41, tel.: 58-35-42.
 Jan Kielanowski, Warszawa, ul. Opoczyńska 4b m. 12, tel.: 49-08-94.
 Anka Kowalska, Warszawa, ul. Estońska 4, tel.: 17-53-07.
 Jacek Kuroń, Warszawa, ul. Mickiewicza 38 m. 64, tel.: 39-39-61.
 Edward Lipiński, Warszawa, ul. Rakowiecka 22a m. 26, tel.: 49-50-17.
 Jan Józef Lipski, Warszawa, ul. Konopczyńskiego 4 m. 9, tel.: 27-38-72.
 Antoni Macierewicz, Warszawa, ul. Kludyny 34 m. 126.
 Adam Michnik, Warszawa, al. Przyjaciół 9 m. 13, tel.: 28-43-55.
 Halina Mikołajska, Warszawa, ul. Marszałkowska 10/16, tel.: 21-54-37.
 Piotr Naimski, Warszawa.
 Wojciech Onyszkiewicz, Warszawa, ul. Anielewicza 15, tel.: 31-71-68.
 Antoni Pajdak, Warszawa, ul. Śliska 10 m. 76.
 Józef Rybicki, Milanówek, ul. Okólna 17a, tel.: 58-35-51.
 Józef Sreniowski, Łódź, ul. Laurowa 2.
 Aniela Steinsbergowa, Warszawa, ul. Boya-Zeleńskiego 4a m. 26, tel.: 26-32-95.
 Adam Szczypiorski, Warszawa, ul. Parkowa 13/17 m. 141, tel.: 41-24-72.
 Wacław Zawadzki, Warszawa, ul. Stoleczna 3, tel.: 39-85-92.
 Ks. Jan Zieja, Warszawa, ul. Dobra 59 m. 13.

Warszawa, 29 września 1977 r.

OŚWIADCZENIE KOMISJI OBYWATELSKIEJ W SPRAWIE ROCZNEJ DZIAŁALNOŚCI KOR'U

Komitet Obrony Robotników zwrócił się do niżej podpisanych: Władysława Bienkowskiego, Andrzeja Kijowskiego i Stefana Kisielewskiego z prośbą, by spełnili rolę czynnika społecznej kontroli nad całokształtem działalności KOR'u. Spełniając ten dezyderat niżej podpisani, zapoznawszy się z materiałami sprawozdawczymi oraz z istniejącą dokumentacją, stwierdzają co następuje:

1. Komitet Obrony Robotników powstał w dniu 23. 9. 1976 r. w Warszawie. Przyczyną utworzenia KOR'u były szerokie represje i wyraźne naruszenie praworządności po wydarzeniach w czerwcu 1976 roku, w odpowiedzi na co istniała już w kraju spontanicznie podejmowana akcja pomocy prześladowanym. O swoim zawiązaniu KOR powiadomił niezwłocznie Sejm PRL w osobie Marszałka Stanisława Gucwy.

2. Do dnia zamknięcia swojej działalności KOR przekazał dotkniętym represjami i potrzebującym pomocy robotnikom łączną sumę zł 3.251.300, pochodzącą z dobrowolnych ofiar krajowych i zagranicznych.

3. Udzielanie pomocy finansowej KOR opierał na informacjach zbieranych przez licznych, ofiarnych współpracowników. Ewidencją objęto razem 943 rodziny z Ursusa, Radomia, Łodzi, Płocka, Grudziądza i Gdańska.

4. Uzyskane materiały obrazują zakres represji, skutki społeczne i moralne, ujawniają samowolę aparatu ścigania i odsłaniają nieprawidłowości w funkcjonowaniu wymiaru sprawiedliwości oraz luki w ustawodawstwie. Badania KOR'u przyniosły poza tym cenne wyniki dla poznania położenia materialnego rodzin robotniczych, zwłaszcza najuboższych.

5. Członkowie Komitetu oraz jego współpracownicy uczestniczyli w rozprawach sądowych, toczących się przeciwko oskarżonym o udział w strajkach i demonstracjach 25 czerwca 1976, niosąc w ten sposób wsparcie moralne oskarżonym. Pomagali ich rodzinom w uzyskaniu pomocy prawnej i lekarskiej pokrywając konieczne koszty. Uświadamiali też oskarżonych i ich rodziny co do przysługujących im uprawnień.

6. W wydawanych regularnie komunikatach KOR informował obszernie opinię publiczną o swej działalności, o przebiegu procesów i zapadających wyrokach oraz o wszystkich innych formach represji stosowanych wobec uczestników wydarzeń czerwcowych a także wobec członków i współpracowników Komitetu. Prostował ponadto fałszywe wiadomości podawane przez środki masowego przekazu oraz podawał do wiadomości publicznej nazwiska osób szczególnie wyróżniających się w aktach gwałcenia prawa i prawdy.

7. KOR zwracał się do najwyższych władz państwowych, w tym do Sejmu PRL z apelami o położenie kresu bezprawiom i gwałtom oraz o zaprzestanie represji w stosunku do robotników i ich rodzin, o pełną i bezwarunkową amnestię dla wszystkich uczestników zająć dnia 25 czerwca 1976 roku oraz o przywrócenie im pracy na poprzednich warunkach. Zwracał się również do instytucji charytatywnych, a mianowicie: do ZG Polskiego Czerwonego Krzyża, do ZG Towarzystwa Przyjaciół Dzieci oraz do Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej o pomoc dla rodzin, których położenie materialne pogorszyło się dotkliwie wskutek uwiecznienia jedynych źlecieli lub pozbawienia ich pracy. W większości wypadków apele te pozostawały bez echa.

8. W związku z napływającymi do Komitetu skargami i prośbami o pomoc w sprawach nie mających bezpośredniego związku z wypadkami 25 czerwca 1976 KOR utworzył Biuro Interwencyjne przydzielając odpowiednie środki.

9. Członkowie Komitetu Obrony Robotników oraz jego współpracownicy wykonywali bezinteresownie wszystkie prace związane z jego działalnością. Wielu z nich doznało szykan, represji i prób zastraszenia. Zdarzały się wypadki dotkliwego pobicia bądź przez nieznanymi osobnikami, bądź przez funkcjonariuszy aparatu ścigania. Skonfiskowano im wiele razy poważne sumy pieniędzy pochodzące ze składek oraz maszyny do pisania stanowiące ich własność prywatną, w mieszkaniach ich dokonywano rewizji. 6 członków KOR oraz 5 jego współpracowników zostało przetrzymanych w areszcie śledczym przez okres przeważnie 2-ch miesięcy z wyjątkiem dwóch osób, zwolnionych wcześniej z powodu choroby. Wielu członków Komitetu obciążono znacznymi grzywnami pieniężnymi.

Niżej podpisani stwierdzają, że Komitet Obrony Robotników postępował zgodnie z wyznaczonymi sobie celami i zasadami, niósł doraźną pomoc potrzebującym i poruszył opinię publiczną, nie naruszając praw PRL stworzył nowe formy działania zbiorowego, samopomocy społecznej oraz w zbieraniu i rozpowszechnianiu informacji, przyczynił się do duchowego zespolenia się społeczeństwa polskiego wokół zakorzenionych w jego tradycjach ideałów godności i wolności osobistej, solidarności społecznej, praworządności i jawności życia publicznego. Przełamał bariery dzielące środowiska, światopoglądy i generacje.

Po zapoznaniu się ze stanem funduszy pozostających w dyspozycji Komitetu Obrony Robotników, niżej podpisani uważają za uzasadnione przekazanie ich na Fundusz Samoobrony Społecznej, na cele uzasadnione uchwałą o powołaniu Biura Interwencyjnego.

Władysław Bienkowski
Andrzej Kijowski
Stefan Kisielewski

KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

Warszawa, 31 sierpnia 1977.

KOMUNIKAT NR 13

Poprzedni komunikat zakończyliśmy wiadomością, że dn. 23 lipca 1977 w wyniku podjętej przez Radę Państwa uchwały o amnestii z więzienia zwolniono robotnika z Ursusa, Marka Majewskiego oraz wszystkich członków i współpracowników KOR'u, przeciw którym śledztwo jednocześnie zostało umorzono. Do informacji tej dodać należy, że następnie uwolniono robotników Czesława Chomiczkiego, Wacława Skrzypka, Józefa Smagowskiego, Zygmunta Zabrowskiego i Adama Zukowskiego.

Spośród 6 uwolnionych robotników z Radomia i Ursusa pracę podjął już A. Zukowski: zarabia w tej chwili więcej niż przed 25 czerwca 1976 (jest robotnikiem niewykwalifikowanym). M. Majewskiemu Biuro Pośrednictwa Pracy zaproponowało pracę mechanika. Z. Zabrowski, który w więzieniu od 8 maja br. do momentu zwolnienia nieprzerwanie głodował na znak protestu (przymusowo odżywiany) stracił ponad 30 kg., opuścił więzienie w bardzo złym stanie zdrowia i obecnie przebywa w szpitalu. O sytuacji pozostałych robotników z Radomia nie mamy jeszcze pełnych informacji.

1. PO AMNESTII

Obecnie kwestią największej wagi jest przywrócenie wszystkim represjonowanym pracy zgodnej z ich kwalifikacjami, ciągłości pracy i wszelkich uprawnień zawodowych i społecznych, a także powrót ich do normalnego życia, niezakłócanego szykanami przez MO i SB.

Nie zgromadziliśmy jeszcze niezbędnych informacji, umożliwiających złożenie odpowiedzialnego raportu z aktualnego stanu rzeczy. Raport taki złożymy w komunikacie wrześnieowym.

Żuż dzisiaj wiadomo jednak, że dotychczas władze nie poczyniły zadoawalających kroków w sprawie należytego zatrudnienia i płac robotników, wyrzuconych z pracy po czerwcu 1976. Ci, którzy przyjęci zostali do pracy w poprzednich miesiącach (z wyjątkiem bardzo nielicznych) pracują nadal na warunkach znacznie gorszych niż przed strajkiem. Przypominamy, że przeciętny zarobek wielu wykwalifikowanych robotników np. z Radomia i Ursusa, dziś pracujących niezgodnie ze swymi kwalifikacjami, wynosi 7,5 zł za godzinę. Przy utracie ciągłości pracy i związanych z nią dodatków, często wielomiesięcznym pozbawieniu zarobków w ub. roku oraz wobec płatności bardzo wysokich kar, wymierzonych przez Kolegia (ogromna większość terminów tych płatności wypadła przed amnestią) — nie są oni w stanie zaspokoić podstawowych potrzeb swoich rodzin. Znamy niezwykle drastyczne przykłady, jak np. szlifierza z 23-letnim stażem, zarabiającego przed strajkiem 4-5 tys. zł, obecnie na posadzie woźnego w szkole — 2 tys. zł. Pewna wykwalifikowana brygadzistka z podobnie długim stażem i podobnie wysokimi dawniej zarobkami, dziś jako salowa w szpitalu pobiera wynagrodzenie w wysokości 1.350 zł.

Wiadomo nam również, że stosunek MO i SB do represjonowanych po czerwcu 1976 mieszkańców Radomia podtrzymuje w nich wciąż poczucie zagrożenia. W początkach sierpnia br. wkrótce po zwolnieniu z więzienia Cz. Chomiczki wezwany został do Komendy Wojewódzkiej MO. Rozmowa z nim miała charakter spokojny, ale wobec towarzyszącej mu żony, Danuty Chomiczkiej, użyto siły fizycznej, wykręcając jej ręce w tył i przemocą wywlekając z pokoju, do którego weszła wraz z mężem. Dnia 26. VIII. 1977 na wracającego z pracy Leopolda Gierka czekał pod jego domem funkcjonariusz SB nazwiskiem Wolski, który domagał się od niego odpowiedzi gdzie był i dlaczego nie wraca prosto z pracy, a także oznajmił, że każdy krok L. Gierka jest obserwowany. Dnia 31. VIII. br. rano funkcjonariusz MO zaczepił Cz. Chomiczkiego przed jego domem. Zachowywał się brutalnie, awanturował, wymyślał, wreszcie zagroził Cz. Chomiczkiemu zatrzymaniem, ale na pogróżkach poprzestał.

Spraw tych nie możemy pozostawić ich biegowi. Nie wolno zaakceptować niepraworządności tylko dlatego, że przekształciła się w zjawisko długotrwałe. Represje administracyjne za udział w strajkach 1976 muszą zostać cofnięte, represje policyjne muszą ustać. W przeciwnym wypadku społeczeństwo nigdy nie odzyska poczucia bezpieczeństwa i należnych mu praw.

2. ZAKRES POMOCY UDZIELANEJ PRZEZ KOR

RADOM. Informacją objęto 511 osób. Pomocy prawnej udzielono 92 osobom, a lekarskiej 40. Pomocą finansową objęto 274 rodziny. Do dnia 27. VIII. 1977 na zasiłki wydano 1.770.260 zł.

URSUS. Informacją objęto 202 osoby z ZM „Ursus”, a 64 z warszawskich zakładów im. Świerczewskiego, im. Nowotki, FOO, PZO, Zelmot. Stały kontakt utrzymuje się ze 169 rodzinami. Udzielono zasiłków finansowych w wysokości 729.470 zł.

GDANSK. Informacją objęto 93 osoby, pomocą finansową 34. Do dnia 27. VIII. br. wyniosła ona 113.010 zł.

ŁÓDŹ. Informacją i pomocą objęto 68 rodzin. Na zasiłki wydano 219.550 zł.

GRUDZIĄDZ. Ogłosiliśmy zakończenie akcji pomocy w Grudziądzu KOR uznać jednakże za konieczne przekazać jeszcze pewne sumy najbardziej potrzebującym rodzinom. Spośród 43 osób usuniętych z pracy po 25. VI. 1976 w sierpniu 1977 co najmniej 3 osoby nie pracowały. KOR udzielił przez cały czas swego działania w Grudziądzu pomocy finansowej 25 osobom, wydając 189.800 zł.

PŁOCK. Na pomoc dawno ukończoną wydano 40 tys. zł.

Łącznie do dnia 27 sierpnia 1977 wydano na pomoc: 3.062.090 zł.

3. STRAJK W PABIANICKIEJ FABRYCE ŻARÓWEK POLAM

Fabryka Żarówek POLAM w Pabianicach zatrudnia 3.000 pracowników fizycznych i 2.000 umysłowych. Przeciętny zarobek robotnika wynosi ok. 3.000 zł, wypłacanych w dwu ratach, każdego 10 i ostatniego dnia miesiąca.

Dnia 10. VIII. 1977 wypłata zaliczki wyniosła ok. 700 zł — kilkaset złotych mniej niż powinna. Fakt ten wyjaśniono załozde obniżeniem produkcji spowodowanym brakiem w poprzednim okresie surowca, co powodowało przestoje, okresem urlopowym i wysoką absencją chorobową. Wówczas robotnicy przerwali pracę. Strajk trwał od 10. do 13. VIII. br. Dnia 13. VIII. rano zjawił się w fabryce przedstawiciel Zjedn. z obietnicą szybkiego wyrównania zaliczki, pokazał załozde tzw. „paski” z wycenieniami twierdząc, że księgowość pracuje nad nimi dzień i noc. Zapowiedział wypłatę wyrównania w dniach 25 sierpnia i 10 września. Robotnicy podjęli pracę. Dnia 25 sierpnia br. wyrównań nie wypłacono. Załoga zastrajkowała ponownie. Tym razem przerwa w pracy trwała półtora dnia.

Nie są to jeszcze informacje pełne i ostateczne. Podobno w pierwszej fazie strajku zwolniono dyrektora fabryki i jego zastępców. Również podobno po 13 sierpnia przybył do załogi przedstawiciel KC PZPR. Wiadomo nam, że do dnia 22. VIII. nie próbowano wyciągać żadnych konsekwencji wobec organizatorów strajku.

4. LIST ROBOTNIKÓW Z GRUDZIĄDZA DO EDWARDA GIERKA

Dnia 15. VIII. br. w sprawie 43 osób zwolnionych z pracy po strajku czerwcowym 1976 troje robotników z Grudziądza zwróciło się do Edwarda Gierka z następującym listem:

„Jako robotnicy zwolnieni z Pomorskiej Odlewni i Emalierni w Grudziądzu po 25 czerwca 1976 roku, nie mogąc znaleźć sprawiedliwości w sądzie, jeszcze raz zwracamy się do Was, I-szy Sekretarzu Edwardzie Gierku — jako do osoby faktycznie sprawującej władzę. 26 czerwca 1976 roku w naszym zakładzie tak jak w wielu innych zakładach w Polsce był postój w produkcji, spowodowany ogłoszoną podwyżką cen oraz niewłaściwie wprowadzoną zmianą norm w naszym zakładzie. Postój przebiegał spokojnie, nie nastąpiły uszkodzenia maszyn, nie było żadnych zniszczeń oraz na czas postoju wyłączono nawet energię elektryczną. W następnych dniach zostało zwolnionych 43 pracowników. Zwolnionym zarzucano jedynie to, że 25 czerwca ub. roku nie pracowali. Większość ze zwolnionych odwoływała się do Terenowej Komisji Odwoławczej w Grudziądzu, do Sądu Pracy w Toruniu. Zarówno Terenowa Komisja Odwoławcza jak i Sąd Pracy w Toruniu uznały, że udział w przerwaniu produkcji jest wystarczającym powodem do dyscyplinarnego zwolnienia z pracy. Sąd uznał, że robotnicy w Polsce Ludowej nie mają prawa do

przerw w pracy i że można ich za to wyrzucić bez wypowiedzenia. W ten sposób zostali potraktowani m.in. robotnicy z 24-letnim stażem pracy, posiadający odznakę P (przodownika) P (pracy) S (socjalistycznej), wielokrotnie stawiani za wzór w prasie zakładowej, prasie lokalnej. Wśród zwolnionych są także mężowie zaufania załogi.

Nie poczuwamy się do żadnej winy, uważamy, że prawo do przerw w pracy ma każdy robotnik. O to walczyło wiele pokoleń, teraz gwarantuje to nawet Konwencja Międzynarodowa, którą Polska ratyfikowała. Cieszymy się z ogłoszenia amnestii i zwolnienia z więzienia robotników z Radomia i Ursusa. Spodziewamy się, że zostaną naprawione krzywdy wyrządzone nam i naszym kolegom. Domagamy się pełnej rehabilitacji, przywrócenia do pracy na poprzednich warunkach i zwrotu zarobków za okres pozostawiania bez pracy. Zwracamy się do Was, I-szy Sekretarzu, o ponowne i sprawiedliwe rozpatrzenie naszej sprawy oraz o to, aby władze bezpieczeństwa nie nachodziły nas za to, że podaliśmy ją do wiadomości Komitetowi Obrony Robotników”.

Mirosława Kocińska, ul. Nadgórna 71/73 m. 4, 5 lat pracy;
Maksymilian Możdziński, ul. Pułaskiego 17/5, 24 lata pracy;
Renata Nagel, ul. Dzierżyńskiego 12/11, 15 lat pracy.

5. BIŁGORAJ

Jak dowiedzieliśmy się ostatnio, zaraz po strajkach w czerwcu 1976, w okresie organizowania wieców potępiających robotniczy protest przeciw podwyżce cen, a popierających samą podwyżkę — władze partyjne woj. lubelskiego zwróciły się do dawnego pierwszego sekretarza PZPR pow. biłgorajskiego, ob. Dechnika, aby na takim wiecu w Fabryce Trykotaży „Mewa” wygłosił odpowiednie przemówienie. Ob. Dechnik, wiolelni członek KC PZPR, były działacz KPP, na podległym sobie terenie cieszył się szacunkiem i autorytetem wśród mieszkańców powiatu. Zmuszany do nadużycia ich zaufania ob. Dechnik usiłował popełnić samobójstwo. Kilkakrotnie strzelił do siebie w gabinecie. Helikopterem został przewieziony do szpitala, gdzie trzy operacje i długotrwałe leczenie uratowały mu życie. Stracił jednak oko.

6. REPRESJE I DZIAŁANIA URZĘDOWE PRZECIWKO KOR

W pierwszych dniach sierpnia 1977 na posterunek MO w Radmoszycach wezwana została pismem z Warszawy mieszkanka Kocka (woj. kieleckie), Bożena Kędziorska, autorka indywidualnego listu do Sejmu PRL w sprawie powołania Specjalnej Komisji Poselskiej. Dwu przyjezdnych funkcjonariuszy SB przez 2 godziny usiłowało wydobyć z niej zeznanie, dotyczącej jej kontaktów i współpracy z KOR'em oraz pisemne oświadczenie, że współpracy tej i kontaktów zaniecha. Pomimo pogroźek B. Kędziorska żadnego oświadczenia nie złożyła.

W lutym 1977 wśród inżynierów konstruktorów Oddziału Maszyn Towarowych PKP Gdańsk — Południe SB poszukiwało materiałów KOR. Przesłuchiwano m.in. inż. Stupnickiego.

W tym samym czasie SB prowadziła przesłuchania w sprawie krążącej wśród mieszkańców Gdańska petycji gdańskich studentów. Przesłuchiwany m.in. lekarz wskazał jako osobę, od której petycję otrzymał, emerytowanego nauczyciela Liceum Plastycznego i byłego więźnia łagrów Adolfa Popławskiego z Sopotu. 17. VII. br. dwóch funkcjonariuszy SB usiłowało nieformalnie przesłuchać A. Popławskiego. Żądano od niego wskazania osoby, która dostarczyła mu petycję, oraz wymienienia nazwisk jego znajomych z Gdańska.

Na początku maja 1977 przesłuchiwano Jadwigę Bryk, pracownicę Komitetu Ogrodniczego Chruścina-Nyska (woj. opolskie) w sprawie wysłania

pieniędzy na adres Bogdana Borusewicza. Oficer SB z Opola stwierdził, że nie chodzi o sam fakt wysłania pieniędzy, lecz o adresata, który jest „groźnym przestępcą kryminalnym”.

21. VII. 1977 na jednej z ulic Gdańska-Wrzeszcza inż. Edward Lach czytał „Biuletyn Informacyjny” i materiały KOR. Wyrwał mu je z ręki funkcjonariusz MO. W tydzień później dwóch funkcjonariuszy SB usiłowało nieformalnie przesłuchać E. Lacha (w zakładzie pracy). Inż. E. Lach odmówił zgody na uczestniczenie w „rozmowie”.

16. VIII. 1977 Mariusz Muskat, absolwent socjologii UJ zamieszkały w Sopocie zatrzymany został na Dworcu Centralnym w Warszawie. W Warszawie odwiedzał W. Onyszkiewicza. Zatrzymano go pod zarzutem, że „przy pomina przestępcę dewizowego” i zrewidowano, odbierając materiały KOR oraz poddano próbom nieformalnego przesłuchania. Po powrocie do Trójmiasta był jeszcze raz nieformalnie przesłuchiwany przez majora SB W. Raniewicza.

Współpracownik KOR, Roman Wojciechowski złożył skargę w Prokuraturze Wojewódzkiej w następującej sprawie: 29. VIII. br. w Warszawie ok. godz. 20.30 został porwany przez funkcjonariuszy SB z ul. Nowy Świat przy Foksal. Użyto siły fizycznej, wykręcając mu ręce i wrzucono go do samochodu (szary mercedes) i wywieziono. Podezani funkcjonariusze SB siedzeniami między samochodami i trzymali mu nogi na plecach, żeby nie mógł się ruszyć. W okolicach Pomianek wyrzucili go z samochodu i bili, grożąc, że jeśli w ciągu dwóch tygodni nie wyprowadzi się z Warszawy, przy następnym spotkaniu wykończą go. W wyniku pobicia napadnięty stracił przytomność. Już w marcu 1977 SB usiłowała wymusić na R. Wojciechowskim i jego żonie (poruszającej się na inwalidzkim wózku) zgodę na współpracę, szantażując oboje groźbą sfingowania chuligańskich wybryków, o które oskarżony zostanie R. Wojciechowski.

Do dziś, mimo zapowiedzi Prokuratury Wojewódzkiej w Krakowie, nie opublikowano Komunikatu o stanie śledztwa w sprawie śmierci Stanisława Pyjasa. KOR wyda w tej sprawie osobne oświadczenie.

W poprzednich komunikatach wielokrotnie sygnalizowaliśmy akcję zwalniania z pracy lub szykanowania w zakładach pracy osób związanych z działalnością KOR'u lub okazujących otwarcie wobec KOR'u i jego celów solidarność. Zjawisko to wydaje się niebezpiecznie rozszerzać. Zwracamy na nie uwagę władz i społeczeństwa. Nikt nie powinien przyglądać się bezczynnie procederowi dyskryminowania kolegów i współtowarzyszy z zakładu pracy tylko dlatego, że głoszone przez nich przekonania nie należą do obowiązujących. Apelujemy o odwagę stawiania w obronie szykanowanych. Czyniąc tak, bronimy siebie samych, strzeżemy własnych praw, które mogą być naruszone jutro.

W lutym 1977 informowaliśmy o przymusowym przeniesieniu do innych szkół kilkorga nauczycieli z VI Liceum Ogóln. im. Rejtana w Warszawie. Byli oni sygnatariuszami jednego z listów do Sejmu PRL. Protest uczniów i absolwentów szkoły zmusił władze do odwołania bezprawnej decyzji przynajmniej wobec trzech nauczycielek: Anny Modrzejewskiej, Anny Sosin i Stefanii Świątłowskiej. Ewie Ostrowskiej odmówiono przedłużenia kontraktu na rok szkolny 1977/78. Ireneusz Gugulski złożył odwołanie od decyzji przeniesienia. Dnia 14. IV. 1977 decyzję wstrzymano, 9. VI. 1977 potwierdzono. Nie odnowiono także z I. Gugulskim kontraktu na rok szkolny 1977/78 w Liceum Wieczorowym, gdzie dotychczas wykładał.

Ludwika Wujec, żona Henryka Wujca, uczestnika głódówki protestacyjnej, została zwolniona ze stanowiska wicedyrektora szkoły podstawowej nr 203 w Warszawie. O decyzji tej powiedziano jej podczas trwania głódówki. Zwolnionego z więzienia dnia 23. VII. współpracownika KOR'u

Wojciecha Ostrowskiego, asystenta U.W., powiadomiono o wypowiedzeniu mu pracy na uczelni.

Reżyser Bohdan Kosiński, sygnatariusz tzw. listu 17 w sprawie uwolnienia więzionych członków i współpracowników KOR, zwolniony został z Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Jego gotowe już filmy wstrzymano, a w mającym się ukazać wydawnictwie filmowym nazwisko jego i informacje o jego pracy twórczej zostały wykreślone. B. Kosiński jest realizatorem 40 filmów dokumentalnych. Zdobył wiele nagród krajowych i zagranicznych, w tym dwukrotnie Grand Prix na Festiwalu Filmów Krótkometrażowych w Krakowie. Jest członkiem Rady Generalnej AID (Międzynarodowego Stowarzyszenia Dokumentalistów).

W połowie lipca br. z zakładu Pedagogiki Uniwersytetu Wrocławskiego zwolniona została prof. dr hab. Mirosława Chamiec, sygnatariuszka listu naukowców wrocławskich do Sejmu PRL.

31. VIII. br. Biblioteka Narodowa w Warszawie odstąpiła od podpisania umowy o pracę z Małgorzatą Naimską, żoną członka KOR Piotra Naimskiego. Zgodnie z ustną umową M. Naimska miała rozpocząć pracę 1. IX. br. Uprzednio nie przedłużono jej kończącego się 30. VI. br. kontraktu na UW.

W czerwcu 1977 upłynęło 3 miesiące od wypowiedzenia pracy z trzymiesięcznym wypowiedzeniem inż. Franciszkowi Grabczykowi w Hucie im. Lenina. Mgr inż. F. Grabczyk był sygnatariuszem jednego z listów do Sejmu PRL. 18. VI. 1977 wystosował on list do Generalnego Sekretarza ONZ Kurta Waldheima, informując adresata o systematycznym pozbawieniu społeczeństwa polskiego prawa do prawdy przez fałszerstwa, dokonywane w środkach masowego przekazu oraz o nieprzestrzeganiu przez państwo polskie gwarancji konstytucyjnych.

30. VI. 1977 usunięto z Wydawnictwa Łódzkiego red. Helenę Zofię Gromiec i pozbawiono pracy od 30. IX. br. wykładowcę z Zakładu Filozofii Uniwersytetu Łódzkiego Włodzimierza Gromca. Oboje są sygnatariuszami listu do Sejmu PRL. Na znak protestu wobec pozbawienia pracy W. Gromca rezygnację z pracy złożył asystent tegoż zakładu mgr Janusz Górski. W lipcu br. ok. 20 słuchaczy W. Gromca zwróciło się z listem do Rektora UŁ prof. Skowrońskiego żądając cofnięcia decyzji. Usiłowano zwolnić z pracy od daty 30. IX. br. asystenta Zakładu Filozofii Akademii Medycznej w Łodzi, mgr Irenę Mazurek i mgr Andrzeja Łodyńskiego. Oboje są sygnatariuszami listu do Sejmu PRL. Okazało się, że oboje są chorzy. Milicja zażądała od lekarzy dyżurnych w szpitalu, gdzie przebywali, wypisania pacjentów (by umożliwić doręczenie im zwolnienia). Lekarze odmówili, podkreślając, że tylko oni mogą decydować o zwolnieniu chorych. To zdecydowane stanowisko lekarzy sprawiło, że doręczenie wypowiedzenia okazało się formalnie niemożliwe. A. Łodyński i I. Mazurek są nadal pracownikami Zakładu Filozofii AM.

Inny sygnatariusz listu 175 do Sejmu PRL, dr Witold Niedźwiedzki, został pozbawiony mieszkania decyzją prezydenta m. Łodzi. O sprawie tej pisała w lipcu „Polityka”.

Wiadomo nam również o coraz częstszym odmawianiu paszportu osobom solidaryzującym się z celami KOR'u. W ostatnim czasie np. odmowy takie otrzymali pisarze: Andrzej Drawicz, Witold Dąbrowski, studentka Małgorzata Łukasiewicz, socjolog Barbara Toruńczyk. H. Wujcowi odmówiono postawienia w dowódzie pieczętki warunkującej wyjazd do krajów demokracji ludowej, uzasadniając odmowę „ważnymi względami państwowymi”.

Komitet Obrony Robotników wzywa do powiadamiania go o podobnych i innych faktach świadczących o dyskryminowaniu osób zaangażowanych w jego działalności. Publiczne ogłaszanie aktów niepraworządności jest jednym ze środków jej zwalczania, a domaganie się należnych praw dla wszyst-

kich bez względu na ich przekonania jest nie tylko prawem, ale obowiązkiem każdego obywatela.

Wszyscy zwolnieni z więzienia członkowie i współpracownicy KOR otrzymali wezwania do Urzędu Zatrudnienia. O wynikach rozmów powiadomimy po ich zakończeniu.

8. CZARNA LISTA PUBLICYSTÓW SZKALUJĄCYCH CZŁONKÓW KOR I JEGO WSPÓŁPRACOWNIKÓW

Do podanych w Komunikatach 11 i 12 czarnej listy dodajemy: Michał Misiorny, artykuł pt. „Zaklinacze czasu przeszłego”, *Trybuna Ludu* z dnia 8. VIII. 1977; Henryk Gaworski, art. pt. „Ludzie i bakcyle”, *Barwy*, wrzesień 1977; Ryszard Świerkowski, art. pt. „Noc na Koszarowej”, *Perspektywy* z dnia 15. VII. 1977.

9. CELE KOR'u

... Nie tylko więc wobec ofiar poczerwcowych represji, lecz również wobec tych, którzy z całą odwagą i stanowczością otwarcie stanęli po stronie prawdy i sprawiedliwości, członkowie KOR czują się zobowiązani do trwania przy raz określonej postawie.

Wreszcie kwestia ostatnia: w końcu listopada 1976 zwróciliśmy się do społeczeństwa polskiego o poparcie kierowanego przez nas do Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wniosku w sprawie powołania Specjalnej Komisji Poselskiej do bezstronnego zbadania problemów związanych z protestem robotniczym 1976 i represji, wymierzonych w jego uczestników. Tysiące obywateli odpowiedziało na nasz apel podpisując indywidualnie i zbiorowo wnioski do Sejmu PRL w tej sprawie. Zobowiązani do reprezentowania ich w najwyższym organie władzy państwowej posłowie otrzymywali za naszym pośrednictwem oraz bezpośrednio od pokrzywdzonych i maltretowanych materiały i dokumenty, niezbicie dowodzące zasadności powołania komisji. Ludzie ci jednak — a m.in. posłowie ziemi Warszawskiej i Radomskiej — milczeli i milczą, lub odmówili wręcz swym wyborcom przedstawienia sejmowi ich żądań. Na żadnej sesji sejmowej w okresie od jesieni 1976 do wiosny 1977 nie znalazł się ani jeden poseł, który uznałby — zgodnie z oczywistą zasadą parlamentaryzmu — życzenia swych wyborców za zobowiązanie wobec swej poselskiej godności. Posłowie na Sejm PRL bieżącej kadencji w sposób wyjątkowo jaskrawy okazali pogardę swym wyborcom. Uważamy jednak, że Sejm PRL zobowiązany jest do powołania Specjalnej Komisji Poselskiej. Wobec dotychczasowej postawy posłów widzimy konieczność wykonania zadań komisji przynajmniej częściowo, w miarę naszych możliwości i sił.

10. A P E L

Przypominamy raz jeszcze, że gdziekolwiek w kraju są represjonowani, obowiązkiem społeczeństwa jest organizowanie się celem ich obrony. W każdym środowisku, w każdym zakładzie pracy powinni znaleźć się ludzie odważni, inicjujący zbiorowe formy pomocy. Apelujemy do represjonowanych, aby wykorzystywali w swej obronie wszystkie przysługujące im drogi prawne. Komitet gotów jest przyjąć im również i w tym z pomocą w miarę swoich możliwości.

Komitet Obrony Robotników — wyrażając uznanie dla dotychczasowej ofiarności i solidarności społeczeństwa, informuje, że zgromadzone dotychczas fundusze wystarczą na pomoc dla ofiar poczerwcowych represji. Formy dalszej pomocy represjonowanym określi Fundusz Samoobrony Społecznej.

Apelujemy o nadsyłanie rzetelnych informacji, niezbędnych dla pracy KOR'u oraz powołanego przez nas Biura Interwencji. Informacje dla Biura Interwencji prosimy kierować na adres:

Aniela Steinsbergowa, ul. Boja-Żeleńskiego 4a m. 26. tel. 25-32-95.

Zwracamy się do wszystkich osób represjonowanych w związku z wydaniami czerwcowymi o nadsyłanie informacji dotyczących zwolnień z pracy, czasu pozostawania bez zatrudnienia i obecnych warunków pracy i płacy.

Następują adresy i telefony członków KOR.

KOMITET OBRONY ROBOTNIKÓW

O ŚWIADCZENIE RUCHU OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA W POLSCE

W ZWIĄZKU ZE SPOTKANIEM PRZEDSTAWICIELI PAŃSTW SYGNATARIUSZY AKTU KOŃCOWEGO KBWE, ZWOŁANYM DO BELGRADU NA DZIEŃ 4 PAŹDZIERNIKA 1977

Przed dwoma laty, na Konferencji w Helsinkach uznano, że poszanowanie praw człowieka i wolności obywatelskich jest jedną z zasad kształtujących wzajemne stosunki między państwami, a także istotnym warunkiem utrzymania pokoju, sprawiedliwości i dobrobytu nie tylko w Europie, ale i na całym świecie.

Obecnie przedstawiciele Państw Uczestników tej Konferencji, zgodnie z ustalonym trybem, zbierają się, aby — jak głosi porządek dzienny — dokonać „... pogłębionej wymiany poglądów zarówno w sprawie wprowadzenia w życie postanowień Aktu Końcowego i realizowania zadań określonych przez Konferencję, jak i — w kontekście rozważanych na niej problemów — w sprawie polepszenia ich wzajemnych stosunków, umocnienia bezpieczeństwa i rozwijania współpracy w Europie oraz rozwijania procesu odprężenia w przyszłości”.

Poinformowani o tych celach Spotkania Belgradzkiego, i w związku z nimi, my niżej podpisani uczestnicy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce — działając również na rzecz niezbywalnych praw Narodu Polskiego do wolności i niezawisłości — zabieramy głos jako czynnik niezależny, powodowani świadomością, że społeczeństwo polskie od zakończenia Drugiej Wojny Światowej nie miało dotychczas przedstawicielstwa politycznego, wyłonionego na drodze wolnych wyborów.

W związku z powyższym oświadczamy co następuje:

1. Deklarujemy swoje poparcie dla Aktu Końcowego KBWE i podjętych przez społeczność międzynarodową kroków, mających na celu zabezpieczenie i utrwalanie prawa narodów do życia w pokoju i wolności oraz w warunkach pełnego poszanowania i respektowania niezbywalnych praw ludzkich i swobód obywatelskich — tak jak zostały one wyrażone w Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka, w Międzynarodowych Paktach Praw Człowieka i w Akcie Końcowym. Wychodząc z takiego stanowiska postulujemy, aby wszystkie Państwa — Strony KBWE ratyfikowały, ogłosiły i wprowadziły w życie Międzynarodowe Pakty Praw Człowieka wraz z protokołem Fakultatywnym, przysługującym jednostkom i grupom osób, których prawa ludzkie zostały naru-

szone przez państwo prawo wnoszenia skargi do Komitetu Praw Człowieka ONZ. Ponadto, nawiązując do Deklaracji Teherańskiej ONZ z 1968 roku, wnosimy o powołanie ogólnoeuropejskiego Trybunału Praw Człowieka, jako organu właściwego do rozpatrywania takich skarg.

2. Uważamy, że szczytne cele sformułowane przez społeczność międzynarodową dadzą się najlepiej osiągnąć w warunkach, kiedy odprężenie i bezpieczeństwo międzynarodowe uczyni się rzeczywistym, pełnym, nieodwracalnym i zdążającym do powszechności w skali całego świata. Powinno ono realizować się przy czynnym udziale całych narodów i społeczeństw — przy uznaniu ich zróżnicowania wewnętrznego i pluralizmu politycznego. Nie powinno zatem ograniczać się tylko do sfery stosunków międzypaństwowych zinstytucjonalizowanych, które poddane kontroli dysponentów władzy zbyt często prowadzą w praktyce do ograniczania praw ludzkich i swobód obywatelskich. Bolesnym przejawem tego są powszechnie znane fakty prześladowania i dyskryminowania, w części państw europejskich, osób i grup, podejmujących działalność na rzecz obrony praw człowieka i obywatela, lub nadzoru nad realizacją przyjętych zobowiązań międzynarodowych w tej dziedzinie przez ich państwo.

W związku z tym uważamy, że ani zasada suwerenności państw, ani formuła niemieszania się w sprawy wewnętrzne, nie może uchylać prawa opinii międzynarodowej do moralnego napiętnowania, oraz — w przypadkach szczególnych — izolowania państwa, które w sposób celowy, w imię interesów grup sprawujących władzę, narusza prawa i swobody własnych obywateli. Państwa Sygnatariusze KBWE powinny uroczyście wyrzec się walki z uczestnikami ruchów na rzecz praw ludzkich i obywatelskich oraz uznać prawo do sprawowania na swym obszarze swobodnej kontroli przez organy ONZ i innych właściwych organizacji międzynarodowych — np. Amnesty International — w przypadkach ujawniania faktów naruszania praw człowieka i obywatela. Podobnie nawiązywanie przez obywateli tych państw kontaktów z przedstawicielami organizacji międzynarodowych, realizujących prawa człowieka i obywatela lub ruchów działających na rzecz tych praw, nie może być interpretowane — jak to miało miejsce — jako karalne „... porozumiewanie się z obcymi i wrogimi ośrodkami”.

Uznając dziedzinę praw ludzkich i obywatelskich za sprawę nadrzędną — społeczność międzynarodowa powinna przyjąć szczególną procedurę rozliczania Państw — Stron porozumień międzynarodowych z przyjętych zobowiązań w tej dziedzinie. Postulujemy zatem, aby przed każdym kolejnym spotkaniem przedstawicieli państw były zwoływane również spotkania osób, organizacji i ruchów społecznych, działających w tych państwach na rzecz obrony praw człowieka i obywatela.

3. Historia dowiodła, że naruszanie bezpieczeństwa i wywoływanie wojen agresywnych powodowały zazwyczaj te państwa, w których władza dominowała nad prawami i przekonaniem obywateli, wprowadzając systemy absolutystyczne i totalitarne. Natomiast w warunkach respektowania praw człowieka i obywatela, podejmowanie działań wymierzonych przeciwko pokojowi i bezpieczeństwu stawało się niemożliwe, a przynajmniej bardzo utrudnione, ponieważ przytłaczająca większość prostych ludzi pragnie żyć w pokoju. Doświadczenia historii dowodzą, że tylko powszechne respektowanie praw człowieka i obywatela może być gwarancją zachowania pokoju i bezpieczeństwa.

4. W równej mierze czynnikiem niezbędnym dla zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa międzynarodowego jest przestrzeganie praw wszystkich narodów do niezawisłości i samostanowienia — rozumianego jako możność rozwoju nieskrępowanego przez czynniki zewnętrzne oraz decydowania obywateli o losie i charakterze własnego państwa, jego ustroju i władzy. Naru-

szanie tych praw przez dominację jednego państwa nad drugim oraz narzucanie innym narodom ustroju i rządu stanowią bezpośrednie zagrożenie pokoju i bezpieczeństwa. Doświadczenia naszego narodu stanowią jeden z najbardziej oczywistych dowodów potwierdzających tę tezę: przed 38 laty Rzeczypospolita Polska stała się obiektem niesprokowanego agresji ze strony totalitarnych sąsiadów, co doprowadziło do rozpętania wojny światowej i dziesiątków milionów ofiar. Mimo formalnego zwycięstwa nad Trzecią Rzeszą naród polski nie odzyskał jednak w pełni przysługujących mu praw — w szczególności nie korzysta on z zasady samostanowienia — co może doprowadzić do groźnych następstw, mających znaczenie nie tylko dla Polski oraz strefy, w której się znajdujemy, lecz dla całej Europy a nawet świata. Doświadczenie roku 1939 ma nadal aktualną wymowę. W wyniku Drugiej Wojny Światowej ukształtowały się w Europie strefy wpływów. Ograniczają one zasadę samostanowienia narodów, równość i suwerenność państw i są sprzeczne z postanowieniami Aktu Końcowego KBWE w Helsinkach. Pokój i bezpieczeństwo w Europie wymagają, aby nasz kontynent wszedł na drogę konsekwentnego procesu likwidacji stref wpływów. Tylko pełne uniezależnienie narodów, znajdujących się obecnie w tych strefach, może stać się gwarancją pokoju i wzajemnego bezpieczeństwa, a także wolności i poszanowania praw człowieka i obywatela.

5. Jeżeli uczestniczący w spotkaniu Belgradzkim przedstawiciele państw europejskich, ZSSR, USA i Kanady potraktują tylko formalnie te fundamentalne kwestie, które sami wnieśli do porządku dziennego, jeżeli w ostatecznych uchwałach pominą pełne respektowanie praw człowieka i obywatela we wszystkich państwach, samostanowienie narodów i wynikającą z niego logicznie likwidację stref wpływów — wezmą na siebie brzmienną w następstwie odpowiedzialność wobec historii i społeczeństw własnych krajów. Takie połowiczne rozwiązanie narody musiałyby uznać za kontynuację niechlubnej tradycji układów lekceważących wolę narodów: w Monachium w 1938 i w Jałcie w 1945 roku. Następcem tych układów były — w pierwszym przypadku — wojna światowa, w drugim zaś — zimna wojna; likwidacja objawów tej ostatniej powinna być zadaniem spotkania Belgradzkiego 1977.

6. Powodzenie Spotkania Belgradzkiego zależy od stosowania fundamentalnej zasady prawa międzynarodowego *pacta sunt servanda* — umowy muszą być dotrzymywane. Bez przestrzegania tej zasady każde porozumienie staje się fikcją. Jeżeli państwa uczestniczące w Spotkaniu Belgradzkim pragną rzeczywiście doprowadzić do układów gwarantujących bezpieczeństwo i współpracę, powinny one w pełni rozliczyć się z wykonania poprzednich porozumień i układów — a w szczególności z ustaleń określonych w Akcie Końcowym KBWE. Narody mają prawo i obowiązek zapytać, jakie działanie podjęły rządy państw, aby zapewnić wykonanie tych wszystkich postanowień, a zwłaszcza: zasady nieingerencji w sprawy wewnętrzne innych państw, wstrzymania się od interwencji lub groźby interwencji narodom innych państw, pełnego respektowania przez rządy praw człowieka i obywatela.

Ponadto uważamy, że jako Polacy mamy moralne prawo i obowiązek pytać i domagać się odpowiedzi, jak mocarstwa — a zwłaszcza rządy Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego — zrealizowały swoje wcześniejsze zobowiązania wobec sojuszników, przede wszystkim zaś zobowiązania dotyczące niezawisłości zewnętrznej i swobody wewnętrznej w wyborze rządu i ustroju, podjęte np. w Jałcie, bez uczestnictwa Polski, ale wobec narodu polskiego.

Jesteśmy przeświadczeni, że bez konsekwentnego przywrócenia zasady dotrzymania umów wobec wszystkich porozumień międzynarodowych oraz pozbawienia mocy tych porozumień, które nie były wyrazem zgodnej woli

narodów — jakiegokolwiek trwałe uregulowanie bezpieczeństwa w Europie nie jest możliwe.

Warszawa, dn. 17-18 września 1977.

Henryk Bezeg, Marian Bogacz, Mieczysław Boruta-Spiechowicz, Andrzej Czuma, Benedykt Czuma, Piotr Dyk, Karol Glogowski, Grzegorz Grzelak, Maciej Grzywaczewski, Aleksander Hall, Antoni Heda-Szary, Józef J. Janowski, Kazimierz Janusz, Stefan Kaczorowski, Janusz Krzyżewski, Stanisław Kusiński, Andrzej Mazur, Leszek Moczulski, Władysław Molenda-Grab, Emil Morgiewicz, Marek Myszkievicz-Niesiołowski, ks. Bogdan Papiernik, Marian Piłka, Adam Pleśnar, Kazimierz Pluta-Czachowski, Zbigniew Sekulski, Zbigniew Siemiński, Marek M. Skuza, ks. Bronisław Sroka, Restytut W. Staniewicz, Michał Stempkowski, Bogumił Studziński, Kazimierz Switon, Piotr Typiak, ks. Ludwik Wiśniewski, Adam Wojciechowski, Andrzej Woźnicki, Wojciech Ziemiński.

RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA W POLSCE

OŚWIADCZENIE

Uczestnicy Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce, biorący udział w ogólnokrajowym spotkaniu w Warszawie w dniach 17 i 18 września 1977 roku, mając na uwadze żywiołowy rozwój Ruchu Obrony i poszerzania się form jego działalności, wychodząc z założeń zawartych w Apelu do Społeczeństwa Polskiego z 25 marca 1977 — uważają za niezbędne oświadczyć, co następuje:

RUCH OBRONY PRAW CZŁOWIEKA I OBYWATELA w Polsce jest społecznym działaniem obywatelskim:

— na rzecz przestrzegania, poszanowania, wzmocnienia, poszerzania i polaryzowania praw człowieka i obywatela oraz jego wolności, wynikających z przyrodzonej godności osoby ludzkiej, skodyfikowanych współcześnie, w stopniu najpełniejszym w Międzynarodowych Paktach Praw Człowieka,

— otwartym dla wszystkich, którzy na drodze jawnej pragną uczynić rzeczywistość społeczną, w jakiej żyjemy, bliższą tym przysługującym człowiekowi i narodowi prawom,

— nie posiadającym struktury organizacyjno-statutowej, członkostwa i władz, łączącym w sobie spontaniczne, solidarne poczynania obywateli, indywidualne i zbiorowe, podejmowane na ich odpowiedzialność w zakresie przez nich uznanym za słuszny. Nie uchyla to prawa do porozumiewania się ludzi między sobą w celu uczynienia swojego działania bardziej skutecznym. Działalność o charakterze światopoglądowym, ideologicznym i politycznym, jeżeli prowadzą ją ludzie uczestniczący w Ruchu Obrony, jest ich sprawą osobistą w przedmiocie treści głoszonych poglądów i podejmowanych działań, a sprawą Ruchu Obrony — uznawanie i popieranie ich prawa do głoszenia tych poglądów i prowadzenia działań,

— mierzącym do skupienia wobec praw człowieka i obywatela wszystkich patriotycznych sił narodu, lecz nie roszcącym sobie prawa do wyłączności i popierającym inne inicjatywy w tej dziedzinie,

— mającym charakter ruchu społecznego, chociaż skupiającym również obywateli działających politycznie, także w opozycji demokratycznej, realizującym w praktyce zasady pluralizmu,

— Wyrażającym gotowość współpracy z władzami państwowymi i organizacjami społecznymi w dziedzinie praw obywatelskich,

— opartym o ogólnospołeczne założenia ideowe podporządkowane nadrzędnemu celowi, jakim jest realizowanie niezbywalnych praw człowieka i narodu do wolności i niezawisłości, zgodnych z niepodległym duchem Polaków i tradycjami Rzeczypospolitej.

Henryk Bezeg — Warszawa, Marian Bogacz — Warszawa, Mieczysław Boruta-Spiechowicz — Zakopane, Andrzej Czuma — Warszawa - Włochy, Benedykt Czuma — Łódź, Piotr Dyk — Gdańsk, Karol Głogowski — Łódź, Grzegorz Grzelak — Gdańsk, Maciej Grzywaczewski — Warszawa, Aleksander Hall — Gdańsk, Antoni Heda-Szary — Warszawa, Józef J. Janowski — Zduńska Wola, Kazimierz Janusz — Warszawa, Stefan Kaczorowski — Łódź, Stanisław Kusiński — Przemyśl, Andrzej Mazur — Łódź, Leszek Moczulski — Warszawa, Marek Myszkievicz-Niesiołowski — Łódź, ks. Bogdan Papiernik — Łódź, Marian Piłka — Lublin, Adam Pleśniar — Wrocław, Kazimierz Pluta-Czachowski — Warszawa, Zbigniew Sekulski — Łódź, Marek M. Skuza — Warszawa, ks. Bronisław Sroka — Gdańsk, Resztut W. Staniewicz — Poznań, Michał Stempkowski — Warszawa, Bogumił Studziński — Zalesie Górne, Kazimierz Świtoń — Katowice, Piotr Typiak — Warszawa, ks. Ludwik Wiśniewski — Lublin, Adam Wojciechowski — Warszawa, Wojciech Ziemiński — Warszawa.

W POLSCE UKAZAŁ SIĘ
„ROBOTNIK” Nr 1, WRZESIEŃ 1977

Z „Wstępu”:

Robotnik jest pismem, w którym robotnicy będą mogli publikować swoje niezależne opinie, wymieniać doświadczenia i nawiązywać kontakty z robotnikami z innych zakładów. Celem jest popieranie inicjatyw zmierzających do:

- solidarnej obrony interesów robotniczych,
- powiększania udziału robotników w ustalaniu wysokości zarobków, warunków i czasu pracy, warunków socjalnych i mieszkaniowych,
- popieranie niezależnych przedstawicielstw robotniczych by w końcu zastąpić martwą instytucję Związków Zawodowych.

W pierwszym numerze *Robotnika* ukazało się wiele protestów z różnych fabryk, informacji o strajkach, m.in. o strajku w Pabianicach. Podaje się informacje o walkach o przywrócenie do pracy robotników wyrzuconych po czerwcu 1976 roku. W odrębnym artykule pt. „Złamany paragraf” atakuje się stosowanie art. 52 Kodeksu Pracy jako ustawy antystrajkowej. Numer pierwszy kończy się apelem: „Gazeta *Robotnik* powstała i może działać wyłącznie przy współpracy przedstawicieli różnych środowisk robotniczych. Apelujemy o kontaktowanie się z nami, o udział w pracy nad pismem, nasyłanie informacji oraz notatek. Pragniemy też rejestrować trudności na jakie napotykamy. Wierzmy, że wspólnym działaniem uda nam się je przełamać. PRZECZYTAJ — PRZEKAŻ DALEJ — NIE DAJ ZNISZCZYĆ — NADEŚLIJ SVOJE UWAGI”.

W skład Zespołu Redakcyjnego wchodzi m.in. Jan Lityński, Wojciech Onyszkiewicz, Józef Śreniowski.

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 269 — JULIUSZ MIEROSZEWSKI

MATERIAŁY DO REFLEKSJI I ZADUMY

Wybór ważniejszych i nadal aktualnych artykułów
świetnego publicysty z okresu 1971-1976.

Str. 256.

Cena F. 40,00.

SERIA « BEZ CENZURY »

TOM 271 — BOGDAN MADEJ

MAŚĆ NA SZCZURY

Tom drapieżnych opowiadań Madeja, opisujących rzeczywistość polskiej
provincji, otwiera nową serię w „Bibliotece Kultury”.

Str. 208.

Cena F. 30,00.

TOM 273 — ANIELA STEINSBERGOWA

WIDZIANE Z ŁAWY OBROŃCZEJ

Relacje z procesów politycznych w PRL. Przez swą odwagę i bez-
kompromisowość A. Steinsbergowa kontynuuje świetne tradycje
polskiej adwokatury. Aniela Steinsbergowa jest członkiem-założycielem
Komitetu Obrony Robotników.

Str. 96.

Cena F. 18,00.

TOM 275 — STANISŁAW BARAŃCZAK

JA WIEM, ŻE TO NIESŁUSZNE

(Wiersze z lat 1975-1976)

Str. 64.

Cena F. 15,00.

DO SUBSRYBENTÓW

III Tomu

ARCHIPELAGU GUŁAG

Nareszcie możemy zawiadomić, że otrzymaliśmy całość przekładu III-go tomu „Archipelagu GUŁag” Aleksandra Sołżenicyna.

Tak ogromne opóźnienie spowodowała przewlekła choroba tłumacza, Michała Kaniowskiego.

Książka ukaże się pod koniec marca 1978 roku.

REDAKCJA

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI,
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 21 267.
Dépôt Légal : 4^e Trimestre 1977.

Imprimé en France

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC
Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte - Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002		R. 15,00	R. 29,00
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Rawson Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 3,75	\$ A 18,00	\$ A 35,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 218-69-23	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
BRAZYLIA : prosimy o przesyłanie czekow do adm. „Kultury”	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ 35,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » I w księgarniach polskich w Paryżu	F. 15,00	F. 80,00	F. 150,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, Tel. (01184) 14073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,50	Fl. h. 50,00	Fl. h. 90,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1, Tel 486-2839; B. Kruski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4; Very rev. Donald Malinowski, 23 Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2; Tel. 339-5577; Z. Micherdzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel. 545-2115; J. Korwin-Lopuszanski, 90 Hilliard Avenue Ottawa K2E 6C2; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 3,75	\$ Can. 18,00	\$ Can. 35,00
NIEMCY : St Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	DM 8,00	D.M. 50,00	D.M. 85,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431	F.S. 8,50	F.S. 50,00	F.S. 90,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm, Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6	K.S. 15,00	K.S. 85,00	K.S. 160,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 871-48-47; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, tel. 886-2128. M. Kosciuch, 12331 French Rd., Detroit Mich 48234; F. Orzechowski. Book, 2036 Chestnut str., Philadelphia, Pa 19103; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, Post Office Box 883, Bellflower Cal. 90706. Tel. 920-2017; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 3,75	\$ US 18,00	\$ US 35,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00
WLOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 Int. 27., Tel. 75-67-241	F. 15,00	F. 85,00	F. 160,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 160; półroczna — F. 85.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 2,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 282 — LESZEK KOŁAKOWSKI

GŁÓWNE NURTY MARKSIZMU

Powstanie — Rozwój — Rozkład

Tom II

Książka jest krytycznym przeglądem dziejów doktryny marksistowskiej z uwzględnieniem jej filozoficznych i politycznych źródeł. Tom II-gi jest poświęcony odmianom marksizmu, powstałym w Europie w epoce II-giej Międzynarodówki.

Str. 544.

Cena F.110,00.

Tom I-szy — zawierający 432 strony kosztuje F.75,00.

TOM 283 — WITOLD GOMBROWICZ

„DZIEŁA ZEBRANE”

Tom XI

WSPOMNIENIA POLSKIE

WĘDRÓWKI PO ARGENTYNIE

Teksty znalezione w pośmiertnych papierach Autora.

Str. 256.

Cena F. 55,00.